

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/432

1983



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

OD REDAKCJI

L. UNGER: **JAŁTA - HELSINKI - MADRYT**

Ł. JODKO: **MONUMENT**

M. FRANCISZKOWSKI:

BIBLIOTEKA POLSKA W PARYŻU

SPIS RZECZY

—	<i>Od Redakcji</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	5
Grażyna Pomian:	<i>Oczyrna pamiętnikarzy</i>	15
„Przódka”:	<i>Przódka</i>	24
Sławomir Mrozek:	<i>O nową piłkę</i>	45
Michał Korzec:	<i>Powrót</i>	47

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger:	<i>Jalta - Helsinki - Madryt</i>	57
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (2)</i>	66

K R A J

Łukasz Jodko:	<i>Monument</i>	75
---------------	-----------------------	----

SPRAWY I TROSKI

Marek Franciszkowski:	<i>Biblioteka Polska w Paryżu</i>	81
Danek Turczyński:	<i>Irackie rozmowy</i>	87
Michał Borwicz i in.:	<i>Sprawa stosunków polsko-żydowskich</i> ..	92

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	95
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	102
E. Zagiell:	<i>Kronika litewska</i>	105

KRONIKA KULTURALNA

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>E pur si muove!</i>	109
W. W.:	<i>Anna Seghers</i>	116

KSIĄŻKI

Tomasz Mianowicz:	<i>„Zwycięstwo prowokacji” po latach</i> ..	118
Janina Katz Hewetson:	<i>Krakowskie „Pismo”</i>	128
Florian Śmieja:	<i>Polacy w Toronto</i>	131
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	132

POLEMIKI

Ł. J.:	<i>List z Kraju</i>	135
Monachijczyk:	<i>Strauss w Polsce</i>	139

—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: austriacka, kanadyjska i szwedzka</i>	143
---	--	-----

K. Brandys, V. Fay, Al. Gel- la, J. Giertych, H. Gryn- berg, St. Korboński, K. Ku- nikowski, M. Madeyski:	<i>Listy do Redakcji</i>	153
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1983

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) — w czwartą rocznicę śmierci Zygmunta Herta — \$ 205,00	F. 1.623,00
C. P. Czuchwicz, Panorama (Australia), po raz 14-ty	F. 375,00
Aleksandra Hawiger, Boston, MA (USA) — \$ 18,00	F. 142,50
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada), po raz 15-ty — \$ c. 14,00	F. 84,00
Tadeusz Kadenacy, Londyn — dla uczczenia pamięci śp. Kazimierza Okulicza, w drugą rocznicę Jego śmierci — £ 10,00	F. 120,00
Jan Krawiec, Chicago, IL (USA) — \$ 50,00	F. 396,00
Stanisław Merlo, Wavre (Belgia) — w 100-ną rocznicę zgonu Cypriana Norwida (1883-1983) i 50-tą rocznicę druku pierwszej książki o Norwidzie, wydanej w Wilnie: dr Stefan Falkowski — <i>Rzecz o tragizmie Kleopatry u C. K. Norwida</i> , wyd. St. Merlo, Wilno 1933	F. 100,00
Anna Skibińska, Edynburg (Wielka Brytania), po raz 5-ty ..	F. 160,00
Sławomir Suss, Nowy Jork	F. 300,00
W. Szwed, Melbourne (Australia), po raz 2-gi	F. 151,15
Płk Jan Woźniak, Londyn, po raz 6-ty i 7-my — po £ 20,00 = £ 40,00	F. 480,00
Zebrano na spotkaniu koleżeńskim w Stockholmie. (Przekazał K. Trokenheim — Krs 200,00	F. 200,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja) po raz 39-ty	F. 500,00
Norbert Zaba, Stockholm — zamiast kwiatów na grób śp. Jerzego Urbańskiego, wieloletniego prezesa Związku b. Jeńców Politycznych — Krs 100,00	F. 100,00
Bezimiennie z Polski (nadesłał Andrzej Wasung, Londyn) — £ 50,00	F. 600,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

Tomasz Arciszewski, Włochy — na pomoc dla walczących w Kraju — Lit. 80.360,00	F. 400,00
Bezimiennie od Podróznego z Polski — na pomoc dla krajowej opozycji — DM 10,00	F. 30,00
Henryk Czajkowski, Hamilton, Ont. (Kanada) — \$ c. 100,00 ..	F. 640,00
C. P. Czuchwicz, Panorama (Australia) — na pomoc dla więzionych w Kraju	F. 365,00
Józef Kunc, Long Beach, CA (USA) — na Fundusz samoobrony społecznej — po raz 19-ty — \$ 50,00	F. 396,00
Calman de Pandy (Szwecja) — na pomoc dla pisarzy w Polsce — Krs 50,00	F. 50,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — Krs 100,00	F. 100,00
Wojciech Szczygalski, Zurych (Szwajcaria) — na pomoc dla więźniów politycznych w Polsce — Frs 30,00	F. 111,00
W. Szwed, Melbourne (Australia) — na pomoc dla walczących w Kraju	F. 152,00

(Dalszy ciąg Wpł. na str. 14)

Od Redakcji

Jest jeszcze za wcześnie na ocenę sytuacji w kraju. Jesteśmy zalani morzem plotek, informacji, dezinformacji i sprzecznych ocen ludzi rzekomo „dobrze poinformowanych”. Dezorientację pogłębia milczenie osób miarodajnych.

Można jednak już dzisiaj zaryzykować pewne wnioski:

1) Jest rzeczą oczywistą, że reżym nie zamierza prowadzić dialogu ze społeczeństwem ani pójść na kompromisy. Czas więc najwyższy, żeby skończyć z tymi złudzeniami, których echa ciągle jeszcze można znaleźć w wypowiedziach podziemia i emigracji. Czas uświadomić sobie, że trzeba przestać liczyć na cud i na mężów opatrznościowych, którzy wszystko za nas załatwią. Musimy pamiętać o gorzkiej uwadze Marszałka Piłsudskiego, którą już nie raz przytaczaliśmy:

„Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi — a niepodległość jest dobrem nie tylko cennym ale i bardzo kosztownym”. (Józef Piłsudski na konferencji niepodległościowych organizacji politycznych, 25-26 sierpnia 1912 roku w Zakopanem).

2) Kościół jest nieocenionym sojusznikiem w naszej walce o niepodległość. Są setki jeśli nie tysiące kapłanów, którzy zajmą kiedyś należne im miejsce w pamięci narodowej, ale Kościół jako instytucja walczy w pierwszym rzędzie o utrzymanie swej wyjątkowej roli w państwie komunistycznym, należącym do bloku sowieckiego i to zmusza go do szukania kompromisów z partią. Trzeba ponadto pamiętać, że Kościół ma swoje zadania i cele, które nie zawsze pokrywają się z interesami Polski, by przy-

pomnieć tylko politykę wschodnią Watykanu, która zawsze prowadzona jest kosztem naszych interesów narodowych.

3) Trzeba nastawić się na rozbudowanie społeczeństwa podziemnego. Pisaliśmy o tej potrzebie w *Kulturze* styczniowej bieżącego roku. Tylko uparta walka i wysiłek pozwolą nam na stopniowe wyzwolenie. Nikt z nas nie myśli o samobójczych koncepcjach rewolucji czy przewrotu, ale nie można być stale sparaliżowanym straszakiem interwencji sowieckiej czy wojny domowej. Zbyt często te obawy były przykrywką dla niepotrzebnych kompromisów czy wręcz oportunistu.

4) W walce o niepodległość naszym naturalnym sojusznikiem są narody z nami sąsiadujące, nie możemy być izolowani. Jest to zadanie dla nas wszystkich: dla Kraju — walka z nacjonalizmem dyskryminującym mniejszości narodowe w Polsce, dla emigracji — współpraca z emigracjami tych narodów.

5) Najważniejszym zadaniem w chwili obecnej jest walka o uwolnienie przywódców „Solidarności” i KOR-u, którzy w więzieniach czekają na procesy. Nie można zapominać, że odrodzenie społeczeństwa w latach osiemdziesiątych było przede wszystkim ich zasługą. Nie można zapominać o skazanych działaczach KPN i o braciach Kowalczyk. Jest to nasz moralny obowiązek, którego nie mogą przesłonić takie czy inne układy z władzą.

Dziennik pisany nocą

Ferrara, 2 lipca 1983

W *Podróży włoskiej* Ferrara jest ledwie wspomniana, chociaż daje tytuł rozdziałowi *Z Ferrary do Rzymu*. Goethego ogarnęło „zniechęcenie” w tym „pięknym, wyludnionym mieście”. Westchnął melancholijnie: „Kiedyś ożywiła te ulice obecność świetnego dworu książęcego”. A teraz? „W ponurym nastroju” i „bez większego zainteresowania” oglądał co mu pokazywano: grobowiec Ariosta, więzienie Tassa, jakieś budowle i obrazy. Szybko i z ulgą ruszył w dalszą drogę.

A teraz? — powtarzam. W Ferrarze, jak w rzadko którym mieście włoskim o przeszłości pełnej historycznego splendoru, przetrwało ciche bicie starego serca. Bije serce miasta uspięnego na wieki, zakłętego jakby w tym uspieniu, lecz nie umarłego.

Wczoraj wieczorem krążyliśmy długo wokół *Castello Estense*. Wokół dwóch Zamków właściwie: rzeczywistego i odbitego w czarnej, martwej wodzie fosy. Jak dziwnie w Ferrarze brzmi słowo „rzeczywisty”! Coś bardzo podobnego przeżywałem w Urbino, gdy nocą księżycowe światło obmywało swoimi falami *Palazzo Ducale*. Pałac prawdziwy? Czy zbudowany z materii snów, zjaw, przywidzeń?

Dzisiejsze przedpołudnie w *Palazzo Schifanoia*, gdzie w ocalałych freskowych fragmentach *Miesiący* przemieszczenie rzeczywistości, mitologii, baśniowej fantazji jest główną dewizą artystów. Przemieszczenie tak fascynujące, tak swobodne i naturalne, że odbiera naraz sens malarskiemu pościgowi za samą naturą.

Ferrara stanowi dobrą oprawę dla wielkiej wystawy Leonora Fini w *Palazzo dei Diamanti*. Co u tej niezwykłej malarki, oglądane przygodnie i na wrywki, mogło się niekiedy wydawać

tylko eleganckim manieryzmem, albo czystą wirtuozerią techniczną, w ferrarajskim Pałacu Diamentowym staje się odprawianiem czarów nad światem utkanym z mitów i baśni, bardziej rzeczywistym w odbiciu sennym, w zaklęciu magicznym, niż w swojej nagiej postaci „realnej” która wynurza się z czarnej i martwej wody.

Procida, 14 lipca

Wśród wszystkich uroków morza, małych zatok, ostrych przylądków, ukrytych w zieleni domków, które tak ładnie opisała Elsa Morante w *L'Isola di Arturo*, nadając życie oleodrukowi Procidy z noweli Lamartine'a *Graziella*, twardym i mniej „poetycznym” rdzeniem wyspy jest *Terra Murata*. Ziemia Zamurowana, swoista forteca, kamienna tarcza obronna przed częstymi niegdyś najazdami piratów i Saracenów. Została z niej nie tylko sugestywna nazwa. W obrębie *Terra Murata* powstało samoistne i zamknięte universum, kondygnacyjną strukturą przypominające wizerunki Wieży Babel. U dołu mieszkańcy Ziemi Zamurowanej w domach nawarstwionych jak gniazda ptasie w załomach skał; wyżej jedno z najcięższych we Włoszech więzień, z oknami zasłoniętymi do połowy koszami, „wilczymi paszczami”; na szczycie kościół Świętego Michała Archanioła, z obrazem patrona pod kopułą, skrzydlatego cherubina uzbrojonego w miecz przeciw najeźdźcom.

Na jednym z przylądków, skąd Ziemię Zamurowaną widać w całej okazałości i ze szczególną wyrazistością, zdziczały gąszcz drzew i krzewów przytłoczył niemal półzawaloną chałupę. Otacza ją, wraz ze skrawkiem słabo uprawnego pola, druciana siatka. Mieszka w niej z dwoma psami człowiek, którego nazywają *Ergastolano*, skazany na dożywocie. Wiadomo o nim tyle tylko, że w więzieniu na Procidzie odsiedział osiem lat; resztę wyroku uchylono po rewizji poszlakowego procesu za zabójstwo. Trudno zrozumieć jak na tej mikroskopijnej wysepce potrafił obronić sekret o sobie. Dlaczego osiedlił się na Procidzie, jeśli nie pochodzi z tych stron? Jak tu i z czego żyje? Ma gdzie rodzinę? Dokąd wyjeżdża co roku z Procidy na całą zimę? Czemu unika ludzi, nie bierze nawet udziału w wielkich świętach wyspy? Odpowiedź jest jedna — słowo *Ergastolano*, jakby w zrujnowanym domu na przylądku odsiadywał dalej swoje dożywocie przywleczone z celi więziennej w Ziemi Zamurowanej.

Zawsze uderzały mnie na Południu trzy ludzkie cechy: pogodny, mimo pozorów teatralnej dramatyczności, stosunek do śmierci; dyskrecja wobec cudzego nieszczęścia, zabobonna nie-

chęć do jego poznania i zgłębienia; respekt dla samotności tych, którzy ją dobrowolnie i świadomie wybrali.

Zaraz po przyjeździe na Procidę widziałem *Ergastolano*, nie wiedząc jeszcze kim jest. Wracałem pod wieczór ze spaceru na przylądku, zagroziła mi nagle drogę druciana siatka. Na zagrconym i brudnym podwórzu koło domu siedział pod dachem z dzikiego wina niechlujnie ubrany i zarośnięty mężczyzna w nieokreślonym wieku. Siedział przy stoliku, na którym stała opróżniona już prawie butla wina. Nie zareagował na moje pozdrowienie, wykonał tylko pod stołem gwałtowny ruch nogą, podrywając dwa leżące tam psy, które z powarkiwaniem podbiegły do siatki drucianej. Ich pan wpatrywał się bez ruchu zmętniałym od picia wzrokiem w Ziemię Zamurowaną.

Neapol, 25 lipca

Bilans prowizoryczny w ośmiu punktach.

1. Tydzień wizyty papieskiej miał być, i do rozmowy wawelskiej był, aktem podniesienia Polaków na duchu.

2. Ósmy dzień tygodnia rzucił na pielgrzymkę zagadkowy cień. Nie wiemy jeszcze dokładnie na czym polega, czujemy jednak wyraźnie że istnieje. Cień tego cienia ujrzeliśmy zresztą przelotnie w głośnym artykule *Osservatore Romano*.

3. Wizyta papieska wzmocniła instytucjonalnie Kościół i „podlegitymizowała” Jaruzelskiego. Społeczeństwo stanęło na rozdrożu: albo zgodnie zmanifestuje w sierpniu czym dla niego był ten siedmiodniowy zastrzyk siły moralnej i narodowej, albo w obliczu wprawionego ósmego dnia w ruch kompromisu Kościół - Państwo zacznie się częściowo przynajmniej obsuwać w zubożenie i neutralizację pod naciskiem „siły wyższej” (wyrażenie zamykające artykuł *Osservatore Romano*).

4. Spotkanie Jana Pawła II z Wałęsą odbyło się w okolicznościach, delikatnie mówiąc, upokarzających dla obu stron. Wałęsa ma się jakoby przenieść w stan honorowego spoczynku. Przekonamy się niebawem, czy to zrobi. Zdają się temu przeczyć jego najświeższe wypowiedzi o perspektywie „gorącego sierpnia” i o fikcyjności zniesienia stanu wojennego.

5. Skurczyła się waga „laickiego” składnika ruchu solidarnościowego (uparte milczenie w sprawie obu procesów), na dalszym planie pojawiła się możliwość (a raczej obietnica) kadłubowych i wykastrowanych związków czy organizacji pod kuratelą Kościoła.

6. Władza pokwitowała rezultaty wizyty papieskiej zniesie-

niem stanu wojennego. Stan wojenny, hucznie wyprowadzony głównymi drzwiami, wrócił ciszej i w przebraniu tylnymi.

7. Społeczeństwo, miejmy jednak nadzieję, pokwituje zgodnie siedem dni wizyty papieskiej obchodami rocznicy 31 sierpnia pod hasłem „Solidarność żyje” (że jeszcze żyje, przypomniał Glempowi na lotnisku rzymskim Gulbinowicz).

8. Na Zachodzie utoruje sobie odtąd stopniowo drogę przekonanie, że w sprawie Polski nie można być „bardziej papieskim od papieża”. Słuchać już wypowiedzi w tym duchu.

Znany publicysta William Safire pisze: „Przez jeden wspinały tydzień świat myślał, że komuniści polscy popełnili straszny błąd, zezwalając Polakom powitać znowu papieża na ojczystej ziemi. Watykan będzie musiał zrobić coś więcej niż usunięcie redaktora *Osservatore Romano*, żeby rozwiać wrażenie że w ostatecznym rachunku tym który popełnił błąd był papież”. Daleko idąca konkluzja, zapewne, ale w sytuacji takiej jak obecna nie wolno jej niestety lekceważyć.

28 lipca

W liście z więzienia Adam Michnik mądrze zwrócił uwagę na zjawisko, którego nie mogą pojąć rządzący. Władza przywykła do schematu „inteligentów-manipulatorów za plecami przywódców robotniczych”, toteż sądzi że wystarczy unieszkodliwić przeкупstwem „manipulatorów”, by uspokoili się w końcu „manipulowani”. Tak nie jest. „Intelektualiści (pisze Michnik) są twardzi nie dlatego, że — jak twierdzi Rakowski — dąsają się na rząd; są twardzi, bo tak im nakazuje rozum i honor, bo wiedzą że na dalszą metę tylko taka postawa jest społecznie opłacalna”. Przywódcy robotniczy — należałoby dodać — są nieustępliwi nie dlatego, że nadal ulegają odruchowo „podszepcom manipulacyjnym”; ich nieustępliwość jest owocem społecznego dojrzwania, które w sierpniu 1980 przerodziło się w ogromny ruch autonomiczny. Lektura takich choćby książek jak KOR Jana Józefa Lipskiego, tom szkiców Krzysztofa Pomiana o Solidarności czy antologia Grażyny Pomian *Polska „Solidarności”* uprzątnia jak się to dojrzwianie krok po kroku odbywało. Jeżeli w moim prowizorycznym bilansie wizyty papieskiej nie pominąłem, wśród szeregu wariantów, groźby częściowego obsuwania się społeczeństwa w zobojętnienie i neutralizację wobec perspektywy kompromisu Kościół - Państwo (zawieranego ponad nową świadomością społeczną, lub obok niej), to w tym jedynie celu by jasne było co podobny kompromis musiałby oznaczać: nie rzeczywistą próbę wyjścia z permanentnego stanu wojenne-

go, lecz chwilowe zagwoźdzenie i zamrożenie niezniszczalnych już aspiracji do zmian autentycznych. W imię „stabilizacji” — tym razem „dużej”, bo wojskowej — na gruncie układu wyłączającego dopuszczenie społeczeństwa do głosu w jakiegokolwiek wiarygodnej formie.

Trudno przewidzieć następstwa kompromisu. Czy uda się w najbliższej przyszłości uniknąć procesów rozbicia i dezorientacji, zarówno w społeczeństwie jak i w Kościele?

31 lipca

Jesienią 1981 roku, nazajutrz po spotkaniu Glemp - Jaruzelski - Wałęsa, nadarzyła mi się sposobność porozmawiania w Rzymie z wybitnym ekspertem Solidarności. Usiłowałem wy badać, czy bierze w rachubę scenariusz interwencji wojskowej. Opowiedział mi o przeprowadzonym wśród żołnierzy „tajnym sondażu”, którego wyniki „przeciekły” do kierownictwa Solidarności. W tym „tajnym sondażu” postawiono żołnierzom jedno tylko pytanie: „Czy jesteś gotów bronić zdobyczy socjalizmu?”. Piętnaście procent odpowiedziało: tak, reszta: nie. Mój rozmówca opowiedział mi to takim tonem, jakim wyciąga się z zanadru argument nieodparty i zamykający dyskusję. Było oczywiste, że nigdy nie służył w wojsku.

Rzymska rozmowa przypomniła mi się podczas czytania ostatniego numeru *Głosu*, pozacenzuralnego pisma warszawskiego. Zespół *Głosu* ogłosił w nim wielki „program bieżący” *Odbudowa państwa*. W telegraficznym skrócie wygląda on następująco. Okres legalnej Solidarności był okresem „rozpadu PRL jako państwa partyjnego”. Co zajęło miejsce „państwa partyjnego”? *Głos* nie używa określenia „państwo wojskowe”, ale ma je wyraźnie na końcu języka. Że zaś „państwo” jest i powinno być dla nas wartością najwyższą, a „wojsko” należy do trzech polskich sił „trwałych” (obok Kościoła i Solidarności), w naturze rzeczy leży korzystne dla wszystkich trójporozumienie. „Wojsko nie jest w stanie odtworzyć państwa bez współdziałania z narodem”. Więcej: albo wojsko „zejdzie ze sceny politycznej do koszar”, albo „utrwali i umocni swą pozycję polityczną, co może się stać jedynie dzięki zawarciu porozumienia z Kościołem i Solidarnością, jako trzeci realny — i zbrojny! — czynnik narodowej siły”.

Podaję, że do Zespołu *Głosu* „przeciekły” ostatnio wyniki nowego „tajnego sondażu”, przeprowadzonego wśród wyższej kadry dowodzącej (od majora wzwyż). Oficerom postawiono jedno tylko pytanie: „Czy jesteś gotów bronić ustroju, czy państwa?”. Piętnaście procent odpowiedziało: ustroju, reszta:

państwa. Wyniki nowego „tajnego sondażu” mieszczą się dobrze w „etatystycznej legitymizacji rządów Jaruzelskiego”, o której inteligentnie pisze w ostatnim *Pulsie* Maciej Kiernowski, nazywając ją „podwójnym oszustwem”.

„Program bieżący” Zespołu *Głosu* napisany został w przededniu wizyty papieskiej i kończy się tak: „Czas nagli. Wszyscy jakbyśmy skupili zwarli się w sobie w oczekiwaniu na Jana Pawła II, na Jego pielgrzymkę narodowej nadziei. 23 czerwca Ojciec Święty odjedzie. Nadzieja, którą przyniesie — pozostanie. Na takim fundamencie będzie można wiele zbudować”. Autorzy *Odbudowy państwa* mogliby sobie śmiało podarować troskę o dwa człony proponowanego trójporozumienia, Kościół i wojsko; gorzej czy lepiej poradzą sobie jakoś same. Naszym głównym zadaniem jest odbudowa członu trzeciego, bez którego „ideologia etatystyczna” stanowi pułapkę dla naiwnych, wciąganych na manowce pod osłoną mgły patriotycznej.

Więc naprawdę pytanie kończące mój poprzedni zapis jest aż tak aktualne?

3 sierpnia

Dedykacja Tibora Déry na polskim wydaniu *Niki* z moją przedmową wskazuje, że spotkaliśmy się w Lacco Ameno na Ischii 5 stycznia 1964 roku. Siedemdziesięcioletni pisarz węgierski przyjechał tam z żoną na dwa tygodnie, jako gość swego wydawcy włoskiego. Była to jego pierwsza podróż zagraniczna po rewolucji 1956 roku. Aresztowano go w kwietniu 1957 roku, skazano w listopadzie tegoż roku na dziewięć lat więzienia. Kadarowska amnestia otworzyła przed nim drzwi celi w roku 1960. Wyszedł na wolność z podkopanym zdrowiem.

Spędziliśmy razem pół dnia. Po latach pamiętam z naszych rozmów opowieść o tym, jak go przed wyjazdem wezwano do Kadara. „Radzę ci po przyjacielsku unikać za granicą w ogóle tematów politycznych, a zakazuję kategorycznie poruszania jednego tematu”. Tematem zakazanym była Rosja. W rozmowie na Ischii autor *Niki* wolał używać słów „Rosja”, „rosyjski”, zamiast „ZSSR”, „sowiecki”. W pożegnalnej odprawie w Budapeszcie nowy pierwszy sekretarz nie musiał używać ani jednych, ani drugich; wystarczyło wspomnieć o temacie zakazanym kategorycznie.

Utkwił mi w pamięci wywód Tibora Déry o „amputacji”, wart może zanotowania gdy w prasie krajowej tak często zachwala się „węgierski model” upragnionej i definitywnej „normalizacji”.

— Rozjechano nas, Węgrów, na drodze do własnego życia narodowego. Kadar podjął się, za zachętą sprawców katastrofy, amputacji ciężko rannego narodu. Operacja udała się o tyle, że pacjent nie umarł. Ale żyć musimy na wózku. Widział pan kiedy kalekę na wózku? Ma dobry, czasem aż za dobry apetyt, porusza się na swoim wózku coraz żwawiej, pozwala sobie nawet na karkołomne obroty, dokucza mu tylko okresami ból amputowanych nóg. Lekarze twierdzą, i słusznie bodaj, że z biegiem lat ten ból zanika. Można zatem mieć pewną nadzieję, że w przyszłości i my dojdziemy do optymalnego samopoczucia kaleki na wózku. I że moich następców nie trzeba już będzie ostrzegać jakich tematów nie wolno im poruszać, o czym dla własnego dobra powinni raz na zawsze zapomnieć. Co do mnie, jestem za stary na pełną rekonwalescencję po amputacji. Mam przed sobą niewiele lat życia z powracającym stale, wciąż dotkliwszym bólem.

6 sierpnia

Marguerite Yourcenar pisze w książeczce *Mishima ou la vision du vide*, że jego słynna nowela *Patriotyzm* powinna się nazywać *Lojalność*. Bohater, młody porucznik Shinji, popełnia z młodszą od siebie świeżo poślubioną żoną Reiko *harakiri*, powodowany raczej lojalnością wobec przyjaciół niż patriotyzmem. Rzecz dzieje się w Tokio w roku 1936. Zostaje wykryty i stłumiony w zarodku bunt grupy oficerów, do której należał Shinji. Ponieważ po ożenku odsunięto go chwilowo od przygotowań, unika aresztowania. Spiskowcy mają być rozstrzelani. Wieczorem, w przeddzień egzekucji, Shinji wraca do domu z decyzją popełnienia *harakiri*. Reiko, na własną prośbę i za zgodą męża, odbierze sobie życie natychmiast po jego śmierci. Długą, okrutną scenę podwójnego samobójstwa poprzedza równie długa, wspaniała scena ostatniego aktu miłości.

Mishima sam sfilmował swój *Patriotyzm*, sam też wystąpił w roli porucznika Shinji obok bardzo pięknej aktorki w roli żony, w filmie piękniejszym jeszcze od noweli (jak twierdzi Marguerite Yourcenar). Ten film pokazywano wielokrotnie, gdy Mishima w listopadzie 1970 roku, u szczytu sławy pisarskiej i o krok od Nobla, w wieku czterdziestu pięciu lat, powtórzył w rzeczywistości swoje aktorskie *harakiri*. Na czele grupy młodych wyznawców wtargnął do urzędu szefa sztabu głównego armii, kazał go przywiązać do krzesła, wygłosił z balkonu krótkie przemówienie do żołnierzy na dziedzińcu, po czym na oczach związanego generała popełnił *harakiri* wraz z jednym z towa-

rzyszających mu młodzieńców. W jego przemówieniu do żołnierzy były takie zdania: „Widzimy jak Japonia pogrąża się w absolutnym milczeniu ducha; dobrobyt uderzył jej do głowy... Zamyślamy przywrócić jej dawną postać i umrzemy czyniąc to... Czyż podobna, by wystarczało wam życie w świecie, w którym umarł duch?... Nasze wartości fundamentalne, nasze wartości autentycznie japońskie, są zagrożone”. Premier japoński, obleżony przez dziennikarzy zaraz po tragedii, wysunął hipotezę „obłądu” pisarza. Matka Mishimy oświadczyła: „Nie opłakujcie go, po raz pierwszy w życiu zrobił to co pragnął zrobić”. Rok wcześniej Mishima pisał: „Kiedy ogarniam myślą ostatnie dwadzieścia pięć lat, ich pustka przejmuję mnie zgrozą; mogę ledwie powiedzieć, że żyłem”. Stąd pewnie tytuł książeczki Marguerite Yourcenar: *Wizja pustki*.

Różnie komentowano *barakiri* Mishimy. Nazywano go „fałszywą” lub łagodniej „prawicowym fanatykiem”, z większą subtelnością rozpisywano się o „konserwatywnym dekadentyzmie”, przypominając że Mishima był admiratorem D’Annunzia i przełożył nawet na japoński jego *Męczeństwo Świętego Sebastiana*. W *Patriotyzmie* Shinji leży nagi na łóżku i oczekuje Reiko. „Splótł ręce pod głową i patrzył na ciemny sufit, poza zasięgiem światła lampy. Oczekiwał w tej chwili śmierci? Czy dzięki ekstazy zmysłów? Oba obrazy zdawały się nakładać na siebie, jak gdyby przedmiotem jego pożądania fizycznego była sama śmierć. Ale jakkolwiek się rzeczy miały, porucznik nigdy dotąd nie zaznał podobnego uczucia całkowitej wolności”. W tym wzajemnym przenikaniu się miłości i śmierci tkwi tęsknota Mishimy do absolutu. Mishima albo *wizja pustki*, czy Mishima albo pragnienie absolutu? Oba tytuły nakładają się na siebie, jak gdyby przedmiotem pragnienia absolutu okazywała się nagle *wizja pustki*; z przelotnym, ostrym, nieznanym dotąd doznaniem uczucia całkowitej wolności.

9 sierpnia

„Lato, wakacje, kurz i skwar, skwar i kurz. Ciężko siedzieć w mieście. Wszyscy się rozjechali”. Tak zaczyna się jeden z „małych obrazków”, którymi Dostojewski lubił urozmaicać „kronikę petersburską” w swoim *Dzienniku pisarza*. A oto mój letni „mały obrazek” z „kroniki neapolitańskiej”.

Zatytułuję go *Koty*. Koty są u nas nocnym termometrem skwaru. W dzień termometry są zbyt ciche: czterdzieści, pół stopnia mniej, pół stopnia więcej. Słońce łupie po głowach tych, co z konieczności spełniają rolę „rzadkich przechodniów”. Sa-

mochody robią wrażenie uciekających w popłochu przed pościgiem. Pstawo na ulicach i placach, chociaż nie wszyscy się rozjechali. Ratunkiem jest siedzieć w domu, przy opuszczonych żaluzjach. W półmroku ekrany telewizyjne wybuchają zdjęciami dalekich pożarów. Dalekich i tak bliskich, jakby płomienie wyrwały się z lasów i podpełzały do rogatek miasta.

Nocą z dziur w murach, z podziemnych lochów, z piwnic, z kapliczek ulicznych wyłażą koty. Ich krzyk jest termometrem upałów. Rośnie z nocy na noc, w miarę jak wzrasta się rozprężony i wilgotny zarazem oddech upalnych dni. Krzyk najpierw błagalny, potem rozpaczliwy, wreszcie wściekły. Przemykają się pod ścianami domów, zastygają w kątach bram, zbiegają i wbiegają po schodach między górnymi i dolnymi ulicami, wpadają niekiedy z rozpędu na jezdnię (i bywa że tam już zostają, krwawy ślad przejazdu i poślizgu automobilisty). Są w większości bezpieczne, wygłodniałe po dziennym wyczekiwaniu w kryjówekach. Nie często w Neapolu zabiera się ze sobą koty na wakacje.

„Mały obrazek” z „kroniki neapolitańskiej” będzie miał trochę bardziej budujące zakończenie w opisie późnych „małych godzin” (tak Włosi nazywają godziny po północy, *le ore piccole*). Pojawiają się wtedy na ulicach i w zaułkach, niezależnie od rosnących upałów, miłośnicy kotów z resztkami jedzenia w torbach i zawiniątkach. Tam gdzie się pojawiają, koci krzyk na krótko słabnie.

Byłoby ciekawe ułożyć typologię miłośników kotów. Kto, dla czego i za co je kocha? Na przykład ze starej „kroniki neapolitańskiej” wiem, że sławnym „królem kotów” był na początku stulecia pewien emerytowany profesor uniwersytetu. Ale kiedy się do niego mówiło: „Pan, który tak kocha koty...”, odburkiwał gniewnie: „Ja kocham koty? Nienawidzę ich, nienawidzę, bo muszę, absolutnie muszę, zająć się każdym kotem potrzebującym opieki i pomocy. Każdym napotkanym, ślepym czy parazytem, kulawym czy zawszonym”. Podobno wierzył skrycie, że dusze zmarłych wstępują w ciała kotów, żył zaś od wielu lat w sieroctwie po stracie żony i dwojga dzieci podczas epidemii cholery.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI



Hanna Świdarska, Greenford, Mddx (Wielka Brytania — na niezależne wydawnictwa w Kraju	F. 500,00
J. Talaga, Manchester (USA) — \$ 10,00	F. 79,00
Barbara Toruńczyk, Paryż — zamiast kwiatów na grób Ojzasa Szechtera, w pierwszą rocznicę Jego śmierci — na Fundusz oporu w Kraju	F. 100,00
W pierwszą rocznicę śmierci Jerzego Jana Piórkowskiego, zmarłego 1. 10. 1982 r., Żona Eugenia i Córka Krystyna z Nowego Jorku — \$ 20,00	F. 158,00
Zamiast kwiatów na grób Oleńki Wrońskiej — „Cioci-Babci” — zmarłej w Australii — przyjaciele z Wiednia	F. 200,00
Zamiast kwiatów na grób śp. Ojca i Dziadka w 10-lecie Jego śmierci — na pomoc dla więźniów politycznych — Maria Winiarska i Synowie — Krs 1.000,00	F.1.000,00

WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z RFN	F. 313,99
Krystyna Kucharska, Wiedeń, po raz 2-gi	F. 148,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ 100,00	F. 790,00
Stanisław Pokładzki, Waldkraiburg (RFN)	F. 596,82
Polish-Canadian Action Group „Solidarność i Niepodległość”, Toronto, Ont. (Kanada) — nadesłał skarbnik Ryszard Kenny-Krajewski — \$ c. 1.000,00 oraz \$ c. 500,00 = \$ c. 1.500,00	F.9.300,00
B. i S. Rostonic, Uppsala (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób prof. Józefa Trypućko	F. 75,76
Wojciech Szczygielski, Zurych — na pomoc dla uwięzionych i działających w Podziemiu członków „Solidarności” — Frs 50,00	F. 185,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” w Winnipeg, Man. (Kanada) — na „Solidarność” regionów: bydgoskiego, poznańskiego i wrocławskiego — po \$ US 250,00 = \$ US 750,00	F.5.940,00
Norbert Żaba, Stockholm — zamiast kwiatów na grób śp. prof. Józefa Trypućko — Krs 100,00	F. 100,00

◆

Leszek Starzyński, Dardagny (Szwajcaria) — na pomoc dla uwięzionych członków KOR-u i ich rodzin	F.1.000,00
---	------------

◆

Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada), na obronę uwięzionych w Polsce KOR-owców i SOLIDARNOŚ-ciovców — zgodnie z ostatnim apelem pani Anieli Steinsbergowej — \$ c. 2.000,00	F.12.000,00
---	-------------

Oczyma pamiętnikarzy

Nim dobiegł termin nadsyłania prac konkursowych na „Pamiętnik z ostatnich siedmiu lat w Polsce” zainicjowany przez redakcję *Kultury* i Radio Wolna Europa, już było wiadome, że niepokoje organizatorów co do wyników przedsięwzięcia okazały się bezzasadne.

Polityczno-polityczne restrykcje zamykające dostęp *Kultury* do kraju i systematyczne zagłuszanie RWE uniemożliwiły szerokie rozpowszechnienie konkursu w kraju, a co ważniejsze utrudniły przesłanie pamiętników tym, którzy chcieli wziąć w nim udział. Z trzech anonowanych rękopisów — w jednym przypadku nadeszła już nawet koperta z godłem — nie dotarł ani jeden. Rozproszenie emigrantów po świecie, a zwłaszcza uciążliwa adaptacja najnowszej fali, do której w pierwszym rzędzie konkurs był adresowany, również nie sprzyjały masowym odpowiedziom. W tych warunkach wpłynięcie 70 prac, w tym 9 z kraju, liczących łącznie ponad 4,5 tys. stron należy uznać za wynik zadowalający, tym bardziej, że prawie każda z nich wnosi wiele nowego do naszej wiedzy o Polsce lat ostatnich.

W konkursie wzięli udział przedstawiciele różnych kręgów społecznych z różnych regionów kraju; pracownicy umysłowi i naukowcy, robotnicy i technicy, dziennikarze i studenci, działacze opozycji demokratycznej i niedawni funkcjonariusze Solidarności. Wzięli udział młodzi, dla których „Solidarność” była wielką przygodą ale i pierwszym decydującym egzaminem dojrzałości politycznej oraz przedstawiciele starszego pokolenia, rozpoczynającego działalność opozycyjną kilka lat temu. Zabrakło przedstawicieli chłopów, nomenklatury (wpłynął natomiast pamiętnik syna sekretarza) i księży, by przekrój społeczeństwa był w pełni reprezentowany.

Zdecydowana większość biorących udział w konkursie to emigranci najświeższej daty, często przybyli na Zachód już po zamachu stanu. Wielu z nich przebywało jeszcze w ośrodkach tranzytowych, inni dopiero się instalowali w miejscu nowego osiedlenia, tj. w Stanach Zjednoczonych, Australii, Francji i Niemieckiej Republice Federalnej. Świadomość przymusowej, nierzadko wymuszonej emigracji, niepewność swojej aktualnej sytuacji i obawa o los bliskich pozostawionych w kraju rzadko wyrażała się w opisach pełnych zacietrzewienia i przesady. Gdy porównać artykuły z urzędowej prasy i oficjalne pamiętniki*, kipiące od nienawiści i wyssanych z palca pomówień, z tymi spokojnymi opowieściami o ludzkiej krzywdzie — różnica postaw moralnych jest uderzająca. Brak zapalczywości i osobistej nienawiści w opisie faktów, dbanie o dokładność i rzeczowość, częściej sucha relacja niż popisy wyobraźni — wszystko to pozwala założyć wysoki stopień wiarygodności przysłanych pamiętników.

Chociaż temat konkursu nie był zbyt ściśle sformułowany, większość uczestników prawidłowo odczytała intencje jego organizatorów i opisywała wydarzenia, w których brała bezpośredni udział. Ogólnych traktatów polityczno-filozoficznych, zabarwionych gołosłowną frazeologią antykomunistyczną, podobnie jak pseudo opowiadań literackich było niewiele i z konieczności zostały zdyskwalifikowane jako nie odpowiadające warunkom konkursu. Pamiętnikarze rzadko przedstawiali historię swojego życia w ciągu siedmiu lat. Koncentrowali się przeważnie na zdarzeniach, które — jak można przypuszczać — wywarły decydujący wpływ na ich postawę i niejednokrotnie określiły dalszą drogę życiową. Opis konkretnych faktów lub opis przebiegu strajków czy stosunków ludzkich w jakimś prowincjonalnym zakładzie, często zresztą mało znanych, jest niezmiernie cenny, ale może najciekawsza z punktu widzenia naszej wiedzy o społeczeństwie polskim jest próba przedstawienia przez pamiętnikarzy stanu własnej świadomości i motywów angażowania się w działalność społeczną, czy też motywów opuszczenia kraju. Z brutalną szczerością, odsłaniając własne słabości przedstawiali siebie i swoich najbliższych takimi, jak byli w istocie, a nie jako wyidealizowane postacie z bajek dla dorosłych. Bez wielkiej przesady można po-

* W kraju od dawna trwa moda na pamiętnikarstwo i nie ma prawie kwartału, by jakaś instytucja lub czasopismo nie ogłosiło własnego konkursu, przeważnie wkrótce przez wszystkich zapomnianego. Niektóre z nich zasługują jednak na uwagę, np. ogłoszony przez *Życie Partii* (dwutygodnik PZPR) w 1982 roku konkurs pt. „Powrót do źródeł”. Nie wdając się w szczegóły warto jedynie zauważyć, iż najczęściej przywoływanym „źródłem” był okres stalinowski, a najgroźniejszym przeciwnikiem działacz „Solidarności”, każdego, nawet najniższego szczebla.

wiedzieć, że prace konkursowe już dzisiaj są bezcennym materiałem dokumentalnym dla każdego badacza dziejów najnowszych.

Bez względu na zakres pola obserwacji pamiętnikarza i umiejętności opisu jego własnych losów w sposób przekonujący, każdy pamiętnik jest cenny i każdy wart uwzględnienia w pracy badawczej. Lecz konkursem rządzą inne kryteria. Jury miało obowiązek wyselekcjonowania prac najpełniej, najrzetelniej ilustrujących historię i problemy społeczno-polityczne ostatnich lat, a jednocześnie takich, w których nie zgubiłaby się ludzka postać i jej osobiste sprawy. Nie było to łatwe zadanie. Pierwszymi selekcyonerami byli: Gustaw Herling-Grudziński i Grażyna Pomian którzy, po wnikliwym przeczytaniu wszystkich prac i jednoznacznej decyzji, odrzucili 30 pamiętników, ich zdaniem nie nadających się do dalszych obrad. Pozostałych 40 prac zostało już przeczytanych przez wszystkich jurorów, którzy na wspólnym posiedzeniu wybrali 12 laureatów. O ile nie było żadnej różnicy zdań co do dwóch pierwszych nagród, o tyle większe trudności wyłoniły się z pozostałymi. Każdy z jurorów miał swoje „typy” i każdy — przekonujący racje za przyznaniem określonej nagrody. Wiele propozycji było oczywiście zbieżnych i nie było zasadniczych rozbieżności między jurorami. Rozszerzając pulę nagród za cenę zmniejszenia ich wysokości osiągnęliśmy kompromis i uwzględniliśmy różne propozycje, co nie znaczy, że wszystkie prace, które zasługiwały na nagrodę mogły ją otrzymać. Uhonorowaliśmy pamiętniki, co do których wszyscy byli przekonani, że indywidualne losy bohaterów są dość typowe dla członków „Solidarności”.

Bogactwo problemów pojawiających się w pamiętnikach niełatwo daje się ująć w schematy analityczne. Niemniej przynajmniej jeden z trzech następujących tematów odnajdywał się w każdym pamiętniku: opis warunków życia i stosunków społecznych w okresie gierkowskim, ewolucja postaw wobec reżymu, przebieg i konsekwencje wybuchu wojny jaruzelskiej.

Trudności i kłopoty życia codziennego realnego socjalizmu były wielokrotnie opisywane, a jednak pamiętnikarze, szczególnie praca pt. „Moje życie w PRL” (trzecia nagroda) ujawniają takie strony życia w okresie gierkowskim, z którymi na ogół nie stykali się intelektualści czy mieszkańcy wielkich miast. Starania o zapewnienie rodzinie znośnych, rzecz można normalnych warunków życia wymagają niesłychanej energii i sprytu. Codziennosc składa się bowiem z tysięcy spraw, których załatwienie wymaga uciążliwych zabiegów. Nic nie jest proste. Ani kupno szafy czy lodówki, ani wyjazd na urlop. W niektórych przypadkach załatwienie lub niezałatwienie sprawy rozstrzyga o lo-

sach rodziny. Na przykład umieszczenie dziecka w przedszkolu lub oja w szpitalu, a przede wszystkim uzyskanie własnego mieszkania. Ich pomyślne rozstrzygnięcie wymaga przeważnie łapówki lub protekcji. Uczciwość, pracowitość, zdolności czy zaradność — cechy wynagradzane i premiiowane w normalnie zorganizowanym społeczeństwie — niewiele znaczą w Polsce, jeśli nie są wspierane przez pieniądze i cwaniactwo. Pamiętnikarze wspominają o tym, jak dawali łapówki i jak je brali, jak pogardzając „układami” sami z konieczności coraz bardziej się w nie wkleli. Dwa razy wspomniano nawet o kradzieży. Z reguły załatwianiu „sprawy” towarzyszy alkohol. O piciu wspominają studenci, robotnicy i inteligenci. Jedni piją bo chcą coś załatwić, inni opijają sprawę załatwioną, a wszyscy, bo źle się czują w swojej skórze. Co gorsza, pojawiły się również narkotyki, zwłaszcza wśród młodzieży. Narkotycznym ucieczkom w inny świat poświęcony był w całości jeden z pamiętników.

Największymi ofiarami realnego socjalizmu są kobiety. Rozdarciem między pracą, domem a rodziną, wypełniają swoje obowiązki kosztem własnego zdrowia i nerwów. Nie jest więc sprawą przypadku, że właśnie one są często inicjatorkami emigracji rodziny bądź też zwolenniczkami czynnego oporu wobec reżymu, który stwarza im coraz trudniejsze warunki życia.

Pojęcie dobrej roboty, nadużywane w propagandzie oficjalnej, staje się w coraz większym stopniu mitem, tak jak wiele innych rzeczy w Polsce. Bez względu na zawód pamiętnikarza dawało się wyczuć znużenie pracą zawodową, która mimo ambicji i starań i nie dawała spodziewanych rezultatów. Jak gdyby jakaś tajemnicza siła leżąca poza jednostkowymi możliwościami niszczyła ogrom włożonego wysiłku. A przecież pamiętnikarze nie zapominali wspomnieć, że byli rzetelnymi pracownikami i na dowód swych słów dołączali niekiedy dyplomy i dokumenty o nagrodach.

Stosunkowo rzadko opisywano stosunki w miejscu pracy. Niemniej z niektórych pamiętników można odtworzyć zatrutą atmosferę, w jakiej ludzie pracowali i nadal pracują. Decydujący głos kierownika — a każdy ma swojego „pana kierownika” i każdy z nich może być odpowiednio groźny — redukuje teoretyczne prawa pracownicze. Pracownik, jak zresztą i kierownik, jest zależny od wewnętrznych „układów”. Niekiedy niegroźnych, a nawet ułatwiających życie, czasem jednak niszczących jednostkę.

W tych warunkach jedynym miejscem wytchnienia staje się dom. Rodzina i krąg przyjaciół jest jedynym miejscem, w którym zapracowany i nierzadko zastrachany obywatel przeistacza się w szanowanego człowieka mówiącego swoim własnym językiem.

Zapobiegliwa krzątająca się do urzędu sobie w miarę przyzwoitego i wygodnego życia prowadziła w gruncie rzeczy do atomizacji życia społecznego i zamykania się w prywatności. Każdy dla siebie — to linia postępowania wielu pamiętnikarzy, jak i ogromnej części społeczeństwa. Grupą może nie liczną ale dobrze widoczną byli ci, którzy znakomicie dostosowali się do gierkowskiego systemu rządów. Jej przedstawiciele odnaleźli się również wśród pamiętnikarzy. Potępiając ustrój komunistyczny — wielu z nich szczerze i z przekonaniem — umieli do maksimum wykorzystać wszystkie jego awantaże lub korzystając ze szczelin prowadzić kapitalistyczne interesy. Żyli dobrze bez większych kłopotów. Pomnażali majątek, jeździli za granicę, nie zajmowali się polityką, ot uprawiali taką maleńką polską *dolce vita*. Dla wielu z nich wstrząsem moralnym było dopiero powstanie „Solidarności”.

Zmęczenie codziennością i beznadziejnością życia powodowało, że pamiętnikarze gorączkowo szukali jakiegoś wyjścia, jakiegoś ratunku. Niewiedzy decydowali się nawet na zapisanie do PZPR, licząc, że może w ten chociaż sposób pomogą sobie w życiu. Cud przeważnie nie następował. Naiwni nie zdawali sobie sprawy, że w PZPR niby wszyscy są równi, ale niektórzy nieco równiejsi i by skorzystać z „łask” trzeba wielu rzeczy się zaprzeć, zmienić siebie ale również stosunek do otoczenia. By tego dokonać, trzeba nie tylko chęci lecz także odpowiednich dyspozycji psychicznych. Proces przystosowywania się do PZPR wyglądał oczywiście inaczej wśród robotników, spośród których stosunkowo najwięcej wyszło z partii w czasie „Solidarności” i wojny jaruzelskiej, a inaczej wśród inteligentów dbających o karierę. Ze strony pamiętnikarzy należących do tej ostatniej kategorii zabrakło rozrachunku z własną przeszłością, często nawet szerszej informacji na ten temat.

Bez uwzględnienia roli radia i telewizji obraz życia społecznego sprzed „Solidarności” byłby niepełny. Prawie w każdym domu był telewizor i prawie w każdym — jak można domniemywać — zmordowani całodziennym wysiłkiem ludzie oglądali telewizyjną bajkę o kraju mlekiem i miodem płynącym. Niektórzy z pamiętnikarzy wspominają o narastającej głuchej nienawiści wobec nawałnicy kłamstwa i bzdur, czasem powtarzają bezwiednie jakąś propagandową plotkę, lecz nikt z oglądania telewizji nie rezygnował. U wielu z nich, nie tylko u robotników, widać zresztą wpływy języka telewizyjnego. Ile razy przechodzą od spraw jednostkowych i osobistych do ogólnych, mają tendencję do posługiwania się frazesami zaczerpniętymi z oficjalnej propagandy. Zużyte formuły nabierają niekiedy zupełnie innego znaczenia i kolorytu, gdy w opisie sytuacji życiowej i konfliktów

społecznych pamiętnikarzy używają tradycyjnego języka marksistowskiego. Do rozpowszechnienia propagandy sukcesu walnie przyczynili się dziennikarze. Wśród pamiętnikarzy odnalazło się ich 11. Niewielu jednak — w tym jedna trzecia nagroda — zdobyło się na pogłębioną analizę mechanizmów funkcjonowania instytucji propagandowych m.in. radia i telewizji. Zabrakło również z ich strony samokrytycznego spojrzenia na własną rolę współtwórców propagandy sukcesu. Dla większości z nich życie jakby się zaczęło wraz z „Solidarnością”. Niewiele można się dowiedzieć o ich ewolucji od posłusznego dziennikarza do opozycjonisty. A szkoda.

Zróżnicowanie sytuacji materialnej i społecznej pamiętnikarzy szło w parze z ich odmiennymi poglądami politycznymi. Są wśród nich zdecydowani przeciwnicy reżimu komunistycznego, lecz są i jego niedawni zwolennicy, których ewolucję polityczną pobudziło powstanie „Solidarności”, a reszty dokończył zamach 13 grudnia. Są osoby świadome swych przekonań o ugruntowanym światopoglądzie i takie, które swój sprzeciw wobec reżimu bardziej wywodziły z postawy moralnej niż przekonań politycznych. A jednak opis ewolucji postaw i poglądów pamiętnikarzy nie jest łatwy. Deklaracja stanowiska politycznego, z reguły antykomunistycznego, rzadko jest wsparta opisem własnych zachowań przed „Solidarnością”. Niekiedy między deklaracją a relacją następuje dysonans i można się było domyślać, że opozycjonizm był raczej wątplę natury. Stosunkowo liczni są pamiętnikarze, którzy opisując swój sprzeciw wobec reżimu unikają zdefiniowania własnych poglądów, tak jakby celowo uciekali od wszelkich uogólnień. Z analizy pamiętników wyłaniają się jednak pewne typy zachowań społecznych, ale granica między nimi nie jest ostra i w żadnym wypadku nie można ich przenosić na całe społeczeństwo.

Stosunkowo nieliczni są ci, którzy nie mieli zbyt wielkich pretensji do reżimu gierkowskiego. Byli wśród nich członkowie PZPR i bezpartyjni. Nie zgadzając się z takim czy innym zjawiskiem a nawet przeciw nim protestując, nie występowali przeciw temu, co je czyniło możliwym. Można to wyrazić inaczej: w ich pamiętnikach nie widać, by spostrzeżone i krytykowane negatywne zjawiska były odnoszone do ideowych założeń ustroju. Niektórych pamiętnikarzy dopiero 13 grudnia i jego następstwa wyprowadziły z letargu. Na przykład na znak protestu przeciw masowym internowaniom po krótkich wahaniach jedna pamiętnikarka oddała legitymację... Ligi Kobiet. Chęć urzędowania się, np. zdobycia lub utrzymania stanowiska była niekiedy silniejsza niż zasady moralne i z reguły szła w parze z całkowitą biernością polityczną czasem nawet z uległym konformizmem.

Młody dziennikarz w przesłanym z kraju pamiętniku pisze (z dumą?, ze wstydem?), iż cenzura nigdy nie ingerowała w jego teksty, gdyż świadom swych poglądów pilnował się o wiele lepiej niż jego koledzy aktywiści. Łatwo stwierdzić, że nikt z jego otoczenia nie domyślał się nawet, że współpracuje z nieprzejednanym przeciwnikiem ustroju. W innych przypadkach wzrastające obrzydzenie i nienawiść do otaczającej rzeczywistości prowadziły pamiętnikarzy do rewolty: awantury w miejscu pracy, niekiedy do emigracji czy wreszcie do jawnej opozycji. Większość biorących udział w konkursie, podobnie jak większość społeczeństwa starała się po prostu zachowywać porządek, tj. uczciwie pracować, przechowywać tradycje, dobrze wychowywać dzieci i nie dać się spodlić. Można powiedzieć — tak mało, ale trzeba żyć w Polsce, by silić się na ostrzejsze definicje. Z tej rzeszy rekrutowali się zresztą późniejsi członkowie „Solidarności” i jej aktyw organizacyjny.

Wielkim wstrząsem moralnym była pierwsza wizyta Jana Pawła II. Uświadomienie sobie więzi — nie tylko religijnych — z innymi Polakami osłabiło atomizację społeczeństwa. Spotkanie z papieżem-Polakiem pozwoliło na inne spojrzenie na siebie samego i na własny kraj. Niektórzy z pamiętnikarzy wspominają, iż po raz pierwszy pomyśleli, że mają również obowiązki wobec ojczyzny, które nie są zgodne z urzędowym patriotyzmem. Innym bodźcem wybijającym z letargu, niekiedy pochodnym wobec pierwszego, było zainteresowanie działalnością opozycyjną. Gazetki i książki były pierwszym zetknięciem z wolnością i pluralizmem. Przeważnie ograniczano się do ich czytania, czasem do kolportowania, znacznie rzadziej czynnie włączano się do pracy. Opisy działalności opozycyjnej (Ruch Młodej Polski, środowisko poznańskie, gdańskie, warszawskie) z wyjątkiem jednego robotnika — późniejszego sygnatariusza Umów Gdańskich i laureata pierwszej nagrody — pochodzą ze środowiska inteligenckiego. Co nie znaczy, że działacze związkowi — robotnicy, których udział w konkursie był zresztą stosunkowo nieliczny, byli pozbawieni doświadczenia politycznego. Udział w strajkach lub pamięć o wydarzeniach 1970 roku były dla nich doświadczeniem jednoznacznie określającym ich stosunek do reżimu.

Zetknięcie z opozycją następowało przeważnie przypadkowo. Decydowały o tym kręgi rodzinne, przyjacielskie czy kontakty studenckie. Przystąpienie do opozycji było niekiedy — przynajmniej na początku — traktowane jako atrakcyjna przygoda, w innych przypadkach towarzyszyła mu determinacja i rozważa. Prawie wszyscy działacze przyznają się do strachu i lęku przed prześladowaniami policyjnymi, do obawy o los najbliższej rodziny, ale wszyscy podkreślają, że opozycja uczyniła z nich ludzi

wolnych, bo wyzwolonych z totalitarnego zastraszenia. Ich życie stało się pełniejsze i bogatsze, dlatego też z niego nie rezygnowali mimo stałych pogróżek i policyjnych szykan. Poczucie spełniania historycznej misji nie zmieniało działaczy w ascetów i uduchowionych proroków. Wręcz przeciwnie. Życie toczyło się normalnie. Opozycja pracowała, działała, czasem siedziała w areszcie i często bawiła się. Tworzyła własne wartości i reguły postępowania, a nawet swój własny żargon. Jedyną bronią jaką dysponowała przeciw reżymowi — poza przekonaniem o słuszności własnych działań — były silne więzi przyjaźni i ludzka solidarność. I może dlatego reżym był wobec nich tak bezradny. Aczkolwiek kręgi opozycyjne coraz bardziej się rozszerzały, ogarniając rozmaite grupy społeczne, to jednak ich członkowie — przynajmniej dotyczy to pamiętnikarzy — mieli świadomość przynależności do elity, do grupy wybrańców. Narodziny „Solidarności” radykalnie zmieniły ich sytuację. Nieliczni włączyli się do działalności związkowej. Większość pamiętnikarzy-działaczy korzystając z okazji wyjechała z kraju, by powłóczyć się po świecie i tamże zastał ich zamach stanu, inni poświęcili się pracy zawodowej. Pod tym względem losy pamiętnikarzy pokrywały się z rzeczywistymi losami opozycji. Zbieżność trwa po dzień dzisiejszy. Większość dawniejszych działaczy opozycyjnych bez względu na miejsce w jakim się znajduje nadal czynnie występuje przeciw reżymowi.

Okres „Solidarności” zajmuje sporo miejsca w pamiętnikach. Relacja z codziennej pracy związkowej odgrywa jednak drugorzędną rolę w porównaniu z historycznymi już wydarzeniami takimi jak: strajki sierpniowe, w tym oczywiście gdański, przygotowanie strajku warszawskiego w związku ze sprawą Narożniaka, prokrowacja bydgoska. Wspomina się także o różnych akcjach możliwych dzięki powstaniu „Solidarności” np. o Komitecie Obrony Więźniów Politycznych. Na kartach pamiętników powraca gorączkowa atmosfera tamtych dni, a co ważniejsze ujawniają się postawy ich autorów. Pamiętnikarze piszą już po klęsce „Solidarności”, ale zachowują swoje ówczesne poglądy, co wyraża się m.in. w niezadowoleniu i zniecierpliwieniu powolnym sposobem załatwiania spraw spornych i — poczynionymi przez Związek ustępstwami. Wielu z nich było, a może i jest nadal przekonanych, że rząd i aparat partyjny były na tyle słabe, że zdecydowane i konsekwentne zachowanie władz związkowych mogło wymusić na nich znaczne ustępstwa, a przede wszystkim — realizację podpisywanych umów. Na każdym kroku ujawnia się głęboka nieufność wobec rządu, który jest oskarżany zasadnie o niełojalność i liczne prowokacje. Ale co gorsza, ich nieufność przenosi się na własnych przywódców. Nie ma niekones-

towanych przywódców, raczej można mówić o regionalnych autorytetach. Nie wierząc reżymowi i pogardzając nim, pamiętnikarze są jednocześnie przekonani o sile Związku i do końca zachowują wiarę w jego skuteczność. Nawet po miesiącach trudno im uwierzyć, iż można było z dnia na dzień unicestwić nadzieje 10 milionów Polaków.

13 grudnia dla większości pamiętnikarzy był zaskoczeniem, dla wszystkich — tragedią. Nawet ci, którzy realistycznie oceniali układ sił politycznych i nie zapomnieli o istnieniu aparatu przemocy, nawet oni zostali zaskoczeni. Dla 10 pamiętnikarzy internowanych nocą 13 grudnia było to pierwsze tak drastyczne zetknięcie się z „socjalistyczną praworządnością”. Dla nich, statycznych ojców rodzin, działających w ramach legalnej organizacji i przestrzegających obowiązujących w Polsce praw, nocne wyprowadzenie z domu, często za pomocą podstępów, czasem w bieliznie i kajdankach, a następnie przymusowa izolacja od świata zewnętrznego znaczyły kres wiary w możliwość ewolucji reżymu i w sposób decydujący zaważyły na ich późniejszej decyzji wyjazdu.

Warunki internowania — geografia obozowa jest niezwykle bogata — na ogół różnią się na niekorzyść od tych jakie były w Jaworzu a nawet w Białogórze. Odnosi się wrażenie, że im głębsza prowincja, tym działacze robotniczy byli bardziej szkanowani przez służbę więzienną i tym większa była ich izolacja od rodziny i świata. Nie ulega wątpliwości, że reżym liczył na załamanie się tych właśnie ludzi i rozbicie „Solidarności” za ich pomocą. Prawie każdy internowany opisuje stosunki między uwięzionymi. Najpełniejszy obraz wyłania się z pracy poświęconej Łowiczowi (druga nagroda). Z każdym tygodniem zągęszczała się atmosfera w celach i nasilały kłótnie polityczne. Ujawniał się zdrój słabi, ale większość wychodziła z internowania z podniesioną głową, dochowując wierności sobie i „Solidarności”.

Pozbawieni bieżącej informacji, zdani na domysły, internowani nie zawsze zdawali sobie sprawę z ogromu represji i perfekcji, z jaką została ona zastosowana. Nie zdawali sobie również sprawy z siły oporu pozostałych na wolności członków „Solidarności” i jego długotrwałości. Tymczasem strajki wybuchały, mimo nieobecności przywódców i braku żywności, mimo że ich przywódcy byli przekonani o niewielkiej szansie na zwycięstwo. Przewodniczący „Solidarności” z niewielkiego zakładu na Dolnym Śląsku — nagrodzony drugą nagrodą — opisuje, jak rankiem 14 grudnia zabrawszy zmianę ciepłej bielizny i bochenek chleba, poźegnawszy rodzinę idzie organizować strajk, bo tak mu naka-

zywało sumienie i dyscyplina związkowa. Wraca do domu po 4-ch miesiącach ciężkiego więzienia pozbawiony pracy. Nauczycielka z Krakowa (trzecia nagroda) na wieść o wybuchu wojny, pokonując trudności dostaje się do huty, bo tam zaczynał się strajk. W Nowej Hucie, tak jak gdzie indziej czołgi naprzeciw bezbronnym ludzi. Dezorientacja i brak żywności. Po wyjściu dla jednych więzienie, dla innych, w tym autorki — internowanie. Wzruszająca jest opowieść prządki nadal pozostającej w kraju (pierwsza nagroda) o tym, jak wzięła udział w jednym z późniejszych strajków, gdyż nie chciała się pogodzić z jałowym „życiem na kartki” i utratą nadziei na lepsze, godniejsze życie. Za swą postawę zapłaciła trzymiesięcznym więzieniem, co oznaczało rozstanie z 6-letnim synem, utratę pracy i życie kosztem rodziców. Takich opowieści można przytoczyć więcej.

W pamiętnikach nie zabrakło opisów rozpędzania manifestacji przez uzbrojone oddziały wojska i milicji. Opisów prawie identycznych: gazy łzawiące, sikawki, bezbronni ludzie, bici i czasem zabijani, jak np. w Lubinie. Styl sprawozdawczy bez upiększeń. Ale za powściągliwością ujawnia się nienawiść do rządzących i poczucie wspólnego nieszczęścia. Można z pamiętników, zwłaszcza tych nadesłanych z kraju, odczytać obawę przed dalszym wzrostem opresji i terroru, lecz nie znalazł się ani jeden autor, który by się wyrzekł „Solidarności”, i przekreślił wyzwanie rzucone reżymowi.

Grażyna POMIAN

Poniżej drukujemy pracę pt. *Prządka*, która została odznaczona pierwszą nagrodą. (Red.)

Prządka

Dla mnie i dla mojej rodziny ogłoszenie stanu wojennego oznacza strach: aresztują mnie czy nie aresztują, prześpię noc czy nie prześpię, co będzie dalej. A dalej było wyrzucenie z pracy, siedzenie w kryminale, szukany.

Byłam działaczem „Solidarności”. Nie dla możliwości etatu

czy czegoś: po prostu byłam przekonana do tego Związku. Pierwszy raz wierzyłam, że może się coś w tym kraju zmienić.

Nie pracuję już ponad pół roku. Wyrzucili mnie pod pretekstem zorganizowania strajku 13 czerwca. Ja go nie zorganizowałam, po prostu wzięłam udział tak jak inni. Nie miałam fizycznej możliwości niczego organizować — poprzednie dwa tygodnie byłam na urlopie. Ale mnie przypisano, że obecnością swoją zorganizowałam ten strajk. Zupełna bzdura. Naprawdę wyrzucono mnie dlatego, że byłam działaczem „Solidarności”. W braku strajku każdy inny pretekst byłby dobry. Wiem, że wymówienie miałam już przygotowane wcześniej, przed strajkiem. Zresztą nawet to, które otrzymałam, jest wypisane 13 czerwca. Nie myślałam o tym, żeby nie iść tego dnia do pracy — byłam zdrowa, nie miałam w planie brać urlopu. Czy to jest wyjście, żebyśmy przed każdym 13-tym wszyscy szli na zwolnienie? Przecież ludzie 13-go stanęli nie dlatego, że ja tam byłam, tylko dlatego, że taka była sytuacja. Po prostu się zbuntowali: po 6 miesiącach nic się nie zmieniło poza patrolami na ulicach.

Nie mogę znaleźć pracy. Żyję dzięki pomocy Kościoła, mam dziecko na utrzymaniu. Nie wiem, czy to jest wesołe, czy mam się cieszyć z tego, że został wprowadzony stan wojenny. PozbaWił mnie pracy i możliwości normalnego życia.

Dlaczego mnie nie internowano? W pierwszym momencie nie było mnie w domu. Zdażyłam wyjść, zanim podjechała milicja. Może nie do mnie, może to przypadek. Cztery dni później przyjechali o 5-tej rano, ale to byli mundurowi. Byłam u mamy, bo syn zachorował akurat w dniu stanu wojennego — może mnie tym uratował. Ale nie szukali mnie, bo gdyby szukali, to nie ma cudów, żeby nie znaleźli, ja się w końcu nigdzie nie schowałam.

I tak doszło do dnia, kiedy poszłam po pensję. Uzależnili mi wypłatę od pobrania powiatki do Służby Bezpieczeństwa. Swoim zwyczajem zrobiłam awanturę, bo nie lubię takich numerów. Ale musiałam iść. Byłam gotowa zrezygnować z poborów, tylko że oni zawiadomiliby SB, dlaczego zrezygnowałam. Miałam wezwanie na 29 grudnia. Poszłam z dzieckiem. Pan, który do mnie zjechał bardzo się tym zdenerwował. Kazał mi dziecko gdzieś zaprowadzić. Więc mówię, że nie mam gdzie. To kazał mi pójść do domu, że po mnie przyjadą. Przyjechali w styczniu. Później się zaczęło takie ciąганie: trochę mnie wzywali, trochę za mną jeździli, pod domem stał samochód. Przyzwyczaiłam się do tego. Tak to trwało do 13 czerwca.

Wcześniej miałam jeszcze kilka przesłuchań. 13 stycznia — ale to nie było przesłuchanie, to była „rozmowa”. Trzymano

mnie od 9-tej do pół do pierwszej. Rozmawiał ze mną pan major, nie pytając mnie, co robiłam 13 grudnia. Ani jednego słowa na ten temat. Pytał mnie tylko, gdzie jest przewodniczący naszej Komisji Zakładowej, bo on się w tym czasie ukrywał. Powiedziałam, że nie wiem, ale gdybym wiedziała, to bym nie powiedziała. „To niech pani powie, że pani wie, ale pani nie chce powiedzieć”. „No — mówię — na taką idiotkę to chyba z kolei nie wyglądam. Nie wiem. Po prostu nie wiem”. To było jedyne takie pytanie. I nic więcej. Później na mnie popatrzył i mówi: „Pani pisała ten komunikat na maszynie, ten pierwszy, strajkowy, który wyszedł 13 grudnia!”. Mówię, że nie ja, że nie umiem pisać na maszynie. I to było wszystko. Około czterech godzin mnie trzymali, pytając, czy bym nie chciała związków założyć, na przykład na esbecji. Nie mogłam ja skończyć tej rozmowy, więc trwała, pan wychodził, przychodził i w końcu mówi do mnie, że jestem przeznaczona do internacji. Mówię: „To dobrze, ale ja mam dziecko i ktoś musi się nim zająć”. Więc on w pewnym momencie zapytał mnie, czy napiszę oświadczenie. Powiedziałam, że nie napiszę, ale tu są podobno gotowe druki. Przyniesiono mi druk, że nie będę działać na szkodę PRL. A ja nie działałam. Więc podpisałam i wyszłam. Od tego czasu zaczęto mnie śledzić.

To trwało około tygodnia. Byłam w tym czasie chora. Mam chorobę krążenia na gruncie nerwowym. Zresztą cały naród był wykończony, chyba wszyscy jesteśmy znerwicowani. Automatycznie podskoczyło mi ciśnienie i dostałam zwolnienie lekarskie. Tak było do soboty. A w sobotę idę z dzieckiem do lekarza i przyjeżdżają ci panowie — właściwie nie przyjeżdżają, bo stali pod blokiem od rana, a ja bez przerwy brałam mięso z balkonu i kładłam z powrotem, bo w ten sposób mogłam wyrzucić. Patrzę: stoi samochód, a oni siedzą. Przyszli na górę i mówią, że mnie biorą na przesłuchanie. Mówię, że w tej chwili nie pójdę, bo idę do lekarza, mogę przyjść po lekarzu. I znów pojechałam z dzieckiem. Dziecko zostawili w jakimś tam pomieszczeniu, dali mu papier, ołówek, rysował. Wtedy zaczęło się oficjalne przesłuchanie. Że byłam 13 grudnia na terenie zakładu. Z początku chciałam się wypierać, ale właściwie oni też zaskakują, bo np. powiedzieli, że mi świadków postawią. W tym momencie zgłupiałam. Bo jeżeli np. 6 osób będzie twierdzić, że byłam?... A po drugie — jakieś logiczne wytłumaczenie mój pobyt w zakładzie 14-go musiał mieć, bo byłam tam już o piątej rano. A skoro nie byłam 13-go, to skąd mogłam wiedzieć, że mam być o 5-tej 14-go? Więc powiedziałam, że byłam. Wtedy udostępniono mi zeznanie koleżanki, która mnie obciążała. Zaprzeczyłam temu. Rozmowa trwała długo-niedługo, ze dwie go-

dziny. Niczego nie protokołowali. Kazali mi przyjść we wtorek i podpisać protokół. Myślałam, że ten który mnie przesłuchiwał nie pisze na maszynie, bo widziałam, że maszyna stała. A chodziło o to, czy we wtorek wszystko powtórzę tak samo. Był czas, nauczyłam się tekstu na pamięć. Podpisałam protokół i się skończyło.

Na zwolnieniu byłam chyba do 22 lutego. Przewodniczącego aresztowali 20-go, a ja dwa dni potem szłam do pracy. Jak tylko poszłam do pracy, to nie miałam więcej przesłuchań. Ale po trzech dniach wezwał mnie komisarz. Pytał, jak mnie przyjęto w zakładzie. Ja mówię, że po prostu zaakceptowano mnie. Na to on mi oficjalnie, że jestem niebezpieczna i że on się mnie pozbędzie bez żadnych skrupułów, jeżeli uda mu się cokolwiek mi udowodnić. Oskarżył mnie o zorganizowanie strajku na terenie zakładu 13 grudnia. Ale nie miał dowodów, sam się przyznał. Właściwie 14 grudnia to on pomógł zatrzymać zakład. Bo ludzie się wahali. Byli bardzo zastraszeni. Już połowa stanęła, ja byłam w palarni. Jak on wpadł, to z ciekawości przybiegła reszta i wydział po prostu sam stanął, bo tam jak się maszyn nie obsługuje, to się z czasem same zatrzymują. To nie trwało długo, stali około dwóch godzin. Zostali zastraszeni i uruchomili maszynę. To był jedyny oddział, który stanął. Później podobno stanęły inne oddziały, ale tego to już nie wiem. To jest niesprawdzone. Mówili, że jakaś kuchnia farb, jakieś tam inne oddziały, ale w momencie jak przędzalnia ruszyła, to już po prostu umarło. Później wyszłam z zakładu.

Potem, po 22 lutym, jak już pracowałam to pracowałam. I tak trwało do czerwca.

W międzyczasie jeszcze raz byłam na SB. Właściwie dobrowolnie poszłam. Z żoną przewodniczącego. Poszliśmy, bo on zdeponował pieniądze, kilkadziesiąt tysięcy, które były w kasie. To były związkowe pieniądze. Po jego aresztowaniu wpłaciliśmy je w zakładzie, wzięliśmy pokwitowanie i zanieśliśmy na SB-cję, bo chcieli go oskarżyć o zdefraudowanie tych kilkudziesięciu tysięcy.

Potem poszłam do nich jeszcze raz, bo musiałam. Pracowałam w Prezydium KZ, więc w pokoju Komisji Zakładowej były moje osobiste rzeczy i cała dokumentacja. Jak oni się tam włamali, zabrali moc rzeczy, między innymi moje dokumenty. Wypożyczyłam studentom śpiwory na strajk i potrzebne mi było pokwitowanie, bo te śpiwory nie zdążyły wrócić. Chciałam od SB-cji oficjalne pismo, żeby to formalnie załatwić. Kazali mi przyjść za trzy dni, że poszukają, bo u nich nic nie ginie. Jak poszłam, to pokwitowania nie znaleźli, ale powiedzieli: „Widzi pani, kiedyś pani nam nie chciała pomóc. Pani by nam pomogła

— my byśmy pani pomogli”. Ja się zdenerwowałam, powiedziałam, co o nich myślę i wyszłam. Na tym się skończyło.

Przed 13 czerwca, jak już wspomniałam, byłam na urlopie. Bo był proces przewodniczącego, jeździliśmy do N. (siedziba Sądu Okręgu Wojskowego). Dwunastego przyszedłam do pracy. Mogłam właściwie wziąć urlop, ale uważałam, że moim obowiązkiem jest być, bo jeżeli wszyscy staną, to ja też. Tak się też stało. Przędzalnia stanęła. Nie byłam pierwsza. Absolutnie. Byłam najwyższą drugą, trzecią, piątą... Po prostu jedna z pierwszych, bo nie mogłam wytrzymać nerwowo. Jak widzę, że za mną już stoją, to nie mogę być taka pracowita. Chodziło o przerwanie pracy na 15 minut, z tym że wszyscy zaczęli wcześniej niż normalnie, bo się pracowało więcej niż 8 godzin. Wiedzieliśmy, że strat nie będzie, a w jakiś sposób się zmanifestuje. I stanęliśmy. Zaraz kierownictwo było na sali, coś tam sprawdzali. Ja byłam obserwowana. W momencie, kiedy zatrzymałam maszynę, doskoczył do mnie kierownik i mówi, że ja stanęłam pierwsza. Mówię, że nie wiem, czy pierwsza, ale o 12-tej i że poniosę konsekwencje, trudno. Odstaliśmy te 15 minut, zaczęliśmy pracować. Nawet to, że włączyłyśmy maszyny jako jedne z pierwszych wykorzystano na sprawie, że na nasz sygnał zatrzymano i na nasze sygnał włączono.

Przyszedłam do domu i zaraz wyszłam, bo kolega był aresztowany i trzeba mu było załatwić adwokata. Poleciałam z jego żoną, później do kościoła, bo było wystawienie obrazu. Wróciłam wieczorem, to już była esbecja, tylko zdążyłam wejść do domu. No i zostałam aresztowana.

Na początku jeszcze z humorem do tego podchodziłam. Przesłuchano nas: „Czy żałuję?”. „Nie, nie żałuję” — bo nie widziałam powodu do żalu. I dopiero mokro mi się zrobiło w oczach, jak mnie zamknęli w celi, bo to dla mnie było w ogóle pierwsze zetknięcie z czymś takim. Zawieźli mnie do okropnego aresztu. Zabrali mnie z domu wieczorem, około 21-szej, tak że około jedenastej-dwunastej, po przesłuchaniu, nie zawieźli nas na esbecję, tylko na dzielnicę. Tu byli bardzo grzeczni, nawet pozwolono mi zadzwonić.

Dlaczego mnie tak późno aresztowano? Wszystkich aresztowali wcześniej. Mnie później, bo chcieli mnie troszkę zgnać. Ustawili się pod przedszkolem i czekali, aż będę odbierać dziecko. Ale dziecka nie było, bo wcześniej wyjechało do rodziny na wieś. Zadzwonili do przedszkola, że mają upoważnienie czy pełnomocnictwo do zabrania syna do domu dziecka. Nie wiem, jakim prawem, bo jest jeszcze mój eks-mążonek, który nie jest pozbawiony praw, mogłam też umieścić dziecko u rodziny. Ale oni chcieli po prostu rozdzielić mnie z dzieckiem. Nie wiem, jak

bym to przeżyła. Nie mogę dzisiaj z perspektywy czasu zgrywać bohaterki, bo byłoby na pewno trudniej niż było. A tak wiedziałam, że dziecko jest z moją mamą.

Zawieźli mnie do dzielnicowego aresztu. Jak zobaczyłam ten areszt, to myślę: no, miłe to to nie jest. Wszystko zabrali, bo depozyt został w komendzie. Bez niczego, bez grzebień, ani się rano umyć, ani przebrać, nic kompletnie. Potem przewieźli nas znowu na komendę i wzięli na kolegium do Rady Narodowej. Nieuczestane. W końcu każdy musi przynajmniej się umyć, uczesać, żeby jakoś wyglądać. Koledzy czekali już, bo się dowiedzieli, więc było przed salą kolegium trochę ludzi. To tamci zadzwonili i sprowadzili oddział ZOMO. A nas było 4 osoby aresztowane i tych kilka co przyszło, nie wiem czy w sumie było wszystkich piętnaście. A oni sprowadzili cały oddział ZOMO! Aż jeden milicjant mówi: „Czy wyście powariowali? Przecież tu są tylko cztery osoby. Plus kilka osób”. Nie wiem: czy obawiali się, że będą nas odbijać? Nie mam pojęcia.

Całe to kolegium wyglądało strasznie śmiesznie. Wina była ewidentna, bo zatrzymałyśmy maszyny. Temu nie można było zaprzeczyć, zresztą nikt nie próbował. Zaczęto nas uświadamiać, później pytano, o co prosimy. To była zupełna bzdura. O nic nie prosiłam, bo nie widziałam powodu, żeby prosić. Skazano nas na 3 miesiące bezwzględnego aresztu. Razem z nami stawali też przed kolegium panowie, którzy gdzieś narozrabiali na ulicy, niepracujący, taki faktycznie element. Oni podostawiali grzywny. A dla nas nie było grzywien, dla nas były trzy miesiące bezwzględnego aresztu. I przewieziono nas od razu na komendę, a następnego dnia już do więzienia.

Mokre oczy to miałam tylko ten jeden dzień. To pierwsze zetknięcie. Później stwardniałam. W areszcie może trochę się tego więzienia bałam, kiedy kobiety opowiadały. Już chyba wolałam siedzieć w tym areszcie, bo właściwie nie wiadomo było, gdzie lepiej. W więzieniu jest okropnie. A ludzi z „Solidarności” gorzej się traktuje niż pospolitych przestępców. Odczułam to na własnej skórze. Jako kolegiantka miałam prawo do dwóch widzeń w miesiącu i do czterech listów. Ale jako członka „Solidarności” pozbawiono mnie jednego widzenia i zaostrzono rygor. Tak że nie mogłam podjąć pracy i miałam tylko jedno widzenie. Pogodziłam się z losem, wiedziałam, że niczego tam nie osiągnę. Mnie by lekarz na dechy (regulaminowa kara tzw. twardego łoża) nie pozwolił, bo jestem chora, więc gdyby chciano mnie ukarać, to pozbawiono by mnie tego jedyne go widzenia, a na to nie chciałam już sobie pozwolić.

Skazana byłam razem z koleżanką, z którą pracowałam wiele lat. Ona przepracowała ponad 30 lat, również została wyrzucona

z pracy i też poszła do więzienia. Byłyśmy razem, to może było nam łatwiej przetrzymać. Mój drugi — i właściwie ostatni — moment załamania, to było kiedy rodzina założyła rewizję i od razu wywieziono nas do Warszawy. Siedziałam już około dwóch tygodni, a jeszcze przed aresztowaniem moja mama mówiła, że jeżeli dorobię się więzienia, to w ogóle do mnie nie przyjdzie. A jeśli by mama nie przyszła, to nie miałabym możliwości zobaczenia dziecka przez cały okres odbywania kary. Druga rzecz, jakiej się bałam, to czy mój eks-mążonek nie zechce mnie pozbawić praw rodzicielskich. Był stan wojenny i właściwie dla niego było dobre powietrze, nie dla mnie. Tego się bardzo obawiałam. We wtorek miałam mieć pierwsze widzenie z rodziną, a w poniedziałek rano wywieziono mnie, tak że widzenia nie dostałam i bardzo to przeżyłam.

Ale w Warszawie odetchnęłam. Tam też jest więzienie, tam też jest się pozbawionym wszystkiego, ale ludzie są traktowani zupełnie inaczej. Nikogo nie wyróżniano, nas z „Solidarności” też nie, oczywiście ja z tego tytułu nie czułam się gorzej.

Kiedy mnie zamknęli, nie miałam nadziei na żadne przywileje, ale przerażające jest to, że po ponad 20 latach pracy poszłam do więzienia za 15-minutowy protest. Protestowałam, a nie wolno było. Z tym bym się jeszcze zgodziła. Tylko jakim prawem traktowano mnie gorzej niż pospolitych przestępców?

Ich, moich współwięźniów, nie mogę o nic oskarżać, bo byli bardzo mili. Zresztą byli wdzięczni „Solidarności”, bo w więzieniach dużo się zmieniło z chwilą, kiedy powstała „Solidarność”. Zawdzięczali jej biały chleb — ja już czarnego w więzieniu nie jadłam. Słuchając tych ludzi miało się różne uczucia. Niektórzy popełnili przestępstwo jeszcze jako bardzo młodzi ludzie i już z tego nie mogli wyjść, już zawsze byli prześladowani. Zresztą byłam tego świadkiem na moim kolegium. Razem z nami sądzono czterech takich lumpów i przyszedł jakiś dzielnicowy z konwoju i do jednego z nich mówi: „Ja to cię jeszcze przyważę, ja cię na parę latek wsadzę”. Jeżeli ktoś ma władzę i w taki sposób mówi, to wcale nie wątpię, że go rzeczywiście wsadzi. Przedtem uważałam: jak to można bez powodu zamknąć? Ale posłuchałam niektórych kobiet, z którymi siedziałam. Była tam dziewczyna, która miała 30 lat i za sobą 12 lat wyroków. Od siedemnastego roku życia. Zamykali ją na 2-3 lata, wychodziła na 2-3 miesiące i wpadała znowu. Kiedy człowiek dostaje wyrok i odcierpi, to czy to musi się ciągnąć, czy nie można mu stworzyć warunków do podjęcia pracy i rozpoczęcia normalnego życia? Ale się nie stwarza. Bo musi być chyba jakaś statystyka: jeżeli coś się stanie, po co daleko szukać — najlepiej złapać osobę, która już jest notowana. Wydaje się to mało

prawdopodobne, ale jest prawdziwe: człowiek wcale nie musi być winny, żeby być skazany.

Niektórzy więźniowie to naprawdę byli już degeneraci. W pierwszy dzień zobaczyłam kobietę, która się rozebrała i można ją było czytać jak gazetę, tak była wytatuowana. Taki człowiek to już się zupełnie nie nadaje do życia.

Mnie traktowali gorzej niż pospolitego przestępcę, chociaż nigdy nie miałam żadnej kolizji z prawem. Gorzej — to nie znaczy, że byłam bita, ale ja mam godność, której mnie tam próbowano pozbawić. Z całą premedytacją. Zmuszanie do meldowań — do tego nie byłam przyzwyczajona. Nie widziałam powodu, żeby to robić. Cokolwiek się chce załatwić, to się trzeba meldować, takie formułki zupełnie bezdurne, które bezpośrednio godzą w godność. Może i było moją winą, że nie chciałam się poddać temu rygorowi. Na otwieranie drzwi nie chciało mi się stawać na baczność, bo do czego: ani czapki, rozchełstany mundur... Nie widziałam powodu, żeby to robić. Może dlatego się tak cały czas na mnie wydzierano.

Na początku myślałam, że dostanę jakichś nerwowych zaburzeń — przed każdym już potem będę stawać na baczność. Nie wiem, komu się te hołdy bije, ale taki jest ponoć regulamin. Takie niesympatyczne są te klawiszki ze służby więziennej! Przecież to są kobiety, powinny legitymować się jakąś kobiecością. A tam nie ma nic — ta mimika, te odezwania, to jest coś niesamowitego. Trudno się z tym pogodzić. Jestem wprawdzie pozbawiona wolności, odbywam karę, ale mam godność i nie można zabijać we mnie tej godności. Regulamin jest podobno taki, że mówi się na „wy”, ale w rzeczywistości się mówi na „ty”; ja to jeszcze jestem w średnim wieku, ale służba więzienna zwracała się tak i do kobiet dużo starszych.

Chcieliśmy pracować, chociażby społecznie, żeby wypełnić jakoś czas, ale nie pozwolono nam, bo do pracy wozili na zewnątrz. Pani psycholog, która bardzo chciała nam pomóc, załatwiła nam w końcu pracę w ogródku. Pracowałyśmy tam około półtora tygodnia.

Na proces rewizyjny dowieziono nas dopiero w trzecim terminie. Był on powtórzeniem tego pierwszego, przed kolegium, uznano naszą winę et cetera, z tym tylko, że zmniejszono nam wyrok o miesiąc. W sądzie było bardzo dużo ludzi, co było bardzo miłe, nawet dostałyśmy od kogoś białe kwiaty, że za niewinność tu jesteśmy. I tak odbyłyśmy tę karę do 13 sierpnia. I wyszłyśmy.

Była jeszcze cała parodia w dniu wyjścia, bo jak wróciłyśmy ze sprawy rewizyjnej, wiedząc, że mamy po miesiącu zdjęte, to spytałam pani wychowawcy (wychowawca — oficer służby wię-

ziennej), czy muszę coś podpisywać. Ona mówi, że niekoniecznie, tylko lepiej, żeby zawiadomienie o zmniejszeniu wyroku przyszło, bo bez tego nas nie wypuszczą. Nie miałam żadnej możliwości sprawdzenia, czy doszło, czy nie. Efekt był taki, że dwunastego mówię, że mnie się jutro kończy kara, pytam, czy oni coś wiedzą — nikt nic nie wie. Trzynastego rano również nikt nic nie wiedział. Zaczęłyśmy straszną awanturę, bo powiedziałam, że nie zostanę ani dnia dłużej. I tu mi błysnęła myśl, że mnie stamtąd przewiozą prosto do internatu. Nawet gdyby znajomi i rodzina czekali pod więzieniem, mogli mnie wywieźć bramą gospodarczą i nikt by nie zauważył. Ale tak się nie stało. Wyszłyśmy.

Jak wyszłyśmy, to się dowiedziałyśmy, że jesteśmy wyrzuczone z pracy. Więc zaczęła się zabawa o przywrócenie. Terenówka (terenowa komisja odwoławcza d/s pracy) odrzuciła i wszystko zaczęło się przewlekać. Zakład rozwiązał umowę wiedząc, że jesteśmy w zakładzie karnym i wysłał nam dyscyplinarne zwolnienie do domów. W tym momencie przegrał. Bo to powinno dojść do nas, a nie doszło. Zresztą miałyśmy nienaganną opinię i długoletni staż. Ja miałam ponad 20 lat pracy, a koleżanka ponad 30 i już w grudniu złożone papiery na emeryturę, tę wcześniejszą. Ta dziewczyna 50 lat skończyła już w więzieniu, a staż miała większy niż 30 lat, bo okupację miała zaliczoną, kiedy jako dziecko pracowała gdzieś u bauera. Dlatego nasza sprawa znalazła się w sądzie pracy.

Kiedy już byłam około tygodnia na wolności, wezwała mnie Służba Bezpieczeństwa i zaproponowała mi, że dostanę wymówienie takie jakie chcę i pracę gdzie chcę — tylko do ceny nie doszliśmy. To znaczy nie uzgodniliśmy, za jaką cenę. Bo ja po prostu zrezygnowałam. Postanowiłam dochodzić swoich racji sądownie. Po tej rozmowie zamknięto mnie 31 sierpnia na 48 godzin. Przetrzymałam i to. Dziecko poszło 1 września do szkoły, ja w tym nie wzięłam udziału. Przeszło, poszło, syn to zapamięta, będzie miał za co władzę kochać. Bo tego dnia się nie zapomina, tylko jeden raz idzie się pierwszy raz do szkoły.

Później uciekałam z domu. Trzynastego września nie dałam się zamknąć. W październiku i listopadzie postanowiłam już nie uciekać. Dziewiątego listopada panowie znów przyszli. Ale postawiłam wszystko na jedną kartę i nie dałam się wsadzić. Zażądałam lekarza, bo się bardzo źle czułam. To była dosyć głośna awantura, więc może nie chcieli ryzykować wyprowadzenia mnie po klatce, bo ja mieszkam na trzecim piętrze. To by było trochę śmieszne. A mnie naprawdę już było wszystko jedno. Po prostu postanowiłam nie dać się zamykać i nie wycierać ich cel.

Mamy już styczeń, a moja sprawa dalej nie jest załatwiona. To znaczy sąd nie przywrócił mnie do pracy, ale zmienił tryb rozwiązania umowy. Mam dostać wypowiedzenie nie dyscyplinarne, ale za porozumieniem stron, z trzymiesięcznym odrobieniem. Zasadzono też na moje ręce odszkodowanie — trzy pensje plus rekompensaty i premie regulaminowe. Dostałam tylko premię, nic więcej, a właściwego świadectwa pracy do tej pory nie mam. Pracy podjąć nie mogę, bo nie jestem wyrejestrowana z dawnego zakładu. Ja tam figuruję. To znaczy figuruję w moim pojęciu, bo jeżeli sąd zasądza odszkodowanie, to przedłuża automatycznie stosunek pracy i dopiero teraz zakład mógłby ze mną rozwiązać umowę. Dotychczas nie rozwiązali, sprawa się ciągnie, jest w terenówce. Uzasadnienie wyroku im nie wystarczyło, zażądali wykładni. Wszystko się przeciąga, nie wiem, jak się zakończy. Mnie jest już zupełnie wszystko jedno — mogę nawet wszystko stracić, ale chcę wyjść z twarzą. Nie przyjmę teraz takiego zwolnienia, którego nie przyjmowałam przez 6 miesięcy.

W tym zakładzie pracowałam od dziecka, jestem związana z ludźmi i dlatego nie chcą mnie tam dopuścić. Nawet nie mogę wejść, żeby pozałatwiać swoje sprawy. A jak raz zbliżyłam się, bo potrzebowałam spotkać koleżankę, to oskarżono mnie, że zrobiłam wiec pod bramą. Powiedziałam, że na takie oskarżenie potrzeba dowodów, a drugi raz takiego fałszywego świadka już nie można przeciwko mnie wykorzystać, jakiego wykorzystano w sprawie, w której mnie skazano. Mam wrażenie, że mnie przeceniają, myślą, że zrobię na zakładzie rewolucję. Bo ja mam nieklamany autorytet. Przez 20 lat pracowałam nienagannie. Mam honorową odznakę miasta. Wpisana jestem do Złotej Księgi Przodowników Pracy. A takich odznaczeń jak założymy brygady pracy socjalistycznej to już zliczyć nie sposób. Ale to nic nie pomogło, wyrzucili mnie.

Zrobili to może dlatego, że w ubiegłym roku rzuciłam legitymację partyjną. Bardzo wierzyłam w tę odnowę po 70-tym roku i zapisałam się do partii. A w 81 się wypisałam. Po spotkaniu z tow. Barcikowskim. Na zapytanie, co mam powiedzieć swoim koleżankom z pracy, jak rozliczają Gierka i Jaroszewicza powiedział, że Jaroszewicz trzyma się dzielnie, a Gierek jest załamany. Więc zapytałam, czy to mam powiedzieć robotnikom. A on mi na to, że mogę im powiedzieć, co mi się podoba — oni ich nie powieśzą. Następnego dnia oddałam legitymację.

Zawsze bardzo dobrze pracowałam, ale nigdy mnie nie uważano, dopóki nie zostałam członkiem partii. A kiedy się zapisałam, zaczęłam dostawać premie, które mi się przedtem również należały. Zapisałam się, bo myślałam, że coś zmienię.

Zawsze byłam otwarta, mówiłam co myślałam. Na żadnym zebraniu niczego nie przepuściłam. Nie mogę powiedzieć, że z tego tytułu byłam szykanowana, ale nic się nie zmieniało. Dopiero ten spontaniczny wybuch narodu coś zdziałał. Później zaczęłam pracować w „Solidarności”.

W Sierpniu 80, jak stanęła u nas komunikacja miejska, to następnego dnia stanęły zakłady, między innymi mój. Przyszedłam, pamiętam, na popołudniową zmianę. Zakład już stał, bo od rana nie ruszył. Więc się pytamy: „Co tam się dzieje? Czy ktoś coś napisał?”. Okazało się, że wystąpili z postulatami: fartuchy robocze, takie tam inne rzeczy, jak zwykle... Dopiero zaczęliśmy organizować komitet strajkowy. Najpierw wydziałowy, zmianowy — i po prostu znalazłam się w wydziałowym. Były rozmowy z kierownikiem, a później wybory do ogólnozakładowego komitetu strajkowego. Tam również się znalazłam. Po strajku, kiedy zakład ruszył, też żeśmy te postulaty wysunęli do dyrekcji. Nie tylko zresztą płacowe — i behapowskie, i właściwie wszystkie, jakie były najbardziej istotne. Dyrekcja odpowiedziała nam w zasadzie pozytywnie, tak że mieliśmy wygrane. Przystąpiliśmy do pracy w poniedziałek, tak jak Stocznia, jak wszyscy.

I właściwie zaraz zaczęliśmy tworzyć komitet założycielski związku. Nasz przewodniczący, który zresztą do dziś nim jest, znalazł kontakt z przewodniczącym regionu. Byłam w Komitecie założycielskim, później organizacja wyborów — i znalazłam się w Prezydium Komisji Zakładowej. Pracowałam tam rok. W Prezydium byłam jedyną kobietą z całego zakładu. W KZ zajmowałam się sprawami finansowymi, pełniłam — można powiedzieć — rolę sekretarki. Załatwiałam też sprawy bieżące, codziennie coś tam wpływało.

Czułam, że mogę coś zrobić. Znałam pracę w moim zakładzie, pochodziłam z tego środowiska, znałam jego bolączki i wiedziałam, że tam mogę zrobić najwięcej. Nie byłam wybrana na wieki, bo to nie były związki branżowe i musiałam tak pracować, żeby móc wrócić po kadencji w swoje środowisko. Musiałam działać tak, żeby nie stracić twarzy, bo jeżeli ją zachowałam przez tyle lat, to nie chciałam jej stracić pracując w Prezydium. To nie jest samochwalstwo, ale wydaje mi się, że na terenie zakładu zrobiono bardzo dużo. Nie tylko ludzie zyskali podwyżki, ale w ogóle się wszystko właściwie zmieniło na korzyść, także w stosunkach międzyludzkich.

Ludzie wymagali też czasem za dużo. Chcieli wszystko zmienić od razu. Zaczęły się straszne kłopoty z zaopatrzeniem. Zmuszali nas do zajmowania się — jak to mówią — pietruszką. Ale właściwie to dużo osiągnęli.

Cały ten czas do stanu wojennego — do pracy w Prezydium poszłam w lutym 81 — to był okres, kiedy 8 godzin zawsze było za mało. Chwilami miałam dosyć, bo miałam mniej czasu dla dziecka, ale cieszyłam się z tej pracy. Mam dar jednania sobie ludzi, już taka jestem. Dobrze się czuję z ludźmi i ludzie chyba to zauważają. Jak każdy nie uniknęłam plotek, ale w sumie był to bardzo fajny okres.

Po Sierpniu Związek spełniał nadzieje, że będzie patrzył władzy na ręce. Ludzie wierzyli. Dlatego ten ruch miał tak masowe poparcie. Bo ludzie Związkowi zaufali: wiedzieli, że nie zaraz popłynie miód, godzili się z brakami zaopatrzenia i wszystkim innym, a jednak nie rezygnowali, pomimo że propaganda zwała wszystko na „Solidarność”, na strajki. Może był faktycznie przesyty tych strajków.

Strajk jest przeżyciem, mogę to powiedzieć jako człowiek pracujący przy warsztacie. Nie wyłącza się łatwo maszyny. I nie można wpaść w tym w rutynę. Zawsze się to przeżywa, wyłączenie maszyny nawet na krótko jest przeżyciem. Bo człowiek jest stworzony do uruchamiania tej maszyny, a nie do jej zatrzymywania.

Strajkowaliśmy o zwolnionych, o wolne soboty. Nie przystąpiliśmy do pracy w sobotę 10 stycznia 81, chociaż wtedy było bardzo dużo ludzi pod zakładem. Kobiety przyszły zobaczyć, czy koleżanki wejdą, bo „ona wejdzie, ja nie wejdę i mnie potrąca”. Ludzie są nieufni. Ale wtedy wierzyli i brali udział, tym bardziej, że strajków nie było tak bardzo dużo, nie przeciągały się, nie szafowano nimi. Ale były bardzo poważne powody, były konieczności. Nawet na jesieni, kiedy prowadzono rozmowy z delegacją z ministerstwa, nie było zatrzymywania tylko gotowość strajkowa. Czuło się wielką spontaniczność, ludzie bardzo pomagali, zabezpieczali zakład po pracy. Na ponad 5 tysięcy pracujących było prawie 5 tysięcy członków „Solidarności”, nie tylko robotników. Byli też ludzie na kierowniczych stanowiskach, którzy w tej chwili są na indeksie i albo już się z nimi rozwiązuje umowy, albo będzie się to robić.

Jako Komisja Zakładowa nie uniknęliśmy krytyki, zresztą nikt się o to nie obrażał. Nie zawsze zarzuty były słuszne, ale jeżeli były niesłuszne, to można było to ludziom wytłumaczyć.

Namówić ludzi na zebranie jest bardzo trudno. A za „Solidarności” pamiętam zebrania, że sala konferencyjna była pełna. Wszyscy znaleźli tę chwilę czasu, żeby przyjść posłuchać. Ja w tym zakładzie pracuję 20 lat, to wiem jak było — ludzie nie chcieli chodzić na zebrania załogi, które były organizowane raz na kwartał. Jeden kierownik stał przy jednych drzwiach, drugi

przy drugich i urządzali dosłownie nagonkę. Ludzie przeczekiwali w szatni, żeby uciec, wcześniej wychodzili. To było aż śmieszne. Dlaczego? Bo po cóż iść na takie zebranie? Ja czasami chodziłam. Jak mnie swędziło bardzo, jak wielu rzeczy nie mogłam ścierpieć, to poszłam i zabrałam głos. Tylko że to niczego nie zmieniało. Ale jak były zebrania „Solidarności”, zawsze była naprawdę duża frekwencja. Nie było zebrania, żeby trzeba było typować, kto ma pójść. Bo ludzi się wysłuchiwało.

Nie wszystko zdążyliśmy załatwić, w końcu od wyborów upłynęło tylko 10 miesięcy działalności. Poznaliśmy funkcjonowanie przedsiębiorstwa — jak to mówią — od kuchni: że niektórych rzeczy nie można załatwić, bo jedno z drugim się wiąże i czasem faktycznie takie czy inne względy — produkcyjne, technologiczne, są przecież najróżnorodniejsze — nie pozwalały od razu rozwiązać jakiejś sprawy. Gdyby się chciało, założymy, wystąpić po linii bhp, żeby ludziom pomóc, to by należało pozamykać oddziały. Tylko co wtedy? Doszliśmy już do tego, że właściwie czego byśmy się nie dotknęli, to wszystko się rozsypuje.

Były zebrania na wydziałach i tam też była zawsze frekwencja bez naganiania. Codziennie spotykało się całe Prezydium KZ i mówiło się, jakie bieżące sprawy są do załatwienia nikt nigdy nie powiedział „tylko się postaraj, żeby była frekwencja”. Bo nikt zebrania nie przeciągał, tylko się załatwiała sprawy najistotniejsze i się po prostu rozchodziliśmy. Nawet jeśli zakładaliśmy, że zebranie ma trwać godzinę, to przeciągało się do dwóch godzin i dłużej, bo było bardzo dużo problemów. Zakład jest duży, stary, modernizowany wprawdzie, ale nikt nikogo przez lata nie rozliczał, co kto sprowadzał i czy potrzebnie. Wybudowano nową farbiarnię, w której leje się na głowę. W poprzedniej farbiarni, która już istnieje 20 lat, było to samo i mając już doświadczenie — w następnej zbudowali taki sam dach.

W tkalni dopuszczalna norma hałasu jest chyba 80 decybeli, a przekraczana jest do grubo ponad 120. Krosna są takie, że nie można już nic zrobić, po prostu tę tkalnię trzeba by zamknąć. Tyle że ludzie dostają korki do uszu, bo to jednak grozi utratą słuchu. Po 20 latach pracy ma się 20-30 % głuchoty i to już nie ustępuje. A po wprowadzeniu korków przynajmniej się nie pogarsza. Zwykłej waty do uszu nie można wkładać, sprowadzili z NRD specjalną, ale większość nie może jej używać, bo powoduje straszne, obłędne swędzenie małżowin usznych. Były takie korki produkcji USA, wspaniała rzecz, która bardzo wyciszała, ale zabrakło dewiz. Więc zaczęto robić nasze, które się nie umywają — twarde, można odgniotów dostać.

Staraliśmy się załatwić, co najpilniejsze. Wiele rzeczy nam się udało. Głównie podwyżki — to do ludzi przemawiało konkretnie, w gotówce. Przede wszystkim wywalczyliśmy „słuchowe”. Jeżeli już nie można uniknąć pracy w hałasie, to niech przynajmniej płacą za utratę słuchu. I płacili. Złoty pięćdziesiąt za godzinę — to niedużo, ale w skali miesiąca to już były jakieś grosze. Nie wiem, czy teraz płacą, nie pracuję. Koleżanka powiedziała mi, że pozabierano, ale nie opieram się na jednej wiadomości. Załatwiliśmy „jubileuszowe” (nagrody z tytułu przepracowania określonej ilości lat) już od 20 lat pracy. Załatwiliśmy premie. Konkurowaliśmy z branżowymi związkami, bo one też działały na terenie zakładu, chociaż w niewielkiej ilości. Branżowcy chcieli sobie niektóre rzeczy przypisać jako swoją zasługę, a przecież dopiero jak powstała „Solidarność” zostały załatwione te sprawy, na które w końcu mieli 36 lat. Do tego nie trzeba było przewrotu. Ale po prostu tam się nikt tym nie interesował. Bo jak ktoś poszedł pracować do związku — mówiło się, że wybrany, ale na wybór załoga żadnego wpływu nie miała, ludzie byli typowani — to już nie wracał do środowiska, więc mu nie zależało, że założymy koleżanka głuchnie. Dzisiaj trudno powiedzieć, ile spraw zostało załatwionych przez „Solidarność”, trzeba by mieć dokumentację.

Po Sierpniu zaczęto żyć. Każdy w jakimś stopniu odczuł, że była wolność. Przy zakładzie, w którym pracowałam, zaczęło działać centrum kulturalno-oświatowe. Pokazywano ciekawe filmy, działał klub, organizowano cotygodniowe spotkania dyskusyjne. Byłam np. na spotkaniu z prof. Lipskim. To było fajne, czuło się wolność, można było się wypowiedzieć. Było duże zainteresowanie.

Potem zaczęły się kłopoty zaopatrzeniowe. A w tym to naprawdę nie mogliśmy już nic pomóc. Jako Komisja Zakładowa broniliśmy się bardzo, żeby nie zacząć sprowadzać towarów na zakład. Bo to by było zabieranie jedni drugim, my byśmy mieli, to mniej by było w sklepach i dla innych by brakło. Ale ludzie tego żądali. A przecież były inne sprawy do załatwienia, nie tylko socjalne. Nie można wyręczać komórek socjalnych, im za to płacą i po to są powołane na terenie zakładów.

„Solidarność” dawała możliwość poznania wielkiej ilości ludzi. Ja akurat miałam dużo takich okazji, bo pracowałam w Prezydium KZ i byłam wybrana na Walne Zgromadzenie Delegatów Regionu. Nie można powiedzieć, że robotnik nie myśli. Co prawda jest grupa ludzi, która żyje tylko wytoczonym szlakiem: dom, gary i nic więcej, ale jest mnóstwo ludzi wspaniałych. Może w tym czasie, po Sierpniu mieli większą możliwość ujawnienia się.

Byliśmy bardzo otwarci. Prezydium to nie były fotele, ale pomieszczenie zawsze dla ludzi otwarte i zawsze się dla tych ludzi znajdowało czas. Zawsze się ich wysłuchało, nawet jak niektórzy przychodzili naprawdę z głupstwami. Bo może ci ludzie niewiele oczekiwali, może żeby ich przynajmniej wysłuchać, traktować jak równych, a nie jak petentów.

A teraz znowu wszystko jest po staremu. Najlepsi są tacy, co mają klapki na oczach. A ja ich nie mam. Powiedziano mi otwarcie, że za dużo widzę. Nie mówię, że mam coś przeciwko ustrojowi, bo w innym nie żyłam. Tyle że już żyję w tym ustroju tyle lat i widzę, do czego to prowadzi. Nikt nie traktuje z szacunkiem robotnika pomimo tych sloganów, jakie się mówi. Kiedy tylko czegoś potrzeba, to się odwołuje do robotników, do ich rozumu. Ale nie lubi się mądrych robotników, mądrych robotników to się pozbywa. Najlepszy jest taki, który tylko patrzy, żeby zjeść tę kaszankę i mortadelę i mieć spokój. Tylko do czego ten spokój prowadzi? Do tego, że już mamy życie na kartki. Do tego, że ja np. nie wiem, czy prześpię całą noc, czy przyjdą po mnie, kiedy będzie dzwonek do drzwi. Jak długo można żyć w takim napięciu?

Ja znam ludzi. Ci, którzy pracują w produkcji naprawdę byli zawsze wykorzystywani. Ile już zakrętów miało nam przynieść poprawę! Mieliśmy jakiś czas wytrwać, a później miało być dobrze. Zaciągamy pasa, ale na konkretnie określony czas, a później będzie nam stopniowo lepiej. Jak można wymagać od ludzi zaufania, kiedy zawsze spotykał ich zawód? Wiecznie nie można obiecywać. I druga sprawa: jeżeli się zmieni rząd, odejdzie Jaruzelski, a zostanie np. Barcikowski — no to ja dziękuję. Ten człowiek siedział we władzach od 1966 roku, więc jeżeli już miałyby być zmiany, to musieliby generalnie wszystkich wymienić.

Najgorsze jest dla mnie teraz to, że nie pracuję. Przez całe życie pracowałam. Nie umiem żyć z dnia na dzień, to mnie wykańcza. Nie mam żadnych nadziei na pracę. To nie jest to, że się cieszę, że mam wieczny urlop. Cały dorobek pracownicy straciłam, chociaż wygrałam sprawę w sądzie pracy i powinienam mieć zmienione wypowiedzenie na najbardziej korzystne dla mnie: 3-miesięczne, za porozumieniem stron, dlatego, że była nienaganna opinia, długi staż pracy i sytuacja rodzinna. Wyrok zapadł w październiku, jest styczeń, a ja nadal nie mogę wyegzekwować od zakładu pracy tego, co mi się należy. Przecież ja nie mam żadnej mocy wykonawczej. Kiedy dostałam wyrok, to przyszła po mnie władza i mnie zabrała. Ale ja nie mam możliwości, żeby wykonać mój wyrok sądowy. Żeby podjąć pracę i mieć

jakaś przyszłość. W tej chwili żyję z dnia na dzień. I na tyle, na ile mi pomoże Kościół.

Zresztą zakład podszedł do sprawy do tego stopnia złośliwie, że jak zostałam wyrzucona z pracy, aresztowana 13 czerwca, a miałam pożyczkę do grudnia, to mi zabrano na spłatę pożyczki wszystkie pieniądze, jakie mi się jeszcze za czerwiec należały. Nie interesowało nikogo, czy moje dziecko ma co jeść, chociaż wiadano, że jestem jedynym żywicielem rodziny. I mamusia nie dostała ani grosza z zakładu pracy, z tych moich pieniędzy, które jeszcze miałam zarobione. Czy można w ten sposób potraktować człowieka? Jak złodzieja! Po 20 latach pracy! Przecież ja miałam żyrantów. A poza tym nie dano mi możliwości, żebym sama wpłaciła pieniądze za spłatę pożyczki. Jak wyszłam z więzienia i się o tym dowiedziałam, było mi bardzo nieprzyjemnie. Każdemu człowiekowi trzeba dać szansę. A dziecko, jak zostałam aresztowana, zostało zupełnie bez środków. Bez pieniędzy, bez kartek, bez niczego, bo ja brałam dodatek rodzinny.

Nie mają żadnych szans na przywrócenie do pracy nawet ci, którzy wygrali sprawę w sądzie, bo ich nie przyjmują. Żyją na takiej samej zasadzie jak ja.

Na co liczyć? Nie na łaskę, bo łaski nie potrzebuję. Jeśli byłaby amnestia, która by mnie w jakiś sposób pomogła przywrócić do pracy — ale ja w to nie wierzę — to przy najbliższej okazji znowu by mnie wyrzucili, wiem to bardzo dokładnie. Z zachowaniem tak zwanego prawa.

Z głodu nie umarłam i teraz też nie umieram i nie mogę powiedzieć, że moje dziecko chodzi głodne. Bo dostaję taką pomoc, że mi ona wystarcza. Ale nie dzięki Jaruzelskiemu, tylko z Kościoła. Zaopiekowano się moją rodziną zaraz po moim aresztowaniu, sprawdzono, czy dziecko ma co jeść. Na razie nikt nie zostaje bez pomocy. Tylko nie wiem, czy jałmużna zadowala. Ja nie chcę nikogo obrazić, bo tylko dzięki niej się dzisiaj utrzymuję, ale chciałabym po prostu zapracować te pieniądze, za które żyję.

Nie chodzę do pracy, więc w ciągu dnia bez przerwy biegam i załatwiam swoje sprawy. Dziecko ze szkoły, coś ugotować niedrogo, tak żeby pieniędzy starczyło, bo musi wystarczyć. Nic specjalnego się nie dzieje, tyle że biegam i czekam, kiedy się coś zmieni, kiedy nastąpi dzień, że pójdę do pracy. Brak mi pracy. Nie chcą mnie, już to wyraźnie powiedzieli. Ale skoro już mnie nie chcą, to niech mi dadzą możliwość pracy w innym zakładzie. Ale tego też mi nie dają, bo nie dają mi zwolnienia, świadectwa pracy, które mam zapewnione przez sąd. Że sąd tak zasądził niczego nie zmienia, bo jest bezprawie.

Jeżeli chodzi o pomoc, to na początku spontaniczność ludzi była większa. Zresztą jest coraz ciężej. Moje środowisko to są robotnicy, nie zarabiają tak bardzo dużo. A to już długo trwa. Poza tym esbecja szkazuje działaczy. O mnie na przykład mówiono, że się dorobiłam na „Solidarności”. Aż przeprowadziłam rozmowę i powiedziałam, że jeżeli się to nie skończy, to ja po prostu oskarżę ich o potwarz. Tylko jak ja mogę oskarżyć SB-cję, że ze mnie złodzieja robi? Narazić ludzi, którzy mi to powiedzieli, żeby byli moimi świadkami jak to były nieoficjalne rozmowy? Dla wątpliwej satysfakcji narażę ludzi, żeby ich dodatkowo szykanowali, bo mi powiedzieli, że SB tak się o mnie wyraża? Tu chodzi o bezpieczeństwo ludzi, bo gdyby nie to, to mogłabym sobie na luksus podania ich do sądu pozwolić.

Później zaczęto z innej beczki z ludźmi rozmawiać na mój temat: że mnie się po prostu nie chce pracować. Ze mnie jest bardzo dobrze, bo pomaga mi — jak oni podejrzewają — zakład pracy albo Kościół. Każde moje posunięcie jest komentowane w taki sposób, że ludzie różnie mogą odbierać. Ale w to nie wierzą. Nie pracuję już tyle miesięcy, a jednak o mnie nie zapomnieli. To też się liczy. Dla mnie to jest jakiś dowód, że miałam autorytet. W końcu ludzie mnie wybrali, a teraz wciąż jeszcze przychodzą do mnie, pomimo że są z tego tytułu wzywani i że zabroniono im do mnie chodzić. Mam pomoc od ludzi, w różnej formie się to objawia, nie tylko finansowej, np. ktoś przyniesie trochę cukru czy co innego. Może mi to nawet być w danej chwili niepotrzebne, ale ludzie o mnie pamiętają.

Ale to, co mi najtrudniej wytrzymać, to ciągle napięcie. Mają uprawnienia w każdej chwili wejść do domu i mnie wywlec bez żadnego powodu. A ja nie mam żadnej możliwości dochodzenia swojej racji. Jak mnie zamknęli 30 sierpnia, to nawet nikt nie poinformował dlaczego, po prostu wypisano nakaz zatrzymania na 48 godzin. Dopiero w drugim dniu rano, kiedy się oburzałam, że jestem bezprawnie zamknięta, milicjant mi powiedział: „Co, pani nie wie, za co pani siedzi? Za Solidarność”.

Panowie przyjechali 30 sierpnia, było chyba pół do drugiej po południu i mówią: „Pani z nami pojedzie”. A ja: „Zagrajcie ze mną w otwarte karty. Jak długo to będzie trwało? Czy mam się po prostu spakować?” — „To będzie zależało od pani”. Więc wiedziałam już, o co chodzi. Spakowałam się, zabrałam papierosy, zmianę bielizny, wzięłam higienę i pojechałam.

Rozmowa się zaczęła, że jesteśmy sami w pokoju, nikt nas nie słyszy — to co mam do powiedzenia. Zaczęłam się śmiać, że na konfidentkę się nie nadaję. Jedyne, czego się dorobiłam, cały mój majątek to moja twarz i ją muszę zachować. Ten pan

mnie zaczął przekonywać, że ktoś za nami stoi, że nas wykorzystują. I w końcu mnie zirytował do tego stopnia, że mu powiedziałam, że mi jest *ganz egal* u kogo pracuję. To on mówi: czy ja bym pracowała u kapitalisty? Ja na to, że dla mnie się liczy, żeby mnie szanowano, płacono mi, żeby widziałam porządek wkoło siebie; że „ten ustrój — mówię — to jest wam wygodny, nie mnie”. Bo gdyby tak na przykład rządził kapitalista, to on by poszedł z torbami, a nie naród. Wytłumaczyłam tak, jak to rozumiałam. Zażądał odpowiedzi, dlaczego się spotykałam z niektórymi znajomymi, więc mu oświadczyłam, że znajomych nikt mi nie będzie wybierał. Zakazał mi chodzić koło zakładu pracy, to powiedziałam, że jeśli będę miała potrzebę, to będę chodziła. A jeżeli mam ograniczenia, to niech mi to dadzą na piśmie, że mnie — założmy — tędy nie wolno chodzić. Jak mam coś do załatwienia w pobliżu, to mam iść w przeciwnym kierunku?

Później ten pan zwiózł mnie niżej, do aresztu. Tam dopiero zaczęła się kołomyja, bo chcieli mi przeprowadzić rewizję osobistą, na co się nie zgodziłam, bo nie widziałam sensu i powodu. Oświadczyłam, że moje dziecko idzie do pierwszej klasy i że tego nie będzie już można zrehabilitować. Mimo wszystko wypuszczono mnie dopiero 1 września o 15-tej.

Później, jak już wspomniałam, przed każdym 13-tym zaczęłam uciekać z domu, bo nie miałam ochoty wycierać komend. I te ciągle przeprowadzki z dzieckiem — trzeba je gdzieś ukrywać, kiedy ja się chowam. Jak długo można? Wychodzę na ulicę i widzę, że jestem w towarzystwie — pilnują mnie. A ja niczego nie robiłam złego, cały czas budowałam, robiłam, pracowałam. Tak jak umiałam, jakie miałam kwalifikacje. I dzisiaj muszę za to płacić. Nie mogę spokojnie dziecka wychować, nie jestem pewna jutra, bo nie wiem, na podstawie jakiego dekretu mnie się zamknie. Zresztą nie tylko ja. Jest tysiące ludzi w takiej sytuacji w tym kraju.

Zaczęłam mieć kłopoty z dzieckiem. Chłopiec miał stan nerwowy, zaczął się jękać. Nie przyszedł na czas do szkoły, to on cały błąd wychodzi i mówi: „Myślałam, mamusi, że cię znów zamknęli”. Dla niego milicja nigdy nie będzie przyjacielem. Bo jemu nie pomagają, jemu zabierają matkę. Był przy tym niejednokrotnie, bo te wizyty się powtarzają. Dziecko cały czas tym żyje. I nie wiem, czy kiedykolwiek, jeśli historia z tego powstanie, będzie się cieszył i uzna, że robiłam właściwie. Nie umiałam mu wytłumaczyć, dlaczego byłam w więzieniu, przecież więzienia są dla przestępców. A on powiedział tak, jak rozumiał: „Ja wiem, mamo, że ty nic złego nie zrobiłaś, ty po prostu

siedziś za Solidarność". To były słowa siedmioletniego dziecka. Czas na resztę wyjaśnień przyjdzie kiedyś.

Czy myślę o wyjeździe? Niektórzy mnie namawiają. Pracy się nie boję, pracować trzeba wszędzie, ale wyjechać w zupełnie inne środowisko? Na pewno byłoby mi żal ludzi, wśród których żyję, z którymi się spotykam. Uważam, że tu jestem potrzebna. Tu mam rodzinę. Cóż będę mówić za granicą? To, co się u nas dzieje dla niektórych ludzi stamtąd jest jak sen, jest niemożliwe. Jeśli powiem prawdę, tam będą mnie posądzać o kłamstwo, a tu oczerniać. Nie wiem też, czy to byłoby wyjście, gdybyśmy wszyscy wyjechali. Dlatego może nie staram się o wyjazd. Nie mogę powiedzieć, że tego nie zrobię, jeżeli będę zmuszona, bo każdy w jakiś sposób chce żyć. Zobaczymy. Jeszcze ta sytuacja rodzinna nie jest najlepsza. Ale... to wszystko trzeba wytrzymać. Uważam, że wytrzymam.

Kiedy wprowadzono stan wojenny ludzie się sprawdzili. Fajni zostali, a tamtych możemy sobie odpuścić. Wyłonił się tacy, na których naprawdę można liczyć. Jak mówi stare porzekadło, przyjaciół poznajemy w biedzie. Jest solidarność pomiędzy ludźmi. Czy ona już zanika? Trudno powiedzieć. Tam gdzie miała zniknąć, to już zniknęła.

Czy zawiodłam się na ludziach? Zawiodłam się, jeżeli chodzi o ten mój proces. Tę farsę. Świadkiem oskarżenia była dziewczyna, z którą pracowałam przed oddelegowaniem do „Solidarności”. Po wprowadzeniu stanu wojennego wróciłam na swoje stanowisko pracy, do tego samego zespołu, gdzie była też ona. Ostrzeżono mnie, że to jest osoba niepokojna, żebym była ostrożna. Więc ja poza dzień dobry i do widzenia z nią nie rozmawiałam — to jest taka praca, że nie można sobie siedzieć przy kawce, to jest praca w huk, praca akordowa — nie miałam z nią żadnych osobistych spraw, zresztą nigdy nie była jakąś moją bliższą koleżanką. Podobno obiecano jej mieszkanie (nie mam pewności, czy tak było — jeśli je dostanie, będę mogła powiedzieć, że za mieszkanie to zrobiła) i dlatego świadczyła fałszywie, że ja pierwsza zatrzymałam maszynę. Ja nie byłam pierwsza — pierwsi byli wszyscy. Wszyscy zatrzymali. Ta dziewczyna posunęła się do tego, że stanęła w sądzie jako świadek oskarżenia i na podstawie jej zeznań mnie skazano. Jest tak jak ja osobą samotną, również ma dziecko. Nie chciałam być w jej skórze, bo ja nie mam pracy, ale mam przyjaciół, a ona ma pracę, ale nie ma przyjaciół. Nie wiem, co jest lepsze. Musiano ją przenieść z wydziału, na którym pracowała, bo ludzie jej nie dali żyć. I jest zupełnie wyizolowana ze środowiska, jest sama. Sama z tą dumą, że jest świnią. Więc może tu się za-

wiodłam: po prostu człowiek okazał się taki a nie inny. Ale co jest pocieszające: na przedalniu pracowało około 130 osób, a znalazła się tylko jedna, która fałszywie oskarżała.

Przyjaźnie w większości zdały egzamin. Mam swoje ograniczone kółko ludzi bliższych, ale znajomych też mam bardzo dużo. I to bardzo miłych ludzi, z którymi chętnie się spotykam. Może nie tak często, ale zawsze mile. Oprócz ludzi, którzy się sprawdzili, poznało się też parę świń. Tak jak komisarz strajkowy z regionu. Niby wspomniały, jakież radykalny, a potem, przy pierwszej próbie okazało się, co to za człowiek. Jego oświadczenie po 13 grudnia było chyba najbardziej haniebnym oświadczeniem, jakie w całej Polsce wyszło.

Czy żałuję, że straciłam pracę, że od grudnia było tak a nie inaczej? Nie żałuję. Po prostu jest to moje doświadczenie. Tylko w tych nowych związkach to bym już nie pracowała, bo tam niczego się nie robi dla załogi. Ci ludzie mają po prostu jawny dowód, że trzeba zawsze siusiać z wiatrem, nie pod wiatr. To przecież nie jest tak, że teraz nowe związki wszystko załatwią. Przecież ostatecznie gdyby rząd chciał, to zna bolączki. Są resorty, mamy tyle zrzeszeń, są ministerstwa. To nie wiedzą, co potrzeba, co się ludziom należy? Muszą zakładać związki? W końcu w kraju socjalistycznym przed kim mają nas te związki bronić, jeżeli ziemia jest chłopa, a warsztat pracy robotnika? Jeżeli to jest moje, to kto ma mnie bronić?

Czy widzę perspektywę, jak będzie zniesiony stan wojenny? Co się zmieni w moim życiu? Uważam, że nic. To się będzie ciągnęło latami, a w końcu za 10 lat, jak będzie jakiś przewrót i ludzie podniosą głowy, to zostanie zrehabilitowana. Nie wcześniej. Tylko czy mi starczy cierpliwości?

Chciałabym, żeby wyszli ludzie, którzy siedzą. Bo w końcu ja jeszcze jestem na wolności, a oni siedzą za nic. Chociaż nie wiem, gdzie jest łatwiej: za murami czy tu? Bo w tej chwili myślą o jednym: kiedy wyjdą. A po wyjściu zaczną się dla nich — brak pracy, wzywania, ciąganie, odwiedziny o każdej porze. Nie mogę porównywać, bo ludzie mają rodziny, dzieci i wyroki bardzo wysokie. Ale po prostu już się siedzi i nie widzi się tego, co się dzieje. I już niewiele im można zabrać. Zwłaszcza jeżeli jeszcze dostaną ten status więźnia politycznego i będą traktowani trochę inaczej.

Dużo ludzi siedzi. Są takie historie, że idą tylko zapalić świeczkę i już stamtąd są aresztowani i idą do więzienia. Gdybym chciała wziąć udział w czymkolwiek, na przykład właśnie zapalić świeczkę — bo mam do tego przekonanie i uważam, że mam pełne prawo — to mnie nie wolno się zbliżyć do tego

miejsca, bo mnie czeka 3 miesiące aresztu. Dlaczego jeżeli ktoś hołduje 1 maja, to nikt go nie wywleka z pochodu?

Poza tym ciągle szykany. Ci ludzie, którzy są prześladowani, są na jakieś liście i bardzo długo będą się ich czeplić. Te listy są coraz dłuższe. Obserwuję, że ludzie są zniechęceni, że mówią: „Wystarczy, żeby był chleb z mortadela”. Ale ja uważam zupełnie inaczej: ja nie żyję po to, żeby jeść, ja jem, żeby żyć.

Moje życie osobiste, towarzyskie? Nie wyszłam drugi raz za mąż. Żyję dla dziecka. Wcale nie mówię, że jest mi źle — ma to swoje plusy i minusy; ale więcej plusów. Mam jakieś swoje ideały, na przykład wierność, takie jakieś nieczasowe rzeczy, ale dla mnie istotne. Nie lubię się kimś dzielić, mam swoje wymagania, jestem taka władczą, wszystko chcę dla siebie i dlatego chyba jestem sama.

Co się wydarzyło w tym roku dla mnie? Siedziałam, to znaczy stwardniałam. Jedno mnie pocieszyło: że mnie to nie złamało, a nie wiedziałam tego wcześniej. Uważałam, że jestem twarda, ale nie wiedziałam, że to wszystko przejdę i się jeszcze bardziej uodpornię. I teraz nie wiem, czy cokolwiek jest w stanie mnie złamać.

Teraz jedyne moje marzenie to żeby podjąć pracę, bo w końcu człowiek po to jest, żeby pracować. Jestem jeszcze w pełni produkcyjna, chciałabym na emeryturę zasłużyć, zapracować. Chciałabym dostać właściwe świadectwo pracy, wrócić do swojego zawodu. Może to się wydać dziwne: praca w huku, ciężka, ale ja ją naprawdę lubiłam i chciałabym nadal wykonywać. Do zakładu, z którego mnie wyrzucono, nie wrócę — oni mnie nie chcą zupełnie. Takie było moje marzenie, żeby wrócić nawet na krótko i odejść wtedy, kiedy ja będę chciała. Ale tej satysfakcji mi nie dadzą. Chcę się rozliczyć z zakładem, chcę, żeby mi zapłacili za ten okres, w którym nie pracuję, bo to mi się prawnie należy. I żyć dalej. Zobaczmy, co będzie...

Pracownica dużego zakładu włókienniczego
„PRZĄDKA”

O nową piłkę

Do Najwyższej Rady Najwyższego Związku Najwyższych Społeczeństw.

Pragnę zwrócić uwagę NRNZNS na piłkę nożną. Uprawianie tej piłki godzi w podstawy ustroju.

Ludzie oglądają mecz takiej piłki i nie wiedzą jaki będzie wynik i może im przyjść do głowy, że NRNZNS też nie wie. Co sugeruje, że NRNZNS czegoś nie wie.

Kiedy wynik meczu jest nierówny, na przykład jeden do zera, albo zero do jednego — wtedy ludzie mówią, że ta drużyna, która uzyskała większą ilość punktów jest lepsza. A to jest sprzeczne z podstawową zasadą, że nikt nie jest lepszy od nikogo, a tylko NRNZNS jest lepsza od wszystkich. Chyba, że NRNZNS postanowi, że ktoś jest lepszy od kogoś innego aż do odwołania. Niekontrolowany wynik meczu otwiera szeroką furtkę, przez którą wślizguje się pogląd, że można wygrać albo przegrać. Ta drużyna, która wygrywa jest zadowolona kosztem tej drużyny, która przegrywa i jest niezadowolona, podczas kiedy zadowolenie powinno być rozdzielone równo, a niezadowolenia w ogóle nie powinno być.

Już sama forma tej piłki jest sprzeczna z formą naszego ustroju. Bowiem ta piłka jest okrągła i się toczy, zaś nasz ustrój stoi i wspiera się. A jak się toczy, to może się potoczyć tu albo tam, nie wiadomo dokąd, podczas kiedy nasz ustrój w ogóle się nigdzie nie może potoczyć, bo jest niewzruszony. Proponuję więc zamianę piłki okrągłej na kwadratową, czyli na sześciąt. Taka kwadratowa piłka nigdy się sama nie ruszy, a nawet jak ją przestawić z jednego boku na drugi, to nie będzie żadnej różnicy.

Ponieważ piłką bawi się także dziatwa, znaczenie wychowawczo-polityczne piłki kwadratowej będzie duże.

Reasumując proponuję następujące reformy:

A) Wynik każdego meczu ma być z góry ustalony przez Centralną Komisję Planowania w skali rocznej, podany w *Dzienniku Ustaw* i ogłoszony przez środki masowego przekazu. Przy-niesie to dodatkowe oszczędności walutowo-kaloryczne, ponieważ mecze w ogóle nie będą musiały się odbywać.

B) Każda drużyna, która będzie ogłoszona jako przegrywająca na mocy odpowiedniego ustalenia przez Komisję będzie zobowiązana do okazania zadowolenia. Formy zadowolenia, jako to: spontaniczne manifestacje radości poza terenem klubu (uliczne i placowe), listy dziękczynne do NRNZNS i samo-gratulacje zostaną opracowane i zapodane do wiadomości zadowolonych. To samo dotyczy drużyn ogłoszonych jako wygrywające.

C) Podstawą do kalkulacji wyników w każdym następnym roku ustaleniowym będzie stopień zadowolenia okazany przez poszczególne drużyny. W ten sposób element współzawodnictwa nie tylko nie zostanie wyeliminowany, ale i skierowany na zdrowe i konstruktywne społecznie tory.

Ze sportowym pozdrowieniem

Sławomir MROŻEK

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI • PRZEKŁADY Z JEZYKA
POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

Katalogi bezpłatne wysyłamy na każde żądanie.

Powrót

W przeddzień

Xiao Bao (Mały Skarb) rozdeptał glistę i rozplakał się, gdy glista przestała pełzać. Jego brat Da Niu (Wielki Bawół) zaczął go pocieszać, gdy nagle zauważył coś niezwykłego. Cztery nowe gaziki marki Pekin pędziły po drodze łączącej wieś Wang Południe z wsią Wang Północ, wzniecając tabuny kurzu. Do tej pory poza ciężarówką z komuny Czerwona Gwiazda żaden pojazd mechaniczny drogą tą nie przejeżdżał.

Da Niu zostawił płaczącego braciszka i pobiegł na pola bawełny, gdzie ojciec z dziadkiem czerpali ze studni wodę dla wysychających roślin. Stryjek Wang wysłuchał wnuka z przerażeniem. Przyjazd rządowych wozów pod jego zagrodę nie mógł oznaczać nic dobrego. Wang wysłał syna i wnuka do siostry okrężną drogą, a sam wrócił do domu, ciągnąc za sobą dwukołowy ręczny wózek a na nim Xiao Bao.

Już z daleka rozpoznał na swojej działce charakterystyczną postać Qing Deng Guo, komendanta Okręgowego Biura Bezpieczeństwa Publicznego. „Znowu wybuchła Rewolucja Kulturalna” — pomyślał, przejęty zimnym dreszczem. W czasie poprzedniej rewolucji podejrzania władz o jego domniemane „wrogonarodobce stosunki” o mały włos nie skończyły się tragicznie.

— Towarzyszu Wang — rozpoczął rozmowę Guo („Jak towarzyszu Jastrząb do towarzysza Wróbla” — przemknęło Wangowi przez głowę). — Mam dla was dobrą nowinę, towarzyszu Wang. Wasza bogata bratanica wróciła zza morza i jutro zamierza was odwiedzić.

— Nie mam żadnej bogatej bratanicy — nie dał się złapać

w pułapkę Wang, lecz ku jego zdumieniu Guo w dalszym ciągu spoglądał na niego łaskawie, a nawet życzliwie.

— Nie obawiajcie się, towarzyszu Wang — rzekł szef Guo, a jego promienisty uśmiech przebiegł po twarzach jego osiemnastu podwładnych, przechodząc na stopniu najniższym w kurczowy grymas. — Nie obawiajcie się niczego — powtórzył Guo. — My wiemy, że macie brata na Tajwanie, lecz czasy Bandy Czterech minęły i nigdy nie powrócą. Córka waszego brata przyjechała do Zheng-zhou i pragnie się z wami zobaczyć.

Całe popołudnie współpracownicy Guo krążyli po wiosce. Przed jedną chałupą kazali postawić przewróconą furtkę, z innej wynieść na widoczne miejsce ładne krzesło. Staruszek Xiao He, który jeszcze kiedyś studiował klasyków, dostał małą rzeźbkę Buddy z nakazem postawienia jej na stoliku przed swoją lepianką. Kto miał rower, musiał go wypucować i „niedbale” postawić na wysprzątany podwórku. Rozkaz mycia okien został przyjęty wrzawą i śmiechem: „Kogo tu u nas stać na szklane okna?”. Nakaz ubrania dzieci, chodzących latem zupełnie nago, przyjęto niemrawym potakiwaniem, a następnie zlekceważono.

— Tych instrukcji nie sposób do jutra wykonać, komendant — stwierdził po dwóch godzinach porucznik Li.

Guo z niesmakiem spojrzał na babcię Wang, która ochotczo kuśtykając na związanych stopach spędzała prawnuków i prawnuczki do miski z wodą:

— Małe szcurki, małe szcurki, jutro jest święto. W święto szcurki ani jednej wszy nie mogą mieć na główce.

Przed odjazdem Guo wręczył Wangowi, jego żonie i siostrze nowiusieńkie zegarki marki Diament, zapowiadając, że osobiście je odbierze po imprezie i surowo przestrzegając o konsekwencjach finansowych w razie jakichkolwiek uszkodzeń.

Wieczorem przez domek stryja Wangą przeszło pół wsi. Podniecenie było ogromne. Ponieważ Wang słusznie był uważany za człowieka małowównego a nawet ponurego, gratulacje składano głównie jego matce: „Niebo wynagrodziło cię za życie pełne goryczy i cnoty. Na stare lata sprawiedliwe niebo przysłało ci zza morza bogatą wnuczkę. Tak, wszystko to na Górze przesądzone zostało”. Tylko nieliczni zazdrośnie przepowiadali, że coś takiego nie może się dobrze skończyć. Stryjek Wang, który dobrze pamiętał, co się działo piętnaście lat temu, był posępniejszy i bardziej małowówny niż zwykle.

O pokolenie wcześniej

Było to trzy lata po zakończeniu Wojny Oporu. Wybuchła

Wielka Bomba Yuanzidan i wszyscy Japończycy zniknęli. Ale na wschodzie prowincji Henan (znaczy to „na południe od rzeki”) życie było jeszcze cięższe niż podczas okupacji. Po raz setny lub tysięczny Żółta Rzeka wystąpiła z brzegów. Całe nadbrzeżne wsie znikwały w wirach. Jeszcze sto kilometrów od rzeki poziom wody wolno wzrastał. Niekiedy widać było nabrzmiały i śmierzący trup świni, z zadartymi do góry nogami powoli płynący na południe. Wzgórze Wang pozostało nad wodą, ale okoliczne pola były zalane i chłopci uchodzili wraz z rodzinami do okręgowego miasteczka Yonghe („wieczna harmonia”).

To nie żywioł jednak przerwał groble. To Kuomintang w ten sposób próbował zatrzymać nacierające wojska komunistyczne.

W Yonghe dano uchodzić dach nad głową i trochę chleba. Marne to było. Resztki sympatii dla starego reżymu topniały z dnia na dzień.

Kiedy student Qing Yun Wang dowiedział się o powodzi, przerwał studia (wiedział zresztą, że i tak nie może już liczyć na pieniądze z domu) i wrócił do Yonghe. Młodszy brat zapoznał go z sytuacją. Rodzina postanowiła, że on jako pierworodny za wszelką cenę musi pozostać przy życiu. Dlatego powinien zaciągnąć się do wojska Kuomintangu, gdzie zresztą chętniej przyjmowano żołnierzy wykształconych, niż analfabetów.

Qing Yun wytargował u werbownika, że pierwszy żołd zostanie wypłacony jego rodzinie w żywności („Jeśli teraz kupię sucharka, to podrożeje on dwa razy, zanim przełknę ostatnie okruchy”). Jeszcze w Henanie poślubił dziewczynę, która wraz z matką uciekła na południe z Yonghe przed powodzią i wojną. Po urodzeniu się córki w Hankou Qing Yun przebrał się za pasterza krów i przeszedł przez linię frontu do Henanu. Tam nowa władza dopiero się utrzymywała. Nocą wszedł do rodzinnego domu na Wzgórz Wang, pokazał zdjęcie żony z dzieckiem, przez całą noc rozmawiał z matką, siostrą i młodszym bratem (ojciec i trzech najmłodszych braci w międzyczasie umarło z głodu) i następnej nocy wyruszył w powrotną drogę do Hankou.

Wtedy to stryjek Wang widział brata po raz ostatni.

Przyjazd

Cudzoziemiec był bardzo zadowolony. Nie była to jego pierwsza podróż do Chin, ale na pewno najciekawsza. Na Uniwersytecie Sun Yatsena w Kantonie rozmowy o planach naukowych wyszły nienajgorzej, a dzień wcześniej uprzejmy urzędnik

Departamentu Bezpieczeństwa Publicznego w Zhengzhou, stolicy osiemdziesięcimilionowej prowincji Henan, wydał mu bez żadnych zastrzeżeń pozwolenie na podróż wraz z chińską małżonką Niuniu Wang do Wzgórza Wang. Na ścianie w zagranicznym dziale Departamentu Bezpieczeństwa wisiał napis imitujący kaligrafię Zhou Enlaia: „Bądź uprzejmy dla cudzoziemców”. W przeszłości nie oznaczało to jednak bynajmniej, że cudzoziemcom ma się pozwalać na jakieś tam pętanie się po Chinach drugiej, trzeciej, czy czwartej kategorii. Dużo się zmieniło na lepsze w Chińskiej Republice Ludowej.

Kaszący autobus przewlókł się przez magiczną granicę dzielącą otwarte Chiny od „bu kaifengde diqu” (ziemie zamknięte). Badacz i jego żona chłonęli wzrokiem krajobraz. W dolinie Żółtej Rzeki żniwa były w pełnym toku. Na całej drodze rozrzucono siano do suszenia. Autobus jechał powoli i groźnie trąbił, gdy wymachujący widłami wieśniacy nie ustępowali z drogi.

Pasażerowie odkryli, że po cudzoziemsku ubrana córka Narodu Chińskiego nie tylko mówi językiem ogólnochińskim, ale nawet bez żadnego akcentu trajkocze śpiewną gwarą Henanu. Radość ich przeszła w zachwyt, gdy okazało się, że i Człowiek zza Morza włada zrozumiałą, choć bardzo niemelodyjną chińszczyzną. Po ustaleniu celu podróży i kraju zamieszkania poddano dogłębnej analizie wszystkie więzy rodzinne. Następnie rozmowa przeszła na elektroniczny zegarek Cudzoziemca, a z tego zegarka na wysokość jego miesięcznej pensji: „Ojoj! Niebo i Ziemia! Tyle pieniędzy! Tyleśmy w życiu na oczy nie widzieli!”.

Pasażerowie wysłuchali z nabożeństwem wykładu Przybysza na temat stosunków międzynarodowych i tragicznego losu polskiego Wodza Robotniczego Lecha Hualishao. Niuniu pokazała swój artykuł, który ukazał się w Hongkongu w chińskim odpowiedniku Kultury paryskiej. Artykuł opowiadał o jej przygodach w Warszawie z Jankiem Lityńskim i Zbyszkim Bujakiem. Cudzoziemiec rozpoczął obszerny wywód na temat nędznych wyczynów niegdyś sławnej holenderskiej piłki nożnej, gdy nagle autobus raptownie się zatrzymał. Koło najechało na łopatę ukrytą w sianie. Łopata podskoczyła, rozbijając coś delikatnego pod karoserią.

Po dwóch godzinach autobus z Kaifeng mijał miejsce awarii. Był on już dobrze zatłoczony, lecz wciśnięto do jego wnętrza wszystkich pechowców i podróż potoczyła się dalej.

Radosne samopoczucie Cudzoziemca i jego żony uległo w tłoku znacznemu pogorszeniu, lecz gdy autobus dotarł do wsi Wielka Harmonia i zostawił ich jako jedynych na przystanku, humor im się z miejsca poprawił.

— Widzisz, kochanie, — dydaktycznym tonem tłumaczył

swojej żonie Cudzoziemiec (jego żona odwiedziła dotychczas tylko jeden kraj komunistyczny, Polskę. I to nie całkiem komunistyczny, bo w czasach Solidarności) — gdybyśmy przyjechali pięć lat temu, nigdy by nas tu nie wpuszczono. A gdyby nas nawet wpuszczono, to by nas z miejsca witał cały komitet Frontu Jedności z burmistrzem na czele. Potem by nas wypchano żarciem, a przebrane za prosty naród miejscowe szyszki opowiadałyby przez cały dzień najpiękniejsze bajki.

Niuniu odparła z pewną goryczą, że w takim wypadku z pewnością kogoś by przysłano do niesienia jej ciężkiej walizki. Z tymi lekko mieszanymi uczuciami ruszyli w kierunku komisariatu, szukając informacji, gdzie leży Wzgórze Wang i czy ktoś z rodziny jeszcze tam mieszka.

Na głównej ulicy wsi Wielka Harmonia zostali jednak z miejsca otoczeni kilkutysięcznym tłumem. W miarę jak się zbliżali do głównej ulicy zainteresowanie mieszkańców wzrastało do rozmiarów tajfunu. Ale ledwo weszli na główną ulicę, kiedy kilku zdenerwowanych panów w mundurkach Mao i uprzejmie uśmiechających się pań wyprowadziło ich z tłumu. Natychmiast przejęto ich bagaż, poprowadzono ich do świetlicy i poczęstowano herbatą. Kiedy stwierdzono, że goście władają — oprócz „barbarzyńskiego” — także cywilizowanym językiem, wytłumaczono im sytuację: „Setki ludzi stoją wzdłuż drogi i czekają na zasygnalizowanie limuzyny Czerwony Sztandar. Szef półmilionowego okręgu i stryjek Wang czekają przy granicy miasta. Nikt nam nie powiedział, że przyjedziecie autobusem! A już zwłaszcza z Kaifeng!”.

Sytuacja szybko zaczęła się przekształcać w formalną uroczystość, jakie Cudzoziemiec tak dobrze znał ze swoich poprzednich podróży po Chinach. Na fotelach sadowili się zaciekawieni dostojnicy i zadawali gościom pytania. Wprowadzono stryjka Wanga. Usiłował ukryć paniczny strach, ale kiedy obok dziewczyny, która miała być jego bogatą siostrzenicą, zauważył Zagranicznego Potwora, zbladł jeszcze bardziej i policjant musiał doprowadzić go do kanapy.

Dziwnie ubrana dziewczyna zaczęła mówić do niego głosem ściśniętym emocją (dopóki nie stwierdziła podobieństwa z własnym ojcem, tak samo jak stryjek Wang liczyła się z oszustwem). Po kilku minutach nastąpiła odwilż. Stryjek Wang i jego bratanica rozplakali się, oficjalni przedstawiciele po raz pierwszy zamilkli, a Niuniu wyciągnęła stryjka do pokoju obok na rozmowę prywatną.

— Powiedzieli mi — opowiadał później stryjek Wang Cudzoziemcowi — że pod żadnym warunkiem nie mam prawa zaprowadzić was do Wzgórza Wang, ale odparłem im: jeśli okażą się

naprawdę naszą rodziną, to będą spali pod naszym dachem i jedli nasze jedzenie.

Kilka pozostałych godzin w Yonghe minęło w sposób całkowicie do przewidzenia. Kiedy goście uprzejmie lecz stanowczo odmówili przyjęcia gościnności lokalnych władz, szef kiwnięciem głowy dał znać podwładnemu, że należy wykonać kilka zarządzeń. Podano suty obiad obłany alkoholem (przez Przybysza oceniany na 60 %) i naszpikowany formalną uprzejmością. Stryjek Wang już całkiem przyszedł do siebie i na poufałości i pochlesbstwa burmistrza odpowiadał krótkim „tak”, „nie” lub „nie wiem”.

Tego wieczora powiedział:

— Władze patrzą na nas prostych ludzi jak na śmieci. Normalnie nawet by nie chciały wiedzieć o moim istnieniu. A teraz chcą, żebym jak tresowana małpa wykonywał dla nich różne sztuczki!

Burmistrz wygłosił mowę, w której szeroko nakreślił swoje wielkie poczynania na poprzednim posterunku, gdzieś w Tybecie, i wyraził nadzieję, że cały okręg Yonghe dużo się nauczy od przybyszów. Zwrócił uwagę na fakt, że polityka wobec zamorskich Chińczyków i wobec Tajwanu uległa zmianie. Ciągnął dalej, że pomimo iż Yonghe jest małe i odległe, od czasu upadku Bandy Czwoorga standard życia uległ znacznej poprawie. Każdy chłop miał teraz własną ziemię, a życie stało się szczęśliwsze niż kiedykolwiek. Dodał, że wnuczka tego okręgu i jej zagraniczny mąż koniecznie powinni się osiedlić w Yonghe. Mimo to zakończył prośbą, aby po opuszczeniu Chin Ludowych każdemu, a szczególnie na Tajwanie, opowiadać, jak dobre i wolne jest obecnie życie w Chinach.

Cudzoziemiec zrozumiał, że jako mężczyzna też będzie musiał przemówić i zwrócił się do obecnych prawie zadowolającą chińszczyzną. Rozzuchwalony tanim sukcesem chciał wznieść kieliszek i po raz setny wypowiedzieć toast „Ganbei!” (*ad fundum*), ale stryj Wang szturchnął go łokciem w bok i surowym wzrokiem dał do zrozumienia, że nadużycie alkoholu byłoby bardzo niepożądane w obecnych okolicznościach.

Władowano Niuniu, jej męża, stryjka i bagaż do błyszczącego Pekina i w trzy kwadransy przejechano 18 kilometrów dzielących Yonghe od Wzgórza Wang.

Zjednoczenie

Cudzoziemiec przygotował się na wrzawę spowodowaną jego przyjazdem (ostatnimi cudzoziemcami, którzy dotarli do Wzgórza

Wang byli chyba Mongołowie, gdy siedemset lat temu, płądrując i gwałcąc, przeszli od Ukrainy do Wietnamu, niosąc Pax Mongolica). Emocje i zainteresowanie były jednak głównie skierowane na Zaginioną Wnuczkę. Po pół godzinie stryjek Wang nareszcie przepędził napływających ciekawskich i atmosfera stała się bardziej rodzinna.

— Masz cztery siostry i tylko jednego brata, tak? Oj oj oj! — wykrzykiwano z lekkim ubolewaniem. — Naprawdę umiesz mówić po barbarzyńsku? Powiedz coś po barbarzyńsku! Dlaczego twój mąż nie mówi po henańsku? Często cię bije? Masz rower?

Osiemdziesięcioczeroletnia babcia siedziała zadowolona na honorowym miejscu, piła hutu (cienką białą papkę) i zaczepiała każdego, kto się do niej zbliżał.

Po niedługim czasie towarzysz Yuan, wiceprzewodniczący komuny, pojawił się po raz pierwszy na działce. Odgórnie polecono mu wszystkiego pilnować. Wykonywał zadanie jak najlepiej i zostawiał gości tylko na zrobienie potrzeby, zjedzenie kolacji i po zmroku.

— Kto z was mówi po angielsku? — spytał podejrzliwie po pięciu minutach zebranych na dziedzińcu. Chociaż babcia na ogół udawała głuchą przed Yuanem, tym razem odpowiedziała pierwsza:

— Ja wyśmienicie mówię ang-językiem! Ty też? Siadaj tu, to ang-językiem zrobimy trochę bla-bla-bla.

Żona stryjka Wanga wyprała i powiesiła ubrania gości. Odpowiedzialność wiceprzewodniczącego Yuana sięgała po szczegóły gospodarstwa:

— Oni nie są chłopami, kiedy pierzesz ich odzież, musisz ją także wyprasować.

— Nie mamy żelazka.

— Ja mam żelazko w domu, mogę ci pożyczyć.

— Ojej, jakie szczęście! Jaki jesteś dla nas dobry, przewodniczący Yuan. Na przyszłość zawsze do ciebie przyjdziemy, kiedy będziemy mieli coś do wyprasowania.

Później tego samego wieczoru stryjek Wang opowiadał, że wiceprzewodniczący Yuan jest największym draniem jakiego zna i że awansował dzięki Rewolucji Kulturalnej. W 1967 roku kazał bić stryjka Wanga całymi dniami: „My wszystko wiemy! Przyznaj się, bo zaczniemy z żoną i z dziećmi!”.

Napływający tłum zaczął wreszcie rzednąć. Tylko dzieci nie ubywało. Fascynowały się cukierkami i cudami z lampą błyskową. Dopiero kiedy cała rodzina po raz trzeci zaprosiła wiceprzewodniczącego Yuan na wspólne spanie koło muła, wreszcie sobie

poszedł. Wszyscy odetchnęli, nastrój stał się wyśmienity. Cudzoziemiec nieostrożnie wyciągnął butelkę Johnny Walkera. Stryjek Wang poszeptał trochę z siostrą i widocznie uznał, że rodzina Wang nie może stracić twarzy, bo skombinował dwie butelki ohydneho bimbrow. Tym sposobem pijatyka potoczyła się dalej.

Zapadła noc. Stryjek Wang i jego żona rozłożyli sobie szorstkie prześcieradło na sianie koło muła, a gościom odstąpili własne łóżko w pomieszczeniu, które poprzedniego wieczora zostało wyklejone na koszt komuny białym papierem.

Kiedy następnego rana ciężko skacowany Cudzoziemiec poczuł świeże powietrze, po raz nie wiadomo który przyrzekł sobie już nigdy nie dotykać chińskiego alkoholu. Żona w ogóle mu nie współczuła. Huogai — twoja wina — wytykała mu i głośno narzekała na pchły, które ich w nocy pogryzły.

Po śniadaniu wrócił wiceprzewodniczący Yuan w towarzystwie swojego baczego przełożonego z Yonghe. Ledwo ten odszedł, chłopcy zaczęli nabijać się z byłego tyrana: „Jesteś dla nas prawdziwym ojcem, towarzyszu Yuan! Odkąd tak często przychodzisz do naszej wioski, kwiat bawełny ze szczerej radości sam zakwita”.

Stryjek Wang wyperswadował Cudzoziemcowi, żeby w obecności Yuana nie robił zdjęć biedoty („U nas nie jest jeszcze najgorzej bo wykopaliśmy studnie. Ale zobaczysz po żniwach. Ze wschodu będą tędy żebrząc ciągnęły całe wsie. Trzy lata temu mieliśmy powódź, a teraz od dwóch lat suszę”). Wang poradził też Cudzoziemcowi, żeby obniżył poziom swojego chińskiego języka. Ta taktyka poskutkowała. Kiedy Niuniu opuszczała działkę, idąc z wizytą do ciotki, po krótkim zastanowieniu Yuan pobiegł za nią i zostawił Cudzoziemca na polu ze strykiem Wangiem, któremu pomagał w podlewaniu bawełny.

Kiedy minęły pierwsze sensacje, rozmowy wieczorne stały się bardziej otwarte. Przybysz dopytywał się, jak dokładnie wygląda sprawa rozwiązywania systemu komun (prawie w całych Chinach dzielono ziemię komun między chłopów i sprzedawano im zwierzęta oraz maszyny rolnicze). Okazało się, że odpowiedzi pokrywają się z literaturą fachową na ten temat. Życie stało się znośniejsze lecz podatki mordercze jak zawsze — informowano Cudzoziemca.

— Co jeszcze zostało z komuny? — chciał wiedzieć Cudzoziemiec.

— Mniej niż było — odpowiedział stryjek Wang. — Nawet ktoś taki jak Yuan nie może już sobie na tyle pozwolić co kiedyś. Robi się też dobre rzeczy — pomoc bezdzielnym starcom i tym

podobne. Przy drugim dziecku nie dostaje się już ekstra ziemi od komuny, a przy trzecim nawet się ziemię odbiera.

Na działkę wchodzi podpierany przez prawnuka staruszek. Posadzony na honorowym miejscu drzącymi rękami ostrożnie rozwija kawałek płótna. Jeszcze jedno płótno, a w nim położył egzemplarz Nowego Testamentu. Z dumą opowiada, że przechowywał to przez cały czas.

— Wierzycie w Jezusa Chrystusa? — spytał Cudzoziemiec.

— Nie, ale książka jest taka piękna.

Rozmowa ciągnęła się dalej o Rewolucji Kulturalnej i Cudzoziemiec, który na ten temat wiele już się nasłuchał, chciał wiedzieć, czy system nie przynosi też jakichś korzyści. Pytanie dotyczące opieki społecznej pokwitowano drwiącym uśmiechem. Sprawa pozytywnych elementów wprowadzonych w systemie komun dochodów pieniężnych wywołała wybuch śmiechu. Nawet stryjek Wang się rozweselił.

— Opowiem ci coś! Wiesz co dostałem za Wielkiego Skoku Naprzód jako zapłatę? Wezwali mnie do biura i wcisnęli 80 groszy do ręki. Osiemdziesiąt groszy za rok pracy!

Kobiety z oburzeniem przerywają stryjkowi:

— O czym ty gadasz, jakie osiemdziesiąt groszy? Ludzie umierali jak szczury, sami byliśmy ledwo żywi, a ciebie po tylu latach denerwuje tylko te osiemdziesiąt groszy!

Kilka dni później do Wzgórza Wang w chmurze kurzu nadjechała limuzyna Shanghai i zabrała gości z powrotem do Wiecznej Harmonii. Stamtąd wyruszyli w dalszą podróż po Chinach. Pytania o los rodziny Niuniu ze strony matki spotkały się w Yonghe z murem milczenia.

Chińskość miast, w których się znów znaleźli, ukazała się im całkiem inaczej niż przed odwiedzeniem Wzgórza Wang. Okna były oszklone, odzież mniej szara, niż im się wcześniej wydawało, światło elektryczne, bieżąca woda i dużo, dużo innych luksusów. Niektórzy Chińczycy, mieszkańcy miast, tak samo interesowali się wrażeniami z podróży do Wzgórza Wang jak cudzoziemcy.

— Bardzo ciekawe — nauczył się wreszcie mówić Przybysz.

Wzgórze Wang

Po trzytygodniowej podróży pociągiem Niuniu z mężem wrócili do demograficznego środka Chin, gdzie dwa miesiące temu zaczęła się ich podróż. Miasteczko Wieczna Harmonia znów serdecznie ich przywitało. Towarzysze z Frontu Jedności znów

mówili, że sytuacja jest wspaniała i że żniwa mimo suszy świetnie się udały. Tym razem nie odczuli żadnej kontroli nad swoimi poczynaniami.

Przy pierwszej wizycie na pytania o los rodziny Niuniu nie otrzymano odpowiedzi. Tym razem pierwszego dnia po ich powrocie do Wiecznej Harmonii szewc, który naprawiał sandały Cudzoziemca, z własnej inicjatywy napomknął, że chce na ten temat rozmawiać:

— Ale nie teraz. Przyjdź wieczorem o jedenastej, kiedy wszyscy będą spać. Uważaj, żeby cię nikt nie zobaczył.

Tej nocy usłyszeliśmy, co się wówczas wydarzyło. Siostra babci Niuniu była dawniej bogatą kobietą. Po wybuchu Rewolucji Kulturalnej jej rodzina znów znalazła się pod ostrzałem „walczącej krytyki”. Stara kobieta postanowiła uciec z synem i córką do miasta Wuhan, gdzie syn mógł znaleźć posadę. Stracił ją natychmiast, kiedy zwrócono uwagę brygady na jego pochodzenie i przeszłość. Czterooosobowa rodzina (w Wuhanie doszło niemowlę) była teraz zdana na pracę sezonową i żebranie.

Synowa całą winę zwała na babkę. Znęcała się nad nią dopóty, aż którejś nocy staruszka się powiesiła. Żeby uniknąć skandalu syn i synowa wynieśli ciało na dwór i wrzucili je do wózka kontenerowego, do jakich się w Chinach zbiera ludzkie nieczystości. Wyjechali z wózkiem poza miasto i przed wschodem słońca zakopali zwłoki na śmietniku. Kontener był jednak numerowany i po odnalezieniu go przez władze syn i synowa powędrowali do obozu pracy za kradzież mienia społecznego. Nikt już nigdy o nich nic nie usłyszał.

— Ale w miasteczku Wieczna Harmonia — zakończył szewc swoje opowiadanie — każdy znał tę historię.

Nie była ona bardziej makabryczna niż wiele innych, których Niuniu i jej mąż nasłuchali się o Rewolucji Kulturalnej podczas swej podróży po Chinach. Ale kiedy przez zupełnie ciemne miasteczko wracali do świetlicy, nie powiedzieli do siebie ani słowa. Raptem Niuniu przystanęła i zaczęła wymiotować.

— Spokojnie, spokojnie, — rzekł przestraszony mąż — to wszystko jest dalekie i nieprawdziwe.

Michał KORZEC

Archiwum polityczne

Jałta - Helsinki - Madryt

PRAWO DO BRZYDOTY

Motto: „Mężczyźni mają prawo do brzydoty, ale XY przesadził...”

Markiza de Sevigné

Zachód też przesadził. Politycy mają prawo do cynizmu. Ale nie do tego stopnia. Poważna analiza stosunku Zachodu do tzw. sprawy polskiej czeka na swojego autora, niektóre elementy jednak warto są natychmiastowego ujęcia. Zanim jakiś wielki malarz namaluje fresk, już dziś trzeba na gorąco szkicować detale. Na razie „Życie jak w Madrycie”, potem będzie więcej. Niestety.

I. SAMOBÓJSTWO RODZINY ANDROPOW

Ojcowie mają prawo do dbania o swoje dzieci, ale Andropow przesadził. Fakt, że aż dwóch Andropowów (ojciec na Kremlu, syn w Hiszpanii) zajmowało się konferencją w Madrycie, badającą sposób w jaki 35 państw: cała Europa (bez Albanii) oraz USA i Kanada, realizowały albo raczej gwałciły akt końcowy podpisany w sierpniu 1975 w Helsinkach, powinien być od razu wydać się podejrzany. Po zakończeniu Madrytu widać wyraźnie o co rodzinie Andropowów chodziło.

Konferencja w Madrycie zakończyła się prawie dokładnie w 10-tą rocznicę rozpoczęcia tzw. „procesu helsińskiego”. Pomysł był sowiecki, jak zawsze zresztą. Kreml przekonał wówczas Zachód, iż jest to dobry interes dla wszystkich i że w zamian za pierwsze dwa „koszyki”, regulujące sprawy bezpieczeństwa i współpracy gospodarczej, wyraźnie faworyzujące tezy i interesy ZSSR, Zachód otrzymuje trzeci „koszyk” dotyczący praw człowieka, zwiastujący nadejście demokracji na Wschodzie. Nie war-

to wracać do smutnej historii: represje wyniszczyły dysydentów, Moskwa napadła na Afganistan, i poprzez wojsko i policję polską, wydusza „Solidarność” i nadzieję Polaków.

Proces helsiński jednak nie został przerwany. Odwrotnie. Zwyciężyła znowu teza sowiecka: im gorzej tym bardziej dialog jest potrzebny. W Madrycie trwał trzy lata. Najpierw konferencja miała zemrzeć z powodu Afganistanu, potem z powodu Polski. Przeżyła wszystko. Urodziła nawet małe: osiem konferencji następnych już jest zaplanowanych na okres do 1986 roku. A potem zobaczymy.

Na pozór, Kreml postanowił popełnić w Madrycie samobójstwo. Tzw. komunikat końcowy, czyli kompromis osiągnięty w Madrycie brzmi jak akt zejścia Związku Sowieckich Republik Sowieckich. Kreml proklamuje w nim bowiem swą „niewzruszoną wolę” zapewniania swoim poddanym praw obywatelskich, politycznych, gospodarczych i społecznych oraz innych praw człowieka i innych zasadniczych swobód. Kreml podjął równocześnie cały szereg dokładnych zobowiązań w zakresie wolności religii, słowa, kontaktów ludzkich, a nawet praw związkowych.

Są to intencje chwalebne, ale w tym wypadku podejrzane. Zaden z Andropowów nie zamierza popełnić samobójstwa. Nikt też nie ma wątpliwości co do praktycznych skutków zobowiązań podjętych przez Kreml w Madrycie. Tym bardziej warto więc przyjrzeć się powodom, dla których Moskwa pozwoliła się zamknąć w tak obcisły kaftan zobowiązań prawnych, absolutnie nie do zrealizowania w ZSSR, chyba żeby ustrój sowiecki przekształcił się nagle w demokrację brytyjską, czego nie należy na razie brać pod uwagę. Jaki więc cel miał Kreml na oku, ofiarowując Zachodowi broń psychologiczną teoretycznie ogromnie skuteczną w zimnej wojnie, którą wszak prezydent Reagan zamierza prowadzić przeciwko państwu określonemu jako „imperium zła”?

Zanim jednak odpowiemy na to pytanie, najpierw — jak stale powtarzam młodym i naiwnym adeptom zawodu dziennikarskiego — informacja, a potem przyjemność.

a) Jak powstaje tzw. kompromis?

Konferencja madrycka została otwarta, w wielkich bólach z powodu Afganistanu, 11 listopada 1980 roku. Rok później, w pierwszych dniach grudnia 1981, osiem państw tzw. neutralnych i niezaangażowanych (Austria, Cypr, Finlandia, Jugosławia, Lichtenштаjn, San Marino, Szwecja i Szwajcaria), przedstawiły pierwszy projekt dokumentu końcowego, zawierający nieśmiałą próbę znalezienia wspólnego mianownika dla stanowisk Wschodu i Zachodu podzielonych w absolutnie wszystkich poważnych sprawach objętych porządkiem dziennym konferencji.

Próba zmarła właściwie przed narodzeniem. Pucz polskich generałów dobił ją, wydawało się wówczas że na zawsze, a przy-

najmniej na bardzo długo. Kiedy w lutym 1982 roku kilkunastu ministrów spraw zagranicznych państw zachodnich gnanych świętym oburzeniem, wywijając połamami fraków i grożąc ogniem i mieczem zjechało się do Madrytu aby postawić ZSSR i PRL za karę do kąta, wydawało się, iż nic już nie zdoła konferencji uchronić od choćby prowizorycznego skonania. Wszystkie paragrafy aktu końcowego z Helsinek zostały wszakże w Polsce dokumentnie pogwałcone i podarte na strzępy. Po cóż więc podpisywać nowy, kiedy atrament, no i krew, na poprzednim jeszcze nie wyschły? Głupie pytanie.

W marcu 1983 roku, niestrudzona ósemka neutralno-niezaangażowana przedstawiła nowy projekt. Zanim Zachód coś powiedziało, Moskwa już go przyjęła. Podejrzane, pomyślał Zachód, zwłaszcza, iż nowy projekt dotyczył tak niebezpiecznych punktów jak sprawy podzielonych rodzin i prawa związkowe. Postanowił więc wprowadzić do niego kilka poprawek. Aleśmy im „poprawili”, pomyślano w sztabie NATO, gdzie obraduje specjalny komitet do spraw Madrytu. I rzeczywiście. Moskwa z pogardą odrzuciła poprawki zachodnie, które dotyczyły nielegalnych, subwersyjnych, antykomunistycznych akcji, takich np. jak zakaz zagłuszania audycji radiowych czy zwołania konferencji ekspertów na temat kontaktów ludzkich. I zapanowała ciemność.

Wtedy wkroczył nowy, młody i sprytny, socjalistyczny premier Hiszpanii, p. Gonzalez. Tak jak wszyscy, on także miał absolutnie dosyć tej farsy, gdzie faktycznie tylko dwie role były poważnie obsadzone, a cała reszta (pomijam tu farsę w farsie w wykonaniu p. Mintoffa, premiera Malty), sprowadzała się do statystowania. 17 czerwca 1983, szybki Gonzalez zaproponował (on także) kompromis: Zachód zrezygnuje z poprawki dotyczącej zagłuszania. Wschód zgodzi się na konferencję w sprawach ludzkich. Początkowo Moskwa odrzuciła ten pomysł. Pewnego dnia jednak Andropow junior pojechał do Andropowa seniora i ku ogólnemu zaskoczeniu (z wyjątkiem p. Kampelmana, ambasadora USA), Moskwa kompromis p. Gonzaleza zaakceptowała.

Reszta była już formalnością. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Koniec koszmaru. Tylko Malta znowu wzięła na siebie rolę błazna. P. Mintoff odmówił podpisania dokumentu (tzw. konsensus jest niezbędny w procedurze helsińskiej), żądając aby jedna z następnych konferencji „35” zajęła się sprawą bezpieczeństwa basenu śródziemnomorskiego. Jest to naturalnie absurd (nie sprawa bezpieczeństwa, ale sprawa takiej konferencji), wystarczy przecież wyobrazić sobie do czego by doszło gdyby obok 35 magików z cyrku helsińskiego czy madryckiego, wystąpili np. jeszcze ich koledzy z Algieru, Libii i Izraela. W chwili gdy piszę te słowa, nie wiadomo jak się skończy fronda Malty, jest to zresztą nieważne. Ważne jest natomiast to, że po to aby zgnieść opór maltańskiego komedianta, doszło do koalicji wszystkich sił ZSSR i USA, Rumunii i San Marino, a delegat holenderski, dystyngowany dżentelmen, nie wytrzymał i przy pełnej sali wyzwał Maltańczyków od idiotów i błaznów.

O co chodzi? Skąd ta koalicja i ten antymaltański konsensus? Dlaczego Moskwa, tak szalenie czuła na suwerenność małych, bezbronnych państw, wystąpiła u boku imperialistycznych USA w gwałcie na Malcie? Ale znowu — najpierw informacja, a potem przyjemność.

b) Co zawiera tzw. kompromis?

Akt końcowy z Madrytu liczy około 40 stronnic, zaczyna się od potwierdzenia znaczenia jakie układające się państwa przywiązują do „prawdziwego bezpieczeństwa i prawdziwego odprężenia”. Jasne, ubolewają one nad „pogorszeniem się sytuacji międzynarodowej do jakiego doszło po konferencji w Belgradzie w 1977 roku” (Afganistan, Polska, nie licząc tysięcy „pogorszeń” indywidualnych) i uważają, że „przyszłość procesu helsińskiego wymaga równoległego postępu we wszystkich 'koszykach' objętych aktem końcowym z Helsinek”. W tym kontekście, dokument madrycki zauważa, że doszło do „poważnego pogwałcenia niektórych zasad” zdefiniowanych w Helsinkach w 1975 roku. O jakie zasady chodzi, dokument madrycki nie mówi, możemy więc się tylko domyślać.

Rozdział na temat bezpieczeństwa w Europie ponawia naturalnie zobowiązania do wyrzeczenia się siły w rozwiązywaniu sporów międzynarodowych i narodowych, potwierdza konieczność „powstrzymania wzrostu zapasów broni”, zapowiada „kontynuowanie wysiłków zmierzających do wzmocnienia zaufania i bezpieczeństwa” oraz poświęca sporo uwagi sprawom terroryzmu. Układające się państwa „potępiają terror, w tym także w stosunkach międzynarodowych” i deklarują „swą stanowczą wolę podjęcia właściwych kroków w celu zapobieżenia i zwalczania terroryzmu tak w skali krajowej co i na drodze międzynarodowej współpracy”. Układające się państwa zobowiązują się także do „zastosowania wszelkich środków aby ich terytorium nie mogło być użyte do przygotowania, organizowania, lub prowadzenia działalności terrorystycznej”, lub też innej „działalności dywersyjnej zmierzającej do obalenia siłą ustroju innego układającego się państwa”.

Rozdział na temat praw człowieka wyraża zdecydowaną wolę zapewniania „wszelkich swobód obywatelskich i podstawowych praw człowieka”. W tym celu państwa-sygnatariusze z Madrytu zapewnią „wolność wiary oraz wolność praktyk religijnych, indywidualnie lub zbiorowo, wszelkich wyznań zgodnie z nakazami sumienia”. Państwa-sygnatariusze zobowiązują się również „do poszanowania prawa pracowników do tworzenia i należenia do związków zawodowych, prawa związków zawodowych do swobodnego prowadzenia ich działalności i korzystania z uprawnień wynikających w tej dziedzinie z prawa międzynarodowego”.

Państwa podpisujące dokument z Madrytu zobowiązują się także do „przyspieszania procedury udzielania zezwoleń na spot-

kania rodzinne o charakterze nagłym”. Jeżeli chodzi o zgodę na łączenie rodzin lub małżeństwa między obywatelami różnych krajów o nie nagłym charakterze, to okres oczekiwania na zgodę nie powinien „na ogół” przekraczać sześciu miesięcy. W innych przypadkach rodzinnych „okres oczekiwania powinien być stopniowo zmniejszany”. Dokument precyzuje, że obywatel, który stara się o taką zgodę nie powinien być przedmiotem żadnych represji. W tym kontekście, dokument madrycki zapewnia „wolny dostęp do misji dyplomatycznych i konsularnych”.

Rozdział na temat bezpieczeństwa przewiduje zwołanie konferencji dotyczącej rozbrojenia w Europie. Chodzi o stary projekt francuski (znany pod inicjałami CDE), którego pierwsza faza ma dotyczyć kroków zmierzających do „wzmocnienia zaufania”. Chodzi tu przede wszystkim o takie rzeczy jak uprzedzanie o manewrach czy ruchach wojskowych innego typu.

Rozdział na temat współpracy powtarza życzenia z Helsinek w sensie zacieśniania kooperacji gospodarczej, naukowej i technicznej, podkreślając przy tym zależność między postępem w tej dziedzinie, a realizacją zasad zawartych w akcie końcowym w w ogóle.

W rozdziale na temat informacji, dokument madrycki domaga się od państw podpisujących „wolnego i szerokiego obiegu wydawnictw importowanych z innych krajów i zwiększenia punktów sprzedaży tych wydawnictw”. Inne paragrafy przewidują ułatwienia pracy korespondentów zagranicznych, ich poruszania się i ich kontaktów zawodowych. Podania o wize dla dziennikarzy zagranicznych powinny być załatwiane „bez zwłoki”.

Wreszcie, dokument zapowiada zwołanie całej serii spotkań pomadryckich, od konferencji CDE w Sztokholmie w styczniu 1984, poprzez Ottawę w 1985 i Berno w 1986 w sprawach ludzkich, Wenecję i Budapeszt na różne tematy współpracy gospodarczej, naukowej i kulturalnej, a nawet Ateny, gdzie w marcu 1984 specjalna grupa ekspertów z 35 krajów obradować będzie nad „pokojowym rozwiązywaniem konfliktów międzynarodowych...” aż po nową konferencję „35” w listopadzie 1986 we Wiedniu.

Dokument madrycki nie określa jak długo konferencja wiedeńska miałaby trwać. Jest to o tyle zrozumiałe, że konferencja madrycka miała się pierwotnie skończyć... 5 marca 1981.

Tyle byłoby informacji, w zasadzie obiektywnie streszczonej, o dokumencie madryckim. A teraz kolej na przyjemność.

c) Co znaczy tzw. kompromis?

Moskwa w Madrycie raz jeszcze udzieliła Zachodowi wielkiej lekcji dyplomacji. Podjęte przez nią zobowiązania w dziedzinie praw człowieka są całkowicie nierealistyczne i ani przez chwilę Kreml nie brał ich poważnie, podobnie jak to było z takimi samymi zobowiązaniami w Helsinkach. Czyniąc jednak „konce-

sje" i godząc się na pseudo-kompromis, Moskwa uzyskuje w zamian zasadnicze realne korzyści polityczne, dwie w dziedzinie strategii i znacznie więcej w dziedzinie taktyki.

Po pierwsze Kreml uratował od śmierci, niechybnej w razie fiaska w Madrycie, tzw. „proces i ducha Helsinek”. To nie jest abstrakcja. Wiencząc Madryt dokumentem końcowym, Moskwa unika podważenia zasady *status quo* terytoralnego, tzn. niepodważalności granic narzuconych Europie po drugiej wojnie światowej. ZSSR ciągle zafascynowany „bumażką” w stosunkach międzynarodowych, nie zapomina, ani w Helsinkach, ani Madrycie, że w Europie wojna nie zakończyła się podpisaniem traktatu pokojowego i że w takiej sytuacji akt końcowy z Helsinek, potwierdzony aktem końcowym w Madrycie, jest jedynym wielostronnym dokumentem międzynarodowym uznającym nienaruszalność granic powojennych, to znaczy — w optyce sowieckiej — podział Europy i satelizację państw Europy wschodniej i środkowej. Madryt dla Kremla równa się więc Jałcie. Takie równanie nie ma ceny dla Moskwy. Pozornie powinno tak być także dla Zachodu. Mnie np. wydawało się, że groźba jednostronnego wypowiedzenia aktu końcowego z Helsinek stanowiła najbardziej przerażającą broń w arsenale przewidzianym przez Zachód w wypadku bezpośredniej czy pośredniej interwencji sowieckiej w Polsce w 1981 roku. Prawdopodobnie się myliłem. Ani bowiem przez chwilę delegaci zachodni nie brali pod uwagę zerwania, lub choćby zawieszenia konferencji madryckiej i postawienia choćby symbolicznego znaku zapytania nad trwałością ustaleń aktu z Helsinek. Widocznie w Polsce nic ważnego w końcu się nie stało.

Po drugie, akceptując „kompromis” madrycki i kalendarz spotkań pomadryckich, Moskwa uruchamia na nowo dynamikę dialogu wschód-zachód na swoich warunkach. Nie należy zapominać, że uroczystość podpisania dokumentu madryckiego ma nastąpić z początkiem września (kiedy ten numer *Kultury* dotrze do czytelników, być może będzie już po hecy) z udziałem 35 ministrów spraw zagranicznych. Inaczej mówiąc, spotkają się tam także Shultz z Gromyką. I słusznie. Dokument madrycki jest bowiem pierwszym wielostronnym politycznym układem wschód-zachód, zawartym od czasu inwazji na Afganistan i na Polskę i jest ponadto pierwszym kontaktem, na razie pośrednim, ale już bez inwektyw, między Reaganem a Andropowem. A o czym innym marzył Kreml? Czyż nie byłoby nietaktem gdyby w tych warunkach ktoś przypominał np. o losie aresztowanych przywódców „Solidarności”, czy Korowców, Żydów sowieckich czy państwa Sacharow?

Delegaci sowieccy wezmą naturalnie udział w konferencjach na temat praw człowieka, gdzie wysłuchają bez mrugnienia oka zachodnich pretensji na temat gułagu itp. a sami ponowią oskarżenia Zachodu o łamanie praw człowieka przez USA w Nikaragui i... Afganistanie (dosłownie *Prawda* z 18 lipca...). Przede wszystkim jednak Sowietci zajmą się konferencjami na temat

współpracy gospodarczej i technologicznej. Oni wiedzą, że takie konferencje stanowią idealne forum do wygrywania konkurencji między Europą zachodnią a USA, a także między państwami Europy zachodniej bez USA. Atmosfera takich konferencji ułatwia potępienie wszelkich embargów i ograniczeń gospodarczych z powodów politycznych. To właśnie ten typ dynamiki dialogu pozwala Moskwie wygrywać wszelkie nieporozumienia, delikatnie mówiąc, między państwami zachodnimi, niezdolnymi do uzgodnienia prawdziwych priorytetów w ich interesach, skłonnych sprzedać siebie nawzajem za kilometr rury gazociągowej czy tonę zboża. To ta dynamika „dialogu” otworzyła Moskwie możliwość wygrania już nie tylko różnic między opozycją a rządem w RFN, ale nawet w łonie większości rządowej. Jak inaczej można wytłumaczyć skandaliczną wycieczkę Straussa do Polski i NRD, kiedy ów do niedawna postrach na dzieci w Polsce, pochwalił Jaruzelskiego i podarował miliard DM Honeckerowi?

Po trzecie, w zamian za swe „ustępstwa” (takie np. jak obietnica zwolnienia niektórych więźniów politycznych, łagodnych zielonoświątkowców, ale nie Orłowa, folklorystycznych pacyfistów, ale nie Szczarańskiego), Moskwa w Madrycie potrafiła narzucić swoją taktykę i potrafiła przekonać Zachód, że:

a) Nie należy precyzować, iż konferencja CDE w Sztokholmie powinna ograniczyć się wyłącznie do kategorii broni konwencjonalnych. Teoretycznie więc będzie ona mogła dyskutować także na temat broni atomowych. Można więc sobie wyobrazić z jaką drapieżną chucią rzucą się Rosjanie w tę wyrwę aby wykorzystać okazję dla uruchomienia i wzmocnienia swoich „incjatyw pokojowych” (idzie gorąca jesień — zapowiadają „niezależni” pacyfiści w RFN), a przede wszystkim dla wywarcia nacisku na negocjacje atomowe w Genewie.

b) Faza przygotowawcza do konferencji w Sztokholmie, zapowiedzianej na styczeń 1984, powinna się rozpocząć w Helsinkach już w październiku 1983. Jeżeli wziąć pod uwagę, że początek instalowania amerykańskich rakiet Pershing i Cruise przewidziany jest na grudzień 1983 roku, staje się jasne dlaczego ze wszystkich ośmiu spotkań wschód-zachód zapowiedzianych przez „kompromis” w Madrycie, tylko wiadomość o konferencji CDE w Sztokholmie została naprawdę rozpowszechniona przez prasę sowiecką.

c) Konferencja w Sztokholmie, po której Moskwa tak wiele sobie obiecuje, powinna się zacząć natychmiast (faktycznie w październiku w Helsinkach) i nie powinna być ograniczona w czasie (według ekspertów potrwa około 10 lat!), ale żenująca Kreml konferencja na temat praw człowieka w Bernie nie powinna się odbyć przed 1986 rokiem i jest ograniczona do sześciu tygodni.

d) Prawo „pracowników do tworzenia związków zawodowych” itd. należy zaopatrzyć uwagą, iż realizacja tego prawa może nastąpić tylko „w zgodzie z ustawami zainteresowanych państw”. Wystarczy spojrzeć na przykład zastosowania tego „prawa do

tworzenia związków zawodowych" w Polsce po 13 grudnia 1981, aby zrozumieć jaki to paragraf podpisał Zachód w Madrycie.

e) Zobowiązanie do wydawania paszportów w celu ułatwienia kontaktów rodzinnych „losowych” i innych, należy zaopatrzyć uwagę, że nastąpi to „w sposób tak szybki jak tylko to będzie możliwe”. Co to znaczy, możliwe dla kogo? Młody chłopak umarł w Moskwie, bo nie dano mu na czas wizy na operację do USA, prof. Sacharow umrze prawdopodobnie zanim KGB pozwoli mu ujrzeć wnuczkę w Bostonie, setki osób w Rumunii czekają na paszport aby połączyć się z rodzinami na Zachodzie i „umilają” sobie czas głódówkami... Wszystko w zgodzie z Madrytem: „szybciej nie było możliwe”.

f) Należy wyeliminować z 40-stronnicowego dokumentu w Madrycie nie tylko takie subwersyjne słowa jak Afganistan czy Polska, chociaż te dwa epizody historii współczesnej wisiały jak chmura przez cały czas obrad w Pałacu Kongresów w Madrycie, ale należy przemilczeć także los tych wszystkich, którzy znaleźli się — lub znajdą — w więzieniu z powodu niezadowolonego zainteresowania sposobem w jaki ich kraje „realizują” zasady ustalone w Helsinkach, a obecnie w Madrycie. W czasie trwania obrad w Madrycie, poszedł do gułagu ostatni członek grupy helsińskiej w ZSSR. Przepraszam, jeden z subwersantów jest na wolności: pani Helena Bonner, żona więźnia z Gorki o nazwisku Sacharow. Gdzie będą członkowie polskiej grupy helsińskiej (lub madryckiej) powołanej przez „Solidarność” w chwili kiedy zbierze się konferencja w Bernie?

g) No i na koniec tej listy, którą można by oczywiście ciągnąć jeszcze długo, najpoważniejsza chyba gaffa Zachodu w Madrycie. Chodzi na pozór o normalną w każdych negocjacjach grę taktyczną, gdzie pozycje wyjściowe zawsze zawierają pewne propozycje przewidziane z góry do porzucenia w zamian za podobnej wartości koncesje przeciwnika. Godząc się jednak w Madrycie na wyeliminowanie sprawy zagłuszania swoich (i Izraela) programów radiowych, Zachód popełnił lekkomyślność, błąd i zbrodnię.

Lekkomyślność, ponieważ wycofanie się Zachodu z żądania zakazu zagłuszania oznacza, w interpretacji sowieckiej, zgodę na zagłuszanie. Jest to po prostu nie do pojęcia. Jest to największa cena jaką Zachód kiedykolwiek zapłacił za „kompromis” z Rosją. Radio stanowi najpotężniejszą broń w rękach Zachodu. Siła oddziaływania RFE czy Liberty z RFN jest znacznie skuteczniejsza niż Pershingi w RFN. Polakom nie trzeba zresztą tego tłumaczyć. Amerykanom trzeba. Budżet sowiecki przeznaczony na zagłuszanie programów zachodnich równa się całemu budżetowi BBC. Czyżby Rosjanie wydawali takie sumy dla kaprysu? Za takie ustępstwo Zachód mógł otrzymać znacznie większe zadośćuczynienie niż zgodę na konferencję w sprawie kontaktów ludzkich czy rodzinnych, na którą Rosjanie i tak byli gotowi się zgodzić w zamian za konferencję sztokholmską choćby. Nieodpowiedzialne pudło o fatalnych skutkach.

Błąd, ponieważ jeżeli Zachód nie był przekonany o możliwości zmuszenia Moskwy do umieszczenia zakazu zagłuszania w dokumencie końcowym w Madrycie, nie powinien był w ogóle wysuwać tego żądania. Jest to bowiem postulat z kategorii: „albo wszystko, albo nic”. Radio jest bronią we współzawodnictwie ideologicznym, którego rangę wyznaczył nie Zachód a Rosja właśnie. Rezygnacja z tego żądania nie jest więc niczym innym niż kapitulacją o charakterze ideologicznym. Nie trzeba bogatej wyobraźni aby zdać sobie sprawę z użytku jaki Kreml z tej kapitulacji uczyni.

Zbrodnia, albowiem rezygnując ze swego oręża „w wojnie w eterze”, Zachód podpisał się pod wyrokiem śmierci na Zdzisława Najdera, skazanego przez gang warszawski, na szczęście zaocznie, na rozstrzelanie za objęcie dyrekcji sekcji polskiej Radia Wolna Europa. „Wyrok” na Najdera miał być przede wszystkim ostrzeżeniem dla tych wszystkich, którzy starają się przebić żałosny mur buczenia, mający chronić wszystkie Kreml i ich monopol informacji, od prawdy idącej na falach radiowych. Jak wytłumaczyć tym, którzy na Wschodzie zwalczają zagłuszanie za cenę często ich własnej wolności, że to w imię pokoju i szczęścia powszechnego, wytworni dyplomaci, żyjący w dobrobycie i wolności, uznali, że można z tego akurat postulatu bez szkody zrezygnować.

II. ODSIEDZIMY PÓZNIEJ

Dosyć tej litanii. Przed postawieniem kropki należy jednak gwoli obiektywizmu uczynić dwie uwagi. Po pierwsze, nie wszyscy komentatorzy są mojego zdania. Niektórzy uważają Madryt za sukces Zachodu. Pewien bardzo poważny dyplomata specjalnie do mnie (i do innych) zadzwonił z Madrytu, aby mnie przekonać o dużym osiągnięciu jakim jest dokument końcowy z punktu widzenia Zachodu w ideologicznej konfrontacji ze Wschodem. Niemiecka gazeta *Kieler Nachrichten* (pomijam inne, tę mam bowiem akurat pod ręką) napisała, że dokument końcowy jest ważny i dla niewolnych obywateli Wschodu, ale i „dla obywateli i rządów krajów zachodnich, które także nie przestrzegają w całości zasad helsińskich” i że wynik konferencji, która, jak gazeta przypomina, została wszak „poważnie wstrząśnięta” ogłoszeniem stanu wojennego w Polsce, stanowi „mały cud”.

Po drugie i ostatnie. W polityce cudów nie ma. Jest natomiast strategia, taktyka i wola działania. Na razie Madryt to sukces Moskwy, Warszawy itd. Jest jednak prawdą, iż dokument madrycki może stać się prawdziwym kompromisem. Ale to zależy wyłącznie od woli Zachodu wykorzystania zygzaków i sporych, mimo wszystko, możliwości interpretacji, jakie daje 40 stronnic zredagowanych w Madrycie.

Rządy i opinia na Zachodzie otrzymują potencjalnie poważny instrument stałego nacisku na rządy sowieckie i pochodne. Do-

kument madrycki daje możliwość regularnego domagania się od rządów wschodnich i ich tzw. organizacji społecznych (np. kulturalnych lub dziennikarskich) „rozliczenia się” z ich sposobu traktowania zobowiązań międzynarodowych. Nie mam iluzji, co myślę o ONZ czy UNESCO powiedziałem w moim poprzednim lamencie, ale jakież to jednak wygodne forum i trybuna do kierowania pod adresem Wschodu listy pytań związanych z nieuniknionym wszak gwałceniem przez państwa wschodnie wszystkich kolejnych paragrafów dokumentu z Helsinek czy Madrytu! Będzie forum kulturalne i to w Budapeszcie, coś to za okazja do sprawdzenia losu artystów, aktorów, wszystkich ZASP-ów, będzie forum naukowe: los Sacharowa powinien figurować na pierwszym miejscu. (Przypominam, że przy takiej samej okazji w: Hamburgu, uczeni z całego świata podpisali końcowy dokument, w którym nie było nawet wzmianki o Sacharowie, chociaż panowie ci spotkali się w kilka tygodni po deportowaniu ich kolegi, laureata nagrody pokojowej Nobla, do miasta Gorki). Wolny dostęp do zachodnich ambasad, wszak to dziś kpina, wystarczy podejść na kilkadziesiąt metrów od tych twierdz i fortec w Moskwie czy Bukareszcie, nie mówiąc już o Warszawie, aby znaleźć się pod groźbą kalasznikowców.

Trzeba skończyć po prostu z zasadą: nie drażnić Sowietów. Odwrotnie — trzeba ich drażnić. Oni tak szybko i z tyle powodu nie wyjdą z nerw i nie wypowiedzą trzeciej wojny światowej. Natomiast dokument madrycki znacznie wtedy zwracać choćby ułamek kolosalnych kosztów jego wyprodukowania. W skrócie mówiąc, jak każdy kompromis, także dokument madrycki może funkcjonować jak bumerang. Zachód może także się nim posługiwać. Musi tylko umieć. No, a przede wszystkim, musi chcieć...

Pewien dyplomata brytyjski tłumaczył mi, że w negocjacjach z Kremlem wygrywa ten, kto zdecydowany i zdolny jest pozostać przy konferencyjnym stole o dzień dłużej niż Rosjanie. Zachód w Madrycie niestety się spieszył. Oby nie musiał odsiedzieć tego później...

Leopold UNGER

Pisane 15 sierpnia 1983

List z Londynu (2)

W tym samym dniu, w którym ogłoszono wyniki wyborów do parlamentu, prasa zawiadomiła społeczeństwo, że w najbliższym czasie kredyt podróży o półtora procent. Podniesiono krzyk, próbowano zrobić z tego argument przeciwko konserwatom, ale hałas prędko przycichł, bo sprawa jest już stara i

regularnie powtarza się co kilka lat. Budowlane towarzystwa kredytowe (*Building Societies*), ultra kapitalistyczne, będąc tradycyjnie w rękach konserwatystów, od dawien dawna przed każdymi wyborami obniżają stopę procentową, by skąptować wyborców i natychmiast po wyborach powracają do normy. Wszyscy o tym wiedzą i ci, którzy zajmują się obrotem nieruchomości i wyrabianiem pożyczek (znam te sprawy z własnej, dawniejszej praktyki) zawsze, przed każdymi powszechnymi wyborami, robili i robią na tym najlepsze interesy.

Ujawnia się w tym, oczywiście, wpływ londyńskiego centrum wielkiej finansjery, zwanego potocznie *City*, które tradycyjnie popiera Konserwatystów i pomaga im finansowo, ale trudno to porównać z wpływami związków zawodowych, które są fundamentem Labour Party. Nie tylko ją finansują, ale mają także decydujący wpływ na wybór jej przywódcy, który jako *leader* opozycji jest albo premierem, albo potencjalnym nań kandydatem. Dawniej wybierali go wyłącznie socjalistyczni członkowie parlamentu, teraz wybór wygląda następująco: związki zawodowe — 40 % głosów, parlamentarny klub Labour Party — 30 % głosów i okręgi wyborcze — 30 %. A trzeba pamiętać, że głosowanie takie wygląda bardzo prosto: przychodzą sekretarze wielkich związków i wyciągają z kieszeni małe karteczki z setkami tysięcy a nawet milionami głosów. Kilku ludzi decyduje o wszystkim. Ponadto sekretarze ci zostali przeważnie wybrani w głosowaniu jawnym, przez podniesienie rąk, przy udziale kilku lub kilkunastu procent członków, aż do emerytury, to jest do 65 roku życia.

Tym razem wszystkie ankiety trafnie przewidziały wynik wyborów. Konserwatyści odnieśli wielkie zwycięstwo i mają o 144 posłów więcej niż cała pozostała reszta, z Labour Party i liberalno-socjaldemokratycznym aliansem. Wyniki wyborów wyglądają następująco:

Konserwatyści	397	mandatów
Labour Party	209	"
Liberałowie	17	"
Socjaldemokraci	6	"
Plaid Cymru (Walijczycy)	2	"
Szkoccy nacjonalisci	2	"
Wszyscy inni	17	"

Kłęska rozbitych i fatalnie prowadzonych socjalistów była do przewidzenia, ale zewnętrznych obserwatorów zaskoczył fakt, że równie fatalnie wypadł w wyborach alians liberałów z nowo utworzoną partią socjaldemokratów. Przeprowadzili hałaśliwą kampanię wyborczą, nie tylko twierdzili, że zajmą miejsce Labour Party jako oficjalna opozycja, ale że mają nawet szanse na utworzenie nowego rządu, a skończyło się na 23 mandatach.

Dwoje przywódców nowej partii (Shirley Williams i William Rodgers) nie zostało w ogóle wybranych. Jeszcze raz okazało się, że Anglosasi są zwolennikami dwupartyjności (najzdrowsza sytuacja) i że każda próba zlikwidowania tej zasady kończy się niepowodzeniem. Doraźnie sklecony alians miałby tylko wtedy szanse na zajęcie miejsca socjalistów, gdyby Labour Party straciła poparcie związków zawodowych i zupełnie się rozpadła, a takie wstrząsy nie następują w ciągu kilku miesięcy. We wszystkich anglosaskich krajach (Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Australia, Nowa Zelandia, częściowo Kanada) od wielu lat utrzymuje się zasada dwupartyjności i wyborcy, choć nikt ich do tego nie zmusza, sami o tym decydują. Zmian w tej zasadzie nie ma, zdarzają się tylko powolne zmierniki jednej partii i zająć jej miejsca przez inną. Tak stało się w Wielkiej Brytanii w latach po pierwszej wojnie światowej, gdy Labour Party zepchnęła Liberałów z ich pozycji i w roku 1923 utworzyła swój pierwszy rząd. Liberałowie poczęli się staczać w dół i wtedy, w roku 1925, opuścił ich Winston Churchill i przeszedł do konserwatystów. Był dynamicznym politykiem, nie chciał pełnić roli opozycjonisty w dalekich poselskich ławkach, chciał rządzić.

Olbrzymia przewaga konserwatystów nie zmienia jednak faktu, że otrzymali oni tylko 40 % głosów, bo w Wielkiej Brytanii obowiązuje system jednomandatowych okręgów wyborczych. Najbardziej ucierpiał na tym nowy polityczny alians, który zebrał 25 % wszystkich głosów, a skończył zaledwie z 23 mandatami i oczywiście podniósł wielki krzyk, domagając się zmiany systemu i przejścia na system proporcjonalny. Pozornie jest on najbardziej sprawiedliwy, ale jednocześnie zachęca do tworzenia wielu partii i przeważnie powoduje degenerację demokracji i konieczność tworzenia rządów koalicyjnych, a te są dobre tylko w czasie wojny. To jest pogląd Brytyjczyków i dlatego nie należy przewidywać zmiany systemu wyborczego. Ponadto mógłby go zmienić tylko rząd dysponujący większością w Izbie Gmin, a po cóż miałby to robić i własnymi rękami tworzyć sytuację, która mogłaby zagrozić z trudem wywalczoną przewadze.

Wybory wykazały, że brytyjska demokracja jest nadal zdrowa. Kto przegrał, wyciągnął z tego konsekwencje i nie upierał się przy swej funkcji. Przywódca socjalistów, Michael Foot, zgłosił rezygnację i w jesieni partia zastąpi go kimś innym. To samo zrobił leader demokratów, Roy Jenkins, którego partia uzyskała zaledwie 6 mandatów. Jego miejsce zajął David Owen, także dawniejszy socjalista, wybitny młody polityk, który w rządzie socjalistów był ministrem spraw zagranicznych.

Wybory potwierdziły także inną, bardzo dodatnią cechę tutejszej demokracji i wewnętrznej siły Zjednoczonego Królestwa. Wiele propagandowego hałasu robi się wokół szkockiego i walijskiego nacjonalizmu, wrogowie Brytyjczyków ciągle mają nadzieję na rozbięcie wyspiarskiej jedności (Hitler próbował nawet wzniecić w Walii powstanie), ale wybory wykazują niezbicie,

że się to nie uda. Szkoccy i walijscy nacjonaści uzyskali zaledwie po dwa mandaty.

Walka wyborcza, w której nie przebiera się w słowach, nie oznacza jednak tutaj, że dążenie do władzy czyni przeciwników wrogami. W grudniu 1981 roku, po zamachu gen. Jaruzelskiego, na pierwszej wielkiej manifestacji w Hyde Parku byłem polskim mówcą a później, w pochodzie, siedłem pomiędzy czołowym socjalistą, Peterem Shore (obecnie jednym z kandydatów na przywódcę Labour Party), a Shirley Williams, także wybitną socjalistką, która opuściła partię i utworzyła nową, socjaldemokratyczną. Trudno o stworzenie większej politycznej wrogości, a jednak rozmawiali oni ze sobą bardzo przyjaźnie, byli nadal po imieniu, spokojnie rozważali wyborcze szanse swoich partii. Przykład godny naśladowania.

W wyborach kandydowało dwóch Polaków z młodego pokolenia, już tutaj urodzonego. Krzysztof Nowakowski (syn Tadeusza, „reportera Papieża”) reprezentował socjaldemokratów, Wiktor Moszczyński Labour Party. Obydwaj przepadli, ale Nowakowski zgromadził ponad 9.000 głosów i znalazł się na drugim miejscu za konserwatystą, bijąc socjalistę. Moszczyński zebrał ponad 6.000 głosów i przeszedł trzeci, za konserwatystą i socjaldemokratą.



Od lat dyskutuje się tutaj konieczność reformy związków zawodowych, które przerosły same siebie, zeszyły z linii obrony praw robotników i mają ambicje polityczne, do których nie są powołane. Konserwatyści zapowiedzieli już dawniej, że się do tego zaborą, ale dopiero teraz, gdy uzyskali ponowny mandat rządzenia, wprowadzą niedługo odpowiednią ustawę pod obrady parlamentu. Przewiduje ona następujące punkty: — wybór władz związkowych w głosowaniu tajnym; — takie samo tajne głosowanie co 10 lat w sprawie posiadania politycznego funduszu i dysponowania nim, z którego finansuje się Labour Party; — utrata prawnej nietykalności w wypadku dzikiego strajku, nie postanowionego w tajnym głosowaniu.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że wszystkie związki staną murem w obronie swych praw, a tymczasem wcale tak nie jest. Propozycje reform są bardzo łagodne i dotyczą punktów, które budzą wątpliwości wśród wielu zwyczajnych robotników, rozumiejących, że od lat związkowa demokracja jest bardzo naciągana. Reforma może upowszechnić związkowe prawa, które obecnie przysługują tylko nielicznym przywódcom. Specjalnie jaskrawo wygląda sprawa z funduszami politycznymi, z których finansuje się Labour Party, a przecież wielu członków związków głosuje na inne stronnictwa. Fundusze te powstały 70 lat temu, gdy w roku 1913 parlament zaakceptował Trade Union Act, i od tego czasu wiele związków ani razu nie zapytało swych członków jak należy postępować. Równie źle wygląda sprawa strajków, o których często decyduje mała grupa

awanturników. Według nowego prawa, za nielegalny strajk, nie zdecydowany w tajnym głosowaniu, związek mógłby być pociągnięty do sądowej odpowiedzialności.

Najbardziej rozwrzeszczany przywódca górników, Arthur Scargill, od razu zapowiedział, że on żadnego nowego prawa nie uzna a z rządem rozmawiać nie będzie, bo byłoby to podobne do „pokojowych rozmów z nazistami w czasie drugiej wojny światowej”. Jednocześnie zawiadomił, że wybiera się do Moskwy, by tam poznać się ze strukturą demokratycznych i prawidłowo prowadzonych związków zawodowych, i że zacznie organizować polityczne strajki, które przewrócą rząd pani Thatcher.

Ministrowie wzruszyli na to ramionami, a reprimenda przyszła nie od polityków, ale od generalnego sekretarza związków, Len Murray'a, który wskazał na Scargilla jako na najgorszego szkodnika, który swoim gadaniem zniszczył wyborcze szanse socjalistów, a teraz dobija ich pogroźkami o strajkach politycznych. Podobnego zdania są inni przywódcy związków, a ich rada uznała, że rozmowy z rządem są konieczne, bo inaczej reformy zostaną uchwalone bez związkowych sugestii i poprawek.

Ponadto, coraz mocniej, do głów nawet najbardziej krańcowych związkowych przywódców zaczyna docierać poczucie realizmu, bo układ społeczny bardzo się ostatnio zmienił. Coraz więcej robotniczych grup przesuwają się w kierunku klasy burżuazji. Drukarze, górnicy, metalowcy grają w golfa, spędzają urlopy za granicą, pływają własnymi jachtami. Nic dziwnego, że nie mają ochoty na polityczne strajki.

Od wielu lat w angielskich szkołach średnich utrzymuje się tradycja różnych praktycznych zajęć, które przygotowują do życia i poszerzają horyzonty uczącej się młodzieży. Dotyczy to przede wszystkim szkół prywatnych, przeważnie internatowych, tak zwanych *Public Schools*, które produkują przyszłą elitę społeczeństwa: nie tylko przywódców politycznych, ale także naukowców, dyplomatów, ludzi sztuki, kierowników wielkich przedsiębiorstw, przemysłowców i wielu innych.

Zetknąłem się z tym osobiście, bo zostałem zaproszony do Eton College, głośnej szkoły, jednej z najstarszych, założonej w roku 1440 przez Henryka VI. W szkole tej codziennie, z wyjątkiem sobót i niedziel, przez cały szkolny rok o godzinie 8.45 rano, przed pierwszą lekcją, odbywa się wykład zaproszonego prelegenta. Wybór mówców jest jak najszerzy: członkowie rządu i opozycji, profesorowie uniwersytetów, pisarze, dziennikarze, artyści, przemysłowcy, piosenkarze, kierownicy klubów piłkarskich, dżokeje, cyrkowcy, redaktorzy najbardziej lewicowych i prawicowych pism, socjaliści, komuniści, żeglarze, zdobywcy Everestu, kolekcjonerzy znaczków pocztowych, byli więźniowie i wielu innych. Wykład trwa tylko 15 minut, nie ma ani pytań ani dyskusji, słucha go 700 uczniów z wyższych klas (szkoła ma 1.300 chłopców) i 130 wykładowców.

Nigdy, w mej długiej karierze prelegenta, nie miałem tak wspaniałego audytorium. Wystąpiłem w semestrze, który poświęcono zagadnieniu wolności, mówiłem więc o Oświeceniści i o konieczności walki o prawo do wolnego życia. W tym samym semestrze wystąpił, między innymi, Władimir Bukowski.

Później byłem ponownie w Eton College i wielu innych szkołach i uniwersytetach (Oxford, Cambridge, Londyn, Birmingham, Manchester, Leicester, Sussex i inne) jako normalny prelegent na lekcji historii lub na zebraniu uniwersyteckiego czy szkolnego Towarzystwa Historycznego. Najprzyjemniejsi, najbardziej godni wysiłku słuchacze, chyba jedyni, których można przekonać. A jaki poziom dyskusji, jakie pytania. Przeważnie moje wykłady dotyczą ubiegłej wojny, ale w ostatnim okresie mówiłem także o „Solidarności” i byłem zdumiony znajomością przedmiotu u młodych słuchaczy. Godna uwagi jest także ich dyscyplina, nikt nigdy nie pozwala sobie na wysoki, które są plagą naszych dyskusji („Nie czytałem wprawdzie książki, o której mowa, ale...”).

Przez ponad pięć lat hrabstwo Yorkshire terroryzował jakiś zboczeniec, który wieczorami napadał na samotne kobiety i mordował je w okrutny sposób uderzeniem młotką lub innego takiego przedmiotu. Uruchomiono olbrzymi aparat policyjny, 250 detektywów pracowało dzień i noc, przesłuchano 21 tysięcy osób, były dni, w których policja otrzymywała 1.000 listów tylko na ten temat, rozpatrzono 8.000 różnych sugestii, koszt całej akcji przekroczył 4 miliony funtów i niczego nie osiągnięto. Zboczeniec, którego prasa nazywała *Yorkshire Ripper* (rozpruwacz z Yorkshire), był nieuchwytny. Sprawę skomplikował dodatkowo fakt, że do policji przysłano kasety z nagraniem głosem, który miał być głosem mordercy, i że policja przez długi czas wierzyła, że tak jest istotnie.

Wreszcie w styczniu bieżącego roku, w Sheffield, dwóch policjantów aresztowało osobnika znajdującego się w samochodzie w towarzystwie prostytutki. Ona dopomogła policji, stwierdzono, że mężczyzna, młody, sympatyczny, z niewielką czarną brodą, nazywa się Peter Sutcliffe. Dzięki różnym okolicznościom udało się ustalić, że to właśnie jest poszukiwany zbrodniarz, że policja kilkakrotnie była już na jego tropie, że dziewięć razy przesłuchiwała jego samego a także jego żonę, i że znajdował się on od kilku lat w kartotece podejrzanych. Proces, który wykazał daleko posuniętą nieudolność policji, zakończył się karą dożywotniego więzienia (nie ma tu kary śmierci).

Wydawało się, że można już zamknąć teczkę tej niebywałej historii, gdy nagle, w zupełnie niespodziewanym miejscu, wybuchła bomba. Komisarz policji, Ronald Gregory, który prowadził całą sprawę i właśnie wyszedł na emeryturę, sprzedał za 40 tysięcy funtów swoje wspomnienia dotyczące pościgu za „roz-

pruwaczem" brukowemu pismu, *Mail on Sunday*, które natychmiast, w odcinkach je opublikowało.

Po chwilowym osłupieniu podniósł się chór protestów. To skandal! Oficer policji, który wypełniał swój służbowy obowiązek, któremu za to płacono, który przestrzegał swych podwładnych przed prasowymi niedyskrecjami, sam pozwolił sobie na taki krok.

Emerytowanego komisarza natychmiast oblegli reporterzy z telewizji, radia i prasy, ale zbyt ich krótkim oświadczeniem, że marnują niepotrzebnie czas, a tymczasem opinia publiczna poczęła zmieniać swoje stanowisko i w obronie policjanta poczęły się podnosić liczne głosy. Na pewno nie jest dobrze, gdy ktoś zdobyte w służbie informacje sprzedaje później na własny użytek, ale czyż nie dzieje się tak od wielu lat? Przecież po każdej wojnie przerywają się tamy rozsadzane wspomnieniami polityków i wysokich oficerów, którzy korzystają w nich z dokumentów zdobytych w czasie czynności służbowych. Jakaż jest różnica pomiędzy oficerem armii i policji z tego punktu widzenia? Może nawet niedyskrecje polityków i wojskowych są poważniejsze, bo dotyczą spraw państwowych, gdy tutaj chodzi tylko o zbrodniarza. A sprawa 40 tysięcy funtów? Przecież we wczesnych powojennych latach Winston Churchill sprzedał swe nienapisane jeszcze pamiętniki za milion dolarów, co wtedy stanowiło astronomiczną sumę. Jest prawo, że nie wolno wzbogacić się na zbrodni, ale czyż wojna nie jest najokropniejszą zbrodnią?

Sprawa bardzo prędko przycichła i zeszła ze szpalt gazet. Nie była piękna, ale nie odbiegała też zbyt daleko od poziomu codziennych spraw dzisiejszego świata.

W lipcu Izba Gmin powzięła bardzo ważną decyzję dotyczącą kary śmierci. W Europie, poza blokiem sowieckim, obowiązuje ona tylko w Turcji, która zresztą zaledwie małym skrawkiem swego terytorium należy do naszego kontynentu. W Wielkiej Brytanii zniesiono ją szereg lat temu, ale opinia publiczna coraz głośniej domagała się jej przywrócenia w stosunku do terrorystów. Chodzi, oczywiście, o terrorystów irlandzkich, których bombowe ataki, nie tylko w północnej Irlandii, ale w sercu Anglii, w Londynie, wyprowadzają ludzi z równowagi.

Problem uznano za ogólnonarodowy, nie partyjno-programowy, każdy więc poseł mógł głosować tak, jak każe mu jego sumienie. Jednak było wiadomo, że za przywróceniem szubienicy głosować będzie większość konserwatystów, z panią Thatcher i nowym ministrem spraw wewnętrznych na czele, przy prawie pełnej opozycji Labour Party, liberałów i socjaldemokratów.

Znane były powszechnie nastroje społeczeństwa, które domagało się wieszania terrorystów (ankieta *The Daily Telegraph* wykazała 77 % za), gdyby więc tak widzieli tę sprawę postawie,

Wielka Brytania stałaby się pierwszym zachodnim krajem przywracającym zasadę społecznego odwetu. Jednak w każdym wolnym społeczeństwie o kierunkach jego działania decyduje elita i ona właśnie, na niewiele dni przed głosowaniem, odezwała się z wielką siłą. Padły głosy wybitnych pisarzy, polityków, duchownych różnych religii, publicystów, lekarzy, działaczy społecznych. Z małymi wyjątkami wszyscy wypowiedzieli się przeciwko przywróceniu kary śmierci. Obok argumentacji, że sędziowie czasem się mylą i że można powiesić człowieka niewinnego (były już takie wypadki), główny nurt myśli wybitnych przedstawicieli społeczeństwa dotyczył północnej Irlandii. Argumentowano, że odwet pogorszy tylko tamtejszą, okropną sytuację. Przecież młodzi ludzie z IRA (*Irish Republican Army*) potrafią w więzieniu zagłodzić się na śmierć, powieszenie więc któregoś z nich stworzy zeń męczennika i bohatera i nie powstrzyma innych od terroru.

Głosowanie w Izbie Gmin stało się odbiciem tej opinii i wniosek o przywrócenie szubienicy odrzucono wieloma głosami. W tej decyzji ujawniła się wielka mądrość tutejszej elity społeczeństwa, która nie kieruje się emocją, ale prawdą, nie skażoną propagandowymi sloganami, racją stanu. Na decyzji tej zaciążyły także dawniejsze historyczne wydarzenia, które Anglii nie przynoszą zaszczytu i które tkwią w świadomości światłych ludzi. Warto je tutaj, w kilku słowach przypomnieć.

Pierwsze angielskie zakusy na irlandzką wyspę sięgają XII wieku, ale angielska dłoń zaciążyła naprawdę nad tamtejszą ludnością za Henryka VIII i jego córki, Elżbiety I, w XVI wieku. Wtedy siłą zaczęto w północnej Irlandii osiedlać protestantów a proces ten wyjąskawił do czerwoności Oliver Cromwell, w połowie XVII wieku, siejąc tam śmierć i zyskując sobie sławę rzeźnika, którego imienia żaden Irlandczyk nie wymówi bez uczucia nienawiści. Ostatecznie, po kilku wiekach walk, w roku 1921, Irlandia uzyskała niepodległość, ale na północy, gdzie było wielu protestantów, lojalnych w stosunku do brytyjskiej korony, wykrojono sześć hrabstw w taki sposób, by posiadały one 65 % protestantów, i utrzymo je w ramach Zjednoczonego Królestwa pod nazwą *Ulster*, z własnym parlamentem.

Kraj ten jest mały, obejmuje zaledwie 13.580 km² i liczy sobie półtora miliona ludności, ale pokłosie złego czynu i tendencyjnego wytyczenia granicy okazało się zabójcze. Dopóki istniało imperium, wszystko układało się jako tako, gdy jednak zachwiała się wiekowa potęga, w północnej Irlandii zawrzało. Poczęto nawoływać do zjednoczenia całej wyspy w ramach niepodległego już państwa, wybuchła nienawiść religijna, IRA, podziemna irlandzka armia, rozpoczęła walkę, zaczęły się akty terroru i Wielka Brytania musiała w końcu posłać swoją armię, by zapobiec wojnie domowej. Północni lojaliści wcale nie chcieli ustąpić i nie zamierzali wyrazić zgody na przyłączenie ich do irlandzkiego państwa. Problem skomplikował się jeszcze bardziej przez fakt, że rząd niepodległej Irlandii, w obecnej sytuacji, wcale

tego przyłączenia nie pragnie. Zgodziłby się na to z entuzjazmem, ale tylko wtedy, gdyby Brytyjczycy zabrali swych protestanckich lojalistów do siebie, ale jak to zrobić, skoro mieszkają oni w Ulsterze od czterech wieków a Wielka Brytania jest przeludniona. Ponadto w Ulsterze bezrobocie jest największe w całym Zjednoczonym Królestwie, dosięga do 20 % i wyżej i istnieje od wielu lat. Kraj jest deficytowy i rozdarty wieloletnią, religijną nienawiścią.

Odrzucenie kary śmierci dla irlandzkich terrorystów było więc jednym z ważnych fragmentów tej wielkiej historycznej tragedii, która zrodziła się ze złego, imperialnego czynu. Brytyjczycy to rozumieją i dlatego, choć giną żołnierze i rozrywają się bomby zabijające niewinnych ludzi, tu, na wyspach nikt nie pozwala sobie na antyirlandzkie demonstracje. Mieszka tu i pracuje ponad 2 miliony Irlandczyków, wielu z nich posiada irlandzkie paszporty i bierze udział w wyborach w swoim kraju, ale jednocześnie wolno im głosować także i tutaj, choć jest to sytuacja jak najbardziej dziwaczna. Ale taka dziwaczność jest jedną z charakterystycznych cech tutejszego stylu życia.

Józef GARLIŃSKI

KONTAKT

Miesięcznik redagowany przez członków
i współpracowników NSZZ Solidarność

Adres Redakcji 31, rue Dauphine, 75006 Paris.

Zamówienia kierować na adres:

55, rue Montorgueil, Paris 75002.

Cena egzemplarza F. 28; Roczna prenumerata F. 300;
półroczna F. 155.

Konto bankowe: Credit Lyonnais, 3, rue de Turbigo,
75001 Paris, Agence 404, compte N° 52145 G
KONTAKT.

Kraj

Monument

Władze PRL postanowiły wznieść jeszcze jeden monument ku swej chwale. Miejsce wybrano eksponowane: Plac Konstytucji w Warszawie, dzień odsłonięcia — 40-lecie panowania komunizmu w Polsce, to jest 22 lipca 1984 roku, a przedmiotem uczczenia mają być tzw. „polegli w walce o utrwalenie władzy ludowej w Polsce”, to jest ci wszyscy, którzy po wkroczeniu na ziemię polskie Armii Sowieckiej w 1944 roku pod jej osłoną zabrali się do politycznego i fizycznego niszczenia sił niepodległościowych Rzeczypospolitej, a wskutek desperackiej obrony oddziałów leśnych AK i innych niezależnych formacji polskich, w latach późniejszych ich ideowo-politycznych spadkobierców i kontynuatorów, padli w walce o ujarznienie Polski. Liczba poległych na ziemiach polskich ze strony władz komunistycznych i z drugiej strony — wszelkich odcieni politycznych sił niepodległościowych, w okresie 1944-1956, jest dotychczas nieustalona i coraz częściej staje się przedmiotem historycznych fałszerstw i politycznych manipulacji. W oficjalnych publikacjach PRL liczba funkcjonariuszy UB, żołnierzy KBW i wszelkiego rodzaju działaczy władz komunistycznych, którzy mieli zginąć w okresie narzucania Polsce rządu komunistycznego jest ogromnie powiększana; natomiast w dziwny sposób pomniejszana jest liczba żołnierzy AK, NOW i NSZ oraz cywilnych działaczy politycznych wszystkich ugrupowań niekomunistycznych, których zamordowano w lasach i katowniach Bezpieki w ciągu tych tragicznych lat 1944-1956. Jakby w końcowej fazie drugiej wojny światowej przez ziemię polską nie przewalało się kilkaset dywizji sowieckich, dających zbrojne wsparcie i czynną osłonę formowanej władzy komunistycznej; jakby to nie komuniści posiadli w tym kraju władzę totalitarną i dyktatorską.

Wszystko to ma służyć teorii tzw. „wojny domowej” w Polsce 1944-1950 (?). Rzecznicy tej teorii sugerują, iż w końcowej fazie drugiej wojny światowej społeczeństwo polskie podzieliło się na

dwie siły: tzw. „lewicę” i tzw. „prawicowe podziemie”. W krwawej, „bratobójczej” (a jakże, okazało się w końcu, że walka była „bratobójcza”, podobnie jak dowodzi się po 13 grudnia 1981, że społeczeństwo również rozdzieliło się rzekomo *fifty-fifty*, a wygrała ta strona, która miała ze sobą rację „geopolityczną”) wojnie domowej zwyciężyła — oczywiście bez żadnej pomocy skądkolwiek — „władza ludowa”. Wielu przedstawicieli tej władzy oddało życie za sprawę dominacji Józefa Stalina nad Polską... przepraszam, za sprawę „społecznej sprawiedliwości”. Trzeba tych „poległych” należycie uczcić. Toteż wśród moralnych i ideowych spadkobierców ludzi, którzy mordowali w lasach żołnierzy AK, a na Rakowieckiej reprezentantów idei niepodległości, zbiera się teraz podobno składki „na pomnik”. Koszt poniesie naturalnie rząd PRL (jak się niżej okaże, nie jest to na ziemiach polskich sytuacja bezprecedensowa), ale „składki” mają odegrać ważką rolę moralno-polityczną. Wysokością tych składek nikt się nie chwali, co skłania do przypuszczeń, że nawet środowisko SB nie okazuje się zbyt hojne w fundowaniu monumentu swoim poprzednikom. Mniejsza z tym.

Istota sprawy polega na tym, że próba budowania pomnika „poległym w walce o utrwalenie władzy ludowej w Polsce” jest faktycznie równoznaczna z wyrzeczeniem się teorii rzekomej „wojny domowej” w Polsce w latach 1944-1950. Wojny domowe są elementem historii wielu krajów świata, ale zasadniczą ich cechą jest fakt, że strona zwycięska nigdy nie triumfuje nad pokonanymi, nie wznosi sobie pomników i jak najprędzej stara się dojść do syntezy OBU racji politycznych. Przez Stany Zjednoczone przewała się w latach 1861-1865 tragiczna wojna domowa, która pociągnęła za sobą straty ludzkie *największe do dzisiaj* w historii wojen USA. Zwyciężyła w tej wojnie północna Unia, przegrała południowa Konfederacja. Ale w Waszyngtonie nie wzniesiono bynajmniej pomnika na cześć żołnierzy Północy. Byłoby to czymś godzącym w ogólny sens racji państwowej Stanów Zjednoczonych.

W Polsce mieliśmy również tragiczną, parodijną wojnę domową w maju 1926 roku. Marszałek Józef Piłsudski wystąpił na czele wiernych sobie oddziałów wojskowych i w oparciu o siły polityczne lewicy polskiej — przeciwko legalnemu rządowi RP, który uznał za niszczyciela dorobku państwowego Odrodzonej Rzeczypospolitej. W czasie walk w Warszawie po obu stronach padło po kilkuset ludzi. W trzecim dniu walki Prezydent Wojciechowski nakazał przerwanie oporu siłom zbrojnym, stojącym po stronie *legalnego* Rządu RP. Oświadczył: „Wolę, by Polska była przez dziesięć lat pod rządami Piłsudskiego, niż przez sto lat w niewoli sowieckiej”. W kilka dni po przewrocie majowym Piłsudski powiedział: „W jedną ziemię wsiąka krew nasza, ziemię jednym i drugim jednakowo drogą, przez obie strony jednakowo umiłowaną...”. Gdyby ktoś w Polsce wystąpił później z pomysłem zbudowania pomnika ku uczczeniu poległych w maju 1926 roku za sprawę strony zwycięskiej — Piłsudskiego

i sanacji — uznano by go tyleż w sferach rządowych co w opozycyjnych za wariata.

Jest oczywiste, że władze PRL nie czują się — i bardzo słusznie — zwycięzcą w rzekomej „wojnie domowej”. Czują się przedstawicielami obcego mocarstwa, które narzuciło przemocą Polsce swój system polityczny, w obronie którego to systemu w perypetiach dziejowych poległo trochę ludzi wiążących swój interes osobisty z racjami politycznymi strony silniejszej. Ludziom takim wznosi się czasami pomniki... i pomniki takie trwają niekiedy dość długo. Takie pomniki mieliśmy również w Warszawie.

Dzisiaj nikt prawie już nie pamięta o okazałym monumencie, który wzniesiono na Placu Saskim w 1841 roku. Warto zacytować fragment z książki Franciszka Maksymiliana Sobieszczańskiego *Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy od najdawniejszych czasów aż do 1847 roku* (Warszawa 1848, wznowienie: PIW, Warszawa 1974).

„Pomnik ten, z lanego żelaza zdziałany, składa się z podstawy osmiokątnej z marmuru krajowego szarego, wyrobionego z odłamów w Słupcach pod Świętym Krzyżem wydobytych. Na tę podstawę, liczącą 30 łokci w największej szerokości, wchodzi się z ośmiu boków po trzech stopniach. Nad podstawą wznosi się piedestał kwadratowy żelazny, obejmujący 8,25 łokci wysokości, a 10,5 łokci szerokości. Piedestał ten podparty jest ośmiu szkarpami, przy których podstawie umieszczonych jest na wzniesieniach ośm wielkich lwów spiżowych w postawie leżącej. Obelisk żelazny 25 łokci [około 14,4 metra — przypis Ł.J.] wysoki, u dołu 6, a u góry 4 łokcie szerokości mający, wzrasta nad piedestałem. U stóp jego w czterech rogach podstawy żelazne, antycjami z palmetami złożonymi ozdobione, utrzymują cztery wielkie orły dwugłowe gwardyjskie złożone, na piersiach zaś ich umieszczona jest tarcza z herbem Królestwa Polskiego. Piedestał w części górnej ozdabiają perły i rzeźba, a cztery złożone laury zawieszone są w dwóch trzecich części wysokości obeliska, wewnątrz niego są wschody aż do szczytu prowadzące. Na każdym z czterech boków piedestału umieszczone są następujące (sic) napisy w językach rosyjskim i polskim. Od strony Ogrodu Saskiego: Polakom w dniu 17/29 listopada 1830 r. poległym za wierność swojemu monarsze. — Na boku od ulicy Królewskiej: Nazwiska Polaków poległych za wierność swojemu Monarsze: Maurycy hrabia Hauke, generał artylerii, senator wojewoda, dowódca korpusu artylerii i inżynierów, kwatermistrz generalny wojska, p.o. ministra wojny. Stanisław hr. Potocki, generał piechoty, generał adiutant, senator, wojewoda, dowódca piechoty. Józef Nowicki, generał brygady, sekretarz generalny Komisji Rządowej Wojny. Ignacy Blumer, generał brygady, dowódca drugiej brygady w dywizji 2 piechoty. Tomasz Siemiątkowski, generał brygady, p.o. szefa Sztabu Głównego. Stanisław Trębicki, generał brygady w sztabie JCM Wielkiego Księcia Cesarewicza Naczelnego Wodza.

Filip Meciszewski, pułkownik, szef sztabu korpusu artylerii i inżynierów”.

Próbowano później bronić pamięci generałów, którzy polegli w Noc Listopadową z rąk powstańczych podchorążych, utrzymując, iż padli oni rzekomo ofiarą pomyłki, gdyż zmyleni sytuacją wystąpili przeciwko przedwczesnemu (jak rzekomo mniemali) wybuchowi; gdyby zaś ich oszczędzono, to w okresie wojny polsko-rosyjskiej 1831 roku dopiero by się okazali etc. etc. Koncepcje takie są żałośnie nieporadne, gdyż za ofiarę pomyłki można uznać najwyżej gen. Nowickiego: gdy jego karetka zatrzymana została przez powstańców w nocy 29 na 30 listopada, zrozumiano jego nazwisko nie jako „Nowicki”, ale „Lewicki” — osławiony i znienawidzony generał rosyjski w służbie Królestwa Kongresowego — wskutek czego padły strzały. Sześciu pozostałych zdeklarowało się świadomie i otwarcie po stronie Mikołaja I. Ignacy Blumer starał się zorganizować gwałtownie czynne tłumienie powstania przez wojska polskie — i został przeбит bagnetem przez jednego z żołnierzy swoich oddziałów. Maurycy Hauke był osławiony w Królestwie jako przewodniczący komisji śledczych, z całą bezwzględnością ścigających patriotyczne konspiracje, a wstąpił się między innymi swoim udziałem (razem z gen. Blumerem) w sądzie wojennym, który skazał wielkiego patriotę majora Waleriana Łukasińskiego. Stanisław Potocki dowodził czynnie, przez większą część Nocy Listopadowej, akcją zmierzającą do zbrojnego stłumienia Powstania. Domagał się ataku kawalerii rosyjskiej na lud Warszawy — i padł ofiarą postrzału z rąk kogoś spośród tego właśnie ludu. Siemiątkowski na czele niektórych oddziałów atakował powstańców, a zginął w sytuacji, gdy z całym cynizmem żył patriotów. Meciszewski strzelał do powstańców ze swojego pistoletu. Najbardziej żałowany przez niektórych publicystów i historyków Stanisław Trębicki, dowódca rzeczywiście bardzo utalentowany, oświadczył, że nie złamie przysięgi złożonej carowi Mikołajowi I. Zachował się prowokacyjnie, przypominano mu niejasne zachowanie w bitwie pod Lipskiem 1813 roku, rozwścieczony zaczął żyć powstańców, deklarując swoją wierność Mikołajowi I — i padł ofiarą strzału karabinowego. Trębicki był niewątpliwie oficerem bardzo obiecującym, nadzieją petersburskiego sztabu, ale gdyby przeżył Noc Listopadową, zapewne odznaczyłby się raczej dowództwem jednego z korpusów rosyjskich, skierowanych przeciwko Powstaniu.

W każdym razie w Noc Listopadową 1830 roku sześciu generałów polskich oddało świadomie swoje życie za sprawę panowania dynastii Romanowów w Polsce. Było to potem dla społeczeństwa polskiego źródłem moralnej udręki i narodowego pomieszanego pojęć, ale z perspektywy dnia dzisiejszego jest faktem zastanawiającym. Trzeba bowiem zadać sobie pytanie: gdyby nastąpiły w dzisiejszej Polsce wypadki podobne do wydarzeń 1830/1831 roku, kto wśród generałów Ludowego Wojska Polskiego zdobyłby się świadomie na ofiarę życia za sprawę utrzymania Polski w obrębie Paktu Warszawskiego i RWPG? Czy gene-

rał Wojciech Jaruzelski byłby zdolny np. pójść świadomie za przykładem generała Stanisława Trębickiego?

Po upadku Powstania Listopadowego, w pierwszą rocznicę jego wybuchu, 29 listopada 1831 roku, Mikołaj I nakazał gubernatorowi Iwanowi Paskiewiczowi zrujnowanie najpiękniejszej dzielnicy Warszawy — Faworów (dzisiaj bliski Żoliborz) — i wzniesienia na tym terenie Cytadeli warszawskiej. W roku 1835 car podjął decyzję postawienia na Placu Saskim monumentu ku uczczeniu generałów poległych w walce przeciwko Powstaniu Listopadowemu. Wybrał osobiście projekt Corazziego. Skarb cesarski nie szczędził kosztów. Pomnik kosztował ogółem 302.900 złotych (finansował to naturalnie Bank Polski, wykonywały rzecz całą podwarszawskie zakłady odlewnicze, zużywając na upamiętnienie „poległych w walce o utrwalenie panowania prawych monarchów” w Polsce 3.460 cetnarów żelaza i 45.000 funtów spiżu (cetnar = około 40 kg, funt = około 0,40 kg). Dnia 29 listopada 1841 roku nastąpiło uroczyste odsłonięcie pomnika na Placu Saskim. Ksiądz prałat Kotowski wygłosił kazanie, potępiające niegodziwy bunt Polaków przeciwko „prawej władzy”, uwielbiając monarchę i nawołując lud do posłuszeństwa wobec Najjaśniejszego Pana. Odbędzie się defilada wojskowa, spędzeni mieszkańcy Warszawy musieli asystować temu ponuremu widowisku. Znalazło się zresztą paru polskich „poetów”, którzy z tej okazji nadesłali na ręce Paskiewicza wiersze upamiętniające wzniesienie monumentu.

Pomnik stał na Placu Saskim do roku 1894, kiedy to „prawa władza” rosyjska w Polsce postanowiła wzniesić w tym miejscu cerkiewny sobór prawosławny. Pomnik poległych generałów przeniesiono wówczas w pobliże, na Plac Zielony (dzisiaj Plac Dąbrowskiego), na skwer przed „Zachętą”. Wznosił się tam do roku 1917.

Latem 1915 roku wojska i władze rosyjskie opuściły Warszawę, pod ówczesną okupacją niemiecką powstały możliwości wyrażania polskich uczuć patriotyczno-narodowych. Generalski monument z Placu Saskiego, teraz z Placu Zielonego wrósł — wydawałoby się trwałe — w panoramę Warszawy. Od jego wybudowania miało 75 lat...

W końcu lutego 1917 roku prasa warszawska poinformowała, że „obelisk wzniesiony ku wżgardzie narodu polskiego” zostanie rychło rozebrany. Zaraz też przystąpiono do burzenia tej pamiątki po rosyjskiej przemocy. Nie zachowały się żadne relacje o przebiegu rozbioru. Monument rozebrano cichaczem, w niejasnym poczuciu jakby wstydu — i uformowano na jego miejscu skwer...

Sprawa ta przypomniła wszelako, że są w Warszawie również inne „pamiątki” po „prawej władzy”. Prawie nikt dzisiaj już nie wie, że przed Pałacem Namiestnikowskim (Rady Ministrów) przy ul. Krakowskie Przedmieście wzniesiono po Powstaniu Styczniowym pomnik Iwana Paskiewicza. Stał w Warszawie lat mniej więcej pięćdziesiąt. Przy okazji rozbioru pomnika na

Placu Zielonym przypominano sobie również i o tej pozostałości. W marcu 1917 roku prasa warszawska doniosła, że „drugi pułk ułanów Legionów Polskich zapoczątkował akcję w sprawie usunięcia pomnika Paskiewicza przy Krakowskim Przedmieściu”. Oficerowie legionowi złożyli do dyspozycji magistratu miasta Warszawy zebraną sumę. Wkrótce potem także Paskiewicz opuścił cokol, z którego przez pół wieku potwierdzał panowanie rosyjskie nad Polską.

Wzniesione za okupacji rosyjskiej pomniki istniały w Warszawie 75 i 50 lat. Wydawały się trwałym elementem przestrzennej architektury miasta, symbolizującym NA ZAWSZE sukces oręża rosyjskiego w Polsce. Przyszła chwila, gdy system przemocy zewnętrznej, gwarantujący ówczesny ustrój Polski, nagle się rozpadł. I kto pamięta dzisiaj te świetne monumenty, wznieszone na znak OSTATECZNEGO ZWYCIĘSTWA w Warszawie?

Łukasz JODKO

LE KOR

**Du Comité de défense des ouvriers
au Comité d'autodéfense sociale.
Une Opposition démocratique en Pologne**

Książka, wydana staraniem pisma *Alternative* i Komitetu Koordynacyjnego Solidarności we Francji, zawiera najważniejsze oświadczenia KOR-u, wypowiedzi jego członków, z których część oczekuje dziś procesu w warszawskim więzieniu, reportaże o codziennej działalności KOR-u i liczne fotografie. Cena F.55,00. Do nabycia w księgarniach bądź u wydawców:

L'ALTERNATIVE

**1, place Paul-Painlevé, 75005 Paris
lub**

**Komitet Koordynacyjny Solidarności we Francji,
10, Passage des Deux Sœurs, 75009 Paris**

Sprawy i troski

Biblioteka Polska w Paryżu

„Tak bracia, to też punkt strategiczny...”

Adam Mickiewicz, członek komitetu zbierającego fundusze na kupno domu Biblioteki Polskiej do Polaków — żołnierzy służby włoskiej, którzy ze swego żołdu ofiarowali w 1851 roku pieniądze na ten cel.

Biblioteka Polska w Paryżu powstała 25 listopada 1838 roku. Nie miała wówczas osobowości prawnej. Zakupiony gmach przy Quai d'Orléans 6 stał się w roku 1853 siedzibą Towarzystwa Historyczno-Literackiego, któremu dekret Napoleona III nadaje w roku 1866 byt prawny jako instytucji publicznej. Do roku 1892 jest ona administrowana przez byłych powstańców-emigrantów, którzy w miarę starzenia się i wykruszania przekazują ją 18 lutego 1892 pod zarząd krakowskiej Akademii Umiejętności, z przychylnym dekretem Franciszka Józefa.

Dalszych 55 lat istnienia Biblioteki, podczas których jej oficjalna nazwa brzmi Stacja Akademii Umiejętności przy Bibliotece Polskiej w Paryżu, to okres świetności (wyłączając czas obu wojen światowych). Kiedy w 1947 roku nowo powstała Polska Akademia Nauk starała się przejąć majątek Akademii Umiejętności, przedstawiciel tej ostatniej wydzierżawił Bibliotekę Polskiemu

* Dane i informacje czerpano ze sprawozdań i opracowań wydanych przez Towarzystwo Historyczno-Literackie:

1. F. Pułaski, *Biblioteka Polska w Paryżu*, Paryż 1948.
2. *Compte-rendu de l'activité pour les années 1946/47 - 1956/57*, Paryż 1959.
3. *Compte-rendu de l'activité pour les années 1957/8 - 1965/66*, Paryż 1968.
4. Cz. Chowaniec, *Biblioteka Polska w Paryżu*, Paryż 1966.

Zjednoczeniu Rzymsko-Katolickiemu w Chicago. Proces przed trybunałem pierwszej instancji oddalił w październiku 1956 pozew Polskiej Akademii Nauk.

Aktualnie Bibliotekę Polską w Paryżu ponownie zarządza Towarzystwo Historyczno-Literackie, które dzierżawi gmach i zbiory, co zagwarantowano odpowiednią umową prawną, do roku 2032.

Towarzystwo Historyczno-Literackie liczy sobie ponad 600 członków, w tym niewielu młodych (młodych w znaczeniu 30-45 lat) — ponoć z trudem można by się doliczyć trzydziestu. Kierowane jest przez Radę Towarzystwa, wybieraną w tajnym głosowaniu co pięć lat i liczącą kilkunastu członków. Członkowie Rady i dyrektor biblioteki pracują nieodpłatnie. Towarzystwo zatrudnia jedenaście osób odpłatnie (w tym część w niewielkim wymiarze godzin) oraz czterech pracowników pomagających stale, lecz nie pobierających pieniędzy. Funkcje pracowników — poza sekretariatem i stróżem — nie są ściśle określone, tak że wszyscy zajmują się wszystkim w miarę bieżących potrzeb.

Zabytkowy, XVIII-wieczny, potężny gmach Biblioteki wymaga stałej konserwacji i napraw. W czasach drugiej wojny światowej został całkowicie ograbiony i przebudowany przez Niemców, którzy chcieli stworzyć w nim szkołę. Od czasu wojny starano się w miarę możliwości finansowych odnawiać i remontować budynek. Odnowiono magazyny książek, następnie dzięki pomocy Fundacji p. Barbary Johnson dachy i fasadę, ostatnio trwa przebudowa i remont piwnic. Odmalowano bardzo starannie kilka głównych sal. Dużym nakładem finansowym zmieniono i zabezpieczono dziedziniec, z którego uprzednio przeciekała woda do piwnic, narażając zbiory. Pozostaje jeszcze wiele do zrobienia, między innymi instalacja elektryczna, pozostała część piwnic, konserwacja zabytkowej klatki schodowej. Poza tym część trzeciego oraz całe czwarte piętro są niezagospodarowane i od wielu lat praktycznie niczemu nie służą. Może warto by się pokusić o odwołanie się do społecznej ofiarności ludzi, którzy być może daliby pieniądze na odnowienie?

W lutym 1980 roku powstał fundusz im. Adama Mickiewicza, niezwykle cenna inicjatywa, mająca na celu zbieranie pieniędzy, tak aby na stałe zabezpieczyć finansowo Bibliotekę. Pierwszym donatorem był Jan Paweł II. Szkoda jedynie, że o funduszu niewiele — a od pewnego czasu w ogóle — nic nie słychać. Jest to inicjatywa, o której powinno się chyba stale przypominać, publikując apele, ogłaszając w prasie sprawozdania, zachęcając do dalszych darów.

Towarzystwo Historyczno-Literackie finansowane jest w niewielkiej części ze składek członków i okolicznościowych darów, głównie zaś od kilku lat przez ofiarną i bardzo dla kultury polskiej zasłużoną Fundację Lanckorońskich.

Towarzystwo Historyczno-Literackie zmieniło nieco cele swego istnienia na przestrzeni swych dziejów. Statut z 1866 roku przewidywał następujące zadania i zasady:

1. Zbieranie i publikowanie dokumentów i materiałów dla poznawania historii Polski;
2. Zbieranie, choćby w kopiach i odpisach, dokumentów historycznych, które znajdują się w archiwach rozmaitych krajów — zarówno w bibliotekach prywatnych jak i publicznych — oraz sporządzenie księgozbioru, na który przeznaczona została część przychodów finansowych Towarzystwa;
3. Drukowanie dzieł historycznych;
4. W ramach Towarzystwa zabrania się wszelkich dyskusji i polemik politycznych i religijnych.

Statut ten zatwierdzony był przez Napoleona III, co tłumaczy punkt czwarty — Polacy byli „zarzewiem rewolucji”. Nie przeszkadzało to, że tajna szkoła wojenna Ludwika Mierosławskiego miała swe wykłady w gmachu Biblioteki.

Statut aktualny, pochodzący ze stycznia 1952 roku a zmodyfikowany w roku 1967 przewiduje:

1. Sprzyjanie rozwojowi studiów historycznych i literackich oraz sztuce polskiej, w szczególności w ramach stosunków francusko-polskich;
2. Organizowanie poszukiwań w archiwach i bibliotekach;
3. Organizowanie odczytów, wykładów i wystaw, fundowanie stypendiów, konkursów oraz publikowanie drukiem dzieł naukowych;
4. Nabywanie książek i rękopisów oraz dzieł sztuki i przyczynianie się do rozwoju Biblioteki Polskiej.



Do pustego gmachu wracają jesienią 1944 roku zdeponowane i ukryte zbiory z terenu Francji. W 1947 roku wracają z Warszawy książki, ryciny i archiwalia wywiezione przez Niemców w liczbie 42.592 tomów, 1.229 roczników czasopism, 878 rękopisów, 85 rycin oraz 52 tek z mapami. Jak wynika ze sprawozdań, Biblioteka utraciła 30 % swych zbiorów przedwojennych.

Ogłoszony drukiem odczyt Czesława Chowańca z 1965 roku podaje następujący stan liczbowy:

Biblioteka Polska

ok. 90.000 książek w 140.000 tomów,
2.000 rękopisów i tek archiwalnych,
ok. 3.000 map,
ok. 7.000 rycin.

Muzeum Adama Mickiewicza

868 pozycji muzealnych, portretów, rycin, rzeźb i pamiątek,
1.112 rękopisów i autografów związanych z życiem i twórczością poety.

Zbiory artystyczne

1.320 pozycji inwentarzowych, tj. obrazów, rysunków, rzeźb, medali, porcelany.

Od tego czasu nie opublikowano poważniejszych i wiarygodnych danych liczbowych.

Do Biblioteki napływają dary z całego świata: od wydawców, autorów, głównie zaś z Kraju, wiele czasopism i książek rozmaitej wartości, nieraz dla profilu instytucji całkowicie zbędnych. Takie nabytki są bardzo przypadkowe, często natomiast brak podstawowych poważnych opracowań czy książek źródłowych. Nie prowadzi się zakupów — ze szkodą dla zbiorów — i brak najmniejszego choćby budżetu na ten cel. Biblioteka i Towarzystwo posiadają pokaźną liczbę dubletów, niekiedy w bardzo dużej ilości egzemplarzy — sprawę tę stara się rozwiązać komisja biblioteczna. Poważnym problemem jest konserwacja zbiorów. W ostatnich latach odnowiono kilka obrazów, natomiast konserwowanie rękopisów i starodruków, oprawianie książek, odgrzybienie rycin i map czeka na lepsze czasy. Czy jedynie finansowe?

Archiwa rękopiśmienne stanowią poprzez swą unikalność niezaprzeczalnie najpoważniejszą część zbiorów i wymagają największej uwagi. Rękopisy zebrane są w odrębne i czasem uzupełniające się całości:

1. Rękopisy Muzeum im. Adama Mickiewicza — ujęte drukowanym katalogiem A. Lewaka, Kraków 1931.

2. Rękopisy Biblioteki, ujęte w trzytomowy katalog (razem ponad 560 pozycji), tom I drukowany wraz z maszynopisem, dalsze dwa tomy w maszynopisie bez indeksów. Całość opracowana przez I. Gałęzowską i C. Chowańca w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

3. Pozostała część rękopisów, stanowiąca większą część zbiorów, zinwetaryzowana jest jedynie fragmentarycznie i uporządkowana w rozmaitym stopniu. Między innymi są to archiwa: Władysława Mickiewicza, K. Woźnickiego, rodziny Gierszyńskich, Henryka Bukowskiego, prof. Z. L. Zaleskiego, Rose Bailly, J. Brzękowskiego, A. Kawałkowskiego, F. Grimala, Akta Biblioteki od 1926 roku, Instytucji Czi i Chleba, Szkoły Batignolles, Księgi Obrachunkowe Powstania Styczniowego, rachunki Hotelu Lambert oraz cała grupa rękopisów i opracowań mniejszych.

Nad rękopisami pracuje jedna osoba dwa dni tygodniowo, toteż mimo swych kwalifikacji nie ma fizycznej możliwości kontrolowania wydawanych czytelnikom rękopisów, opracowywania zbiorów czy dokończenia brakujących indeksów, nie wspominając już o gromadzeniu i nabywaniu nowych zbiorów, co jest koniec końców jednym z głównych celów Towarzystwa.

Księgozbiór główny posiada dwie osobne numeracje i skatalogowany jest alfabetycznie. Co i raz wspomina się o potrzebie katalogu rzeczowego. Wydaje się jednak, że nie jest to potrzeba pierwsza. Katalog tego typu potrzebny jest laikom lub cudzoziemcom, którzy chcą się czegoś konkretnego dowiedzieć, a nie bardzo się orientują, gdzie szukać, nie znając języka. Zarówno jednym jak i drugim bardziej przyda się rozmowa z fachowcem znającym zbiory i odpowiedzialnym za informację bibliograficzną niż szperanie w najlepiej nawet zrobionym katalogu rzeczowym czy hasłowym, którego sporządzenie wymagałoby wielu lat pracy i to nie dla jednej osoby.

Biblioteka Polska w Londynie — jak słusznie zauważa pani Hanna Świdorska w swym bardzo interesującym artykule (*Kultura* nr 7-8/1983) — przejęła funkcje Biblioteki Narodowej, zbierając i wydając *Bibliography of Books in Polish*; warto może, idąc za jej myślą, pomyśleć o wydawaniu serii bibliografii specjalnych. W ramach centrum badań nad historią sztuki we Francji pracowano — jak wynika ze sprawozdania Towarzystwa za lata 1957-1965 — nad słownikiem biograficzno-bibliograficznym artystów polskich we Francji w latach 1831-1919. Ta cenna praca być może mogłaby zostać dokończona.

W latach sześćdziesiątych Stanisław Lam rozpoczął pracę nad słownikiem biograficznym Polaków żyjących poza Krajem. Po jego śmierci archiwa przekazano Bibliotece. Jest to unikalna dokumentacja, którą może warto by kontynuować?

Wiele lat temu rozpoczęto pracę nad wydaniem spisu emigrantów XIX stulecia na podstawie archiwów Biblioteki. Ma się on niebawem ukazać w zasłużonych „Materiałach”, wydawanych w Buenos-Aires, opracowywany przez ludzi luźno związanych z Towarzystwem Historyczno-Literackim. Kilka lat temu zrodziła się wśród członków Towarzystwa inicjatywa wydawania rocznika pt. *Annales*, który stawiał sobie za cel publikowanie niewydanych dotychczas archiwaliów, dokumentów i materiałów dotyczących kultury polskiej a znajdujących się w zbiorach Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Biblioteki Polskiej oraz w innych zbiorach i bibliotekach. Niestety przedstawiciel Rady Towarzystwa uznał, że pismo powinno być ściśle kontrolowane przez Radę oraz chciał narzucić, aby było ono również pismem publicystycznym, tak że zaniechano dalszych prac w tym kierunku. A szkoda. Wracając do pozostałych bogatych zbiorów paryskich, należy jeszcze wspomnieć o czasopismach, rycinach, rysunkach, mapach, obrazach, fotografiach, plakatach, monetach i medalach.

Czasopisma i gazety od XVIII wieku do dnia dzisiejszego częściowo skatalogowane są w zbiorach głównych, inne wyodrębnione w katalogu czasopism. Najcenniejsze ze zbiorów są XIX-wieczne pisma Wielkiej Emigracji oraz wydawane w Polsce czasopisma dwudziestolecia, aby wymienić *Słowo Wileńskie* wraz

z dość kompletnym dodatkiem literackim — *Żagary, Kurjer Warszawski, Robotnik czy Ilustrowany Kurjer Codzienny*.

Ryciny Biblioteki objęte są sześciotomowym katalogiem. Pozostałe, zinwentaryzowane według formatu, posiadają katalog kartkowy, a dalsze czekają. Są wśród nich dzieła najwybitniejszych mistrzów, by wymienić J. Ziarnko, Falka, Norblina czy z późniejszych Wyczółkowskiego i Skoczylasa. Trzonem zbioru jest ikonografia Wielkiej Emigracji i Powstania Listopadowego. Ze szkoda dla zbiorów nie prowadzi się obecnie prac nad rycinami; brak też nowych nabytków i wymiany dubletów. Zbiory wzbogacają jedynie sporadyczne dary poszczególnych autorów. Rysunki nie wiedzieć czemu skatalogowano wprawdzie alfabetycznie, ale w dwa odrębne zbiory; „lepszych” i „gorszych” artystów. Niezgåębioną tajemnicą jest kryterium przydziału do jednych lub drugich. Więcej szczęścia mają obrazy. Od lat pracuje się nad ich skatalogowaniem.

Kolekcja map jest imponująca. Obejmuje ponad 6.000 egzemplarzy od XVI do XIX wieku. W ramach Towarzystwa istniało w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Centrum Studiów Kartograficznych. Miało ono ambitne zamiary, m.in. wydanie katalogu map polskich XVI i XVII stulecia, czego zaniechano, gdy podjęto te prace w Kraju. Ogłoszono drukiem kilka prac, wygłoszono kilkanaście odczytów i organizowano wystawy. Dużym sukcesem było zrobienie katalogu map polskich lat 1919-1939, okresu w kartografii mało znanego. Od kilkunastu lat Towarzystwo nie zatrudnia specjalisty w tej dziedzinie; wszelkie prace ograniczały się najpierw do inwentaryzacji, a ostatnio i to ustało.

Kończąc omawianie w wielkim skrócie zbiorów, należy dodać, że Towarzystwo Historyczno-Literackie posiada od 1946 roku również trwały majątek: jest nim dom wypoczynkowy, willa z pięknym ogrodem, położona nad Atlantykiem w Dinard Saint-Enogat. Nazywa się „La Vistule”. Zapisał ją Towarzystwu w testamencie jego były prezes pan Camille Gronkowski. Willa służy jako miejsce wypoczynku członkom Towarzystwa oraz ludziom związanym z nim.

Kończąc należy powiedzieć, że Towarzystwo Historyczno-Literackie wraz z kierowaną przezeń Biblioteką przeżywa okres sennego przetrwania. Rada i Zarząd, które ofiarnie pracują, skierowały swe główne wysiłki na działalność odczytową i koncertową. Odbywa się bardzo dużo odczytów, spotkań, koncertów i wystaw — na rozmaitym poziomie. Dużą rolę spełnia wypożyczalnia książek. Odnawia się i remontuje gmach. Mniej uwagi natomiast poświęca się zbiorom, które są duszą tej instytucji. Nie publikuje się żadnych prac czy choćby sprawozdań z działalności. Podstawową trudnością, wysuwaną przy każdej okazji, jest brak pieniędzy, ale z drugiej strony niewiele się robi, aby je uzyskać. Pomysł z funduszem im. A. Mickiewicza jest bardzo szczęśliwy, ale o istnieniu takiego funduszu kilku pracowników

Biblioteki dowiedziało się od autora niniejszego artykułu w sierpniu tego roku. Pewien optymizm na przyszłość budzi niedawno zrobiony przez fachowca-bibliotekarza raport o stanie Biblioteki, opatrzonej w sugestie planowego działania.

Biblioteka istnieje już 145 lat, przeżywała wzloty i upadki, nie może jednak żyć w oderwaniu od kultury polskiej, gdyż stanowi jej integralną część. Życzę jej pomyślnego rozwoju.

Marek FRANCISZKOWSKI

Irackie rozmowy

Spotkałem Krystynę S. na suku sukienniczym w Bagdadzie, gdzie się targowała o materiały. — Tutaj można kupić śliczne sukienki z Paryża i Londynu, ale dla mnie są za drogie. W kraju mam koleżankę, która umie uszyć takie same, tylko muszę przynieść materiały — wyjaśniła zaraz po wstępnych słowach, kiedy okazało się, że oboje mówimy po polsku.

Szczupła, wysoka trzydziestolatka była wyraźnie zmęczona upałem i tłumem kolorowych załotników, którzy bacznie obserwują każdy ruch, każdy gest Europejki. Niektórzy próbują się nawet otrzeć, dotknąć ręki lub biodra egzotycznej dla nich kobiety. Moja propozycja rozmowy o Iraku w klimatyzowanej restauracji została przyjęta bez chwili wahania.

D.T.: — Proszę mi powiedzieć, jak żyją w Iraku Polacy z Polski?

K.S.: — Szczególnie interesujące wydawało mi się to na budowie dwieście kilometrów na wschód od Bagdadu. To była autentyczna pustynia. Do najbliższej miejscowości było bardzo daleko. Pracujący tam ludzie byli całkowicie odizolowani od świata.

D.T.: — Nie bardzo rozumiem. Przecież żyjemy w czasach motoryzacji...

K.S.: — Jednak nie wszyscy. Na budowie było od 300 do 400 robotników. Motoryzację stanowiły stare autobusy sprowadzone z kraju, mała ciężarówka Toyota, którą posługiwało się kierownictwo oraz różne pojazdy budowlane. Część z tego była stale zepsuta. Jazda rozklekotanym autobusem bez klimatyzacji przy temperaturze powietrza 50° C była prawdziwym koszmarem.

D.T.: — Wróćmy na budowę, na kamp.

K.S.: — Dobrze. Znajdują się tam zupełnie przypadkowo dobrani ludzie o różnych charakterach i zainteresowaniach, z różnych środowisk, z różnych stron kraju. W niektórych zawodach tylko jeden na kilku ma autentyczne kwalifikacje, ale to jest osobnym tematem. Tworzą się grupki z Białegostoku, Warszawy, Krakowa, Opola. To normalnie w Polsce nie odgrywa istotnej roli, ale tutaj w Iraku powstawały obozy, konflikty, sytuacje niezbyt przyjemne... Przezywano się od Niemców, Ruskich...

D.T.: — *Odżyły więc konflikty z czasów zaborów.*

K.S.: — Tak, rzeczywiście. Ci ludzie mieszkają w trudnych warunkach klimatycznych i przyrodniczych.

D.T.: — *No właśnie. Gdzie mieszkają?*

K.S.: — W blaszanych barakach. Po dwóch w niewielkim pokoiku. Wprawdzie są tam klimatyzatory, ale często niesprawne, bo facet który ma je naprawiać nie ma o tym pojęcia. Trafił tam po znajomości, za łapówkę... Sama nie wiem. Jakies oszczędności paliwa czy awarie agregatów prądotwórczych unieruchamiają sprawne urządzenia i oświetlenie. Metalowe ściany pokoju nagrzewają się tak mocno, że dotknięcie grozi poparzeniem.

D.T.: — *Czy tak jest na wszystkich kampach, jakie Pani zna?*

K.S.: — Z racji pracy mojego męża byłam na wielu polskich budowach w Iraku. Niestety przeważnie tak jest, z wyjątkiem kampów wybudowanych przez firmy zachodnie i pod warunkiem, że to one sprawują nadzór nad eksploatacją.

D.T.: — *Wynika z tego, że państwo socjalistyczne niezbyt troszczy się o swoich poddanych.*

K.S.: — Tak to wygląda. Trudno się dziwić, że zaczynają się tarcia. Nie każdy jest odporny psychicznie. Ci ludzie są od rana do wieczora razem. Nie ma momentów rozluźnienia, oderwania od pracy, nawet od patrzenia na siebie. Znaczna część zaczyna pić, do utraty przytomności i życia włącznie.

D.T.: — *Czy wie Pani, skąd mają alkohol?*

K.S.: — Kierowcy ciężarówek TIR przywożą spirytus z kraju. No i każdy Polak jest specjalistą od bimbrownictwa.

D.T.: — *Wracając do zachowania dewizowych zesańców...*

K.S.: — Niektórzy potrafią leżeć godzinami i patrzeć bezmyślnie w sufit. Książki, prasa z Polski są towarem przypadkowym. Rozrywką robotniczą w Iraku jest łapanie skorpionów i niebezpiecznych pajaków tarantuli i organizowanie walk pajaka ze skorpionem. Jad każdego z tych stworzeń jest niebezpieczny dla życia. Śmierć następuje w ciągu 20-30 minut po ukąszeniu. Jednak ludzie głupieją. Widziałam jak jeden z panów puszczał

skorpiony po swojej ręce. Chodziło o to, jak daleko zajdzie. Popychany patykiem, zaatakował dopiero za łokciem. Żyłka była już przygotowana. Nacięcie rany i ssanie okazały się wtedy skuteczne. Kibice się śmiali, cieszyli. Jakiś zakład o kolejną butelkę wódki został wygrany.

D.T.: — *To jest przerażające.*

K.S.: — Ale prawdziwe. Drugim ważnym zajęciem w wolnych od pracy chwilach jest czekanie na listy. Jeden dostaje kilka listów w ciągu miesiąca, inny wcale. Widać nawet jakąś olbrzymią zazdrość o listy.

D.T.: — *Czy chodzi o to, że do niektórych nikt nie pisze?*

K.S.: — To zdarza się rzadziej. Niewątpliwie w epoce telewizji i telefonu nie umiemy pisać listów jak dawniej. Tutaj chodzi jednak o coś innego. Korespondencją rządzi przypadek. W obydwu krajach trwa praktycznie wojna. Korzystanie z międzynarodowej poczty wiąże się z realnym ryzykiem utraty listu. Trwa to całymi tygodniami. Wszelki listowny dialog staje się wtedy bez sensu.

D.T.: — *Czy nie można tego jakoś przyspieszyć?*

K.S.: — Oczywiście, że można. Listy pracowników firm zachodnich pokonują odległość Bagdad — adresat w Europie w ciągu kilku dni. U nas prywatny list jest prywatną sprawą pracownika. W związku z tym rozpowszechniła się praktyka przesyłania korespondencji przez znajomych lub przypadkowe osoby. Listy przychodzące tą drogą są dosłownie rozszarpywane przez celników w warszawskiego lotniska, którzy czegoś w nich szukają. Pewien mężczyzna zostawił w kraju młodą żonę spodziewającą się dziecka. To była wielka miłość. Ten pan każdą wolną chwilę, kiedy był sam rozmawiał głośno ze swoją ukochaną, uczył się jej listów na pamięć, a trzeba powiedzieć, że szczęście mu sprzyjało i przesyłki z kraju dostawał dość regularnie. I nagle, od dnia spodziewanego rozwiązania, korespondencja urwała się na sześć tygodni. Proszę sobie wyobrazić jego rozpacz. Praktycznie przez ten czas prawie nic nie robił, tylko obserwował pustynną drogę prowadzącą do budowy. Każdego przyjeżdżającego zaczepiał o listy z Polski. Muszę powiedzieć, że nikt nie miał ochoty się śmiać. Po sześciu tygodniach przyszło sześć listów i telegram, że został szczęśliwym ojcem.

D.T.: — *Nawet telegram nie dotarł?*

K.S.: — To jest fakt autentyczny. Osobna sprawa to ciągła niepewność, co żony tam w kraju robią. Czy trwonią pieniądze? Czy puszczają się? Ta obawa, że kiedy skończy się kontrakt to nie będzie pieniędzy i nie będzie do kogo wracać.

D.T.: — *Czy to zdarza się często?*

K.S.: — Tak. Spotkałam się nawet osobiście z takimi przypadkami. Kobieta tam w kraju pozostawiona sama, z dziećmi, z domem, z tysiącem bezsensownych problemów jakich nie szczędzi nam administracja państwowa, osiedlowa, szkolna... trudności w zakupach...

D.T.: — *No ale to już nie jest iracki problem. Czy może mi Pani szczerze odpowiedzieć na pytanie: czy zdradzacie swoich mężów?*

K.S.: — Przerywa mi Pan niepotrzebnie. Cały czas rozmawiam szczerze. Otóż jeżeli przy tych wszystkich kłopotach pojawi się ktoś, kto pomoże coś załatwić, podwiezie samochodem, jest greczny, uczynny i ma znośne parametry jako mężczyzna, to stanie się... Z moich obserwacji nie wynika, że te dziewczyny szukały, latały za mężczyznami. Co to, to nie. Ale jak zdarzy się okazja... Oczywiście niektórym nie zdarza się nigdy. Niemniej moja rada dla wyjeżdżających na eksport jest taka, żeby wkalkulować w koszty własne, że zostanie się rogiaczem. Łatwiej wtedy znieść rozłąkę.

D.T.: — *Jaki to ma wpływ na trwałość rodziny?*

K.S.: — Sądzę, że nie prowadzi się tego rodzaju statystyk, a ja znam tylko dwa przypadki, kiedy wyjazd do pracy za granicę skończył się rozwodem. Jednak wspólne konto w banku, dzieci, wspólna przeszłość łączą wystarczająco mocno, żeby nie iść do sądu. Poza tym, żeby w Polsce rozwieść się skutecznie, trzeba mieć drugie mieszkanie. Skąd je wziąć? Mężczyźni są z reguły zbyt leniwi, żeby narażać się na poniewierkę — bo to oni z reguły opuszczają rodzinne mieszkanie — i jakoś to małżeństwo ciągnie się dalej, od awantury do awantury.

D.T.: — *Z tego wszystkiego wynika, że praca za granicą jest dużym zagrożeniem dla rodziny. Czy można temu zapobiec?*

K.S.: — Oczywiście, że można. Trzeba tylko zwiększyć częstotliwość kontaktów osobistych. Wyjazd do kraju co kilka miesięcy. Odwiedziny rodzin. Tak postępują firmy kapitalistyczne. Natomiast nasze przepisy przewidują urlop po przepracowaniu roku za granicą. Ale i wtedy wymyśla się różne utrudnienia. Przyjazdy rodzin też są bardzo ograniczone. Koszt przelotu z Warszawy do Bagdadu sięga wysokości przeciętnych rocznych zarobków krajowych.

D.T.: — *Trybuna Ludu donosi o powstawaniu kolejnych komisji rządowych d/s rodziny, konferencji na temat humanizacji pracy, a rzeczywistość jest zupełnie inna.*

K.S.: — Mnie to już wcale nie dziwi. Chyba się przyzwyczaiłam.

D.T.: — *Niech mi Pani powie, jak reagują pracownicy na takie traktowanie?*

K.S.: — Ludzie są sterroryzowani. Mają do wyboru albo siedzieć cicho, albo wrócić do kraju, więc każdy myśli, że wytrzyma jeszcze kilka miesięcy w tym piekle i kupi sobie samochód, będzie miał na kawę z Pewexu i na dzinsy dla dzieci.

D.T.: — *Nie rozumiem tego wszystkiego. Przecież współczesne cywilizacje dysponują różnymi środkami. Nie ma najmniejszego technicznego powodu, żeby wyjazd do Iraku narażał na ryzyko i niewygody wyprawy Kolumba.*

K.S.: — To prawda. Lecz żeby korzystać ze współczesnej cywilizacji trzeba mieć pieniądze i znać języki obce, umieć się tym wszystkim posługiwać. Obydwu rzeczy brakuje administracji polskiego eksportu. Ministrów i dyrektorów nie znam. Mam na myśli tych ludzi, którzy przyjechali, żeby coś temu robotnikowi załatwić, zorganizować, a zamieniają się w nadzorców niewolników.

D.T.: — *O ile się orientuję, ceny uzyskiwane przez polskie przedsiębiorstwa na rynku irackim nie są niższe od cen, na jakich pracują firmy zachodnie. Jednocześnie odnoszę wrażenie, że koszty własne mają eksporterzy z PRL znacznie niższe. Pozostały duży zysk uzyskiwany jednoznacznie kosztem robotnika z całą pewnością potrzebny jest krajowi, targanemu kryzysem.*

K.S.: — Żarty. Czytałam niedawno w *Polityce*, że nie ma żadnych wpływów dewizowych z eksportu budownictwa.

D.T.: — *Wszystkie koszty pracownicze są sprowadzone do minimum ze względu na oszczędności, a nie ma zysków? Nic z tego nie rozumiem!*

K.S.: — Ja też. W kabarecie Jana Pietrzaka padły słowa: „przenieść nasz model ekonomiczny na Saharę, to po tygodniu piasku zabraknie”.

D.T.: — *Spogląda Pani na zegarek. Już kończymy. Proszę mi jeszcze powiedzieć, skąd Pani to wszystko wie?*

K.S.: — Jestem żoną kogoś takiego z administracji eksportu. W ciągu ostatnich trzech lat byłam tutaj pięć razy, po kilka miesięcy.

D.T.: — *A więc ograniczenia, warunki życia, o których mówiliśmy — nie dotyczą wszystkich. Zależy to od stanowiska.*

K.S.: — Sam Pan widzi.

D.T.: — *Dziękuję bardzo za interesującą rozmowę.*

Rozmawiał Danek TURCZYŃSKI

Bagdad, lipiec 1983

Sprawa stosunków polsko-żydowskich

Czterdzieści lat temu na szczycie jednego z domów walczącego getta warszawskiego wywieszono zostały obok siebie dwie flagi: biało-niebieska i biało-czerwona. Bojownicy żydowscy, których życie obliczone było na godziny, skierowali do społeczeństwa polskiego te słowa odezwy: „Wśród dymu pożarów i kurzu krwi mordowanego getta Warszawy ślemy Wam bratnie pozdrowienia... Toczy się walka o Waszą i naszą wolność. O Wasz i nasz ludzki, społeczny, narodowy honor i godność... Niech żyje braterstwo broni i krwi walczącej Polski...”.

Były to słowa pożegnania, tragiczny i piękny zarazem w swej godności końcowy akord zamykający blisko tysiąc lat współżycia Polaków i Żydów na ziemi polskiej.

W czterdzieści lat po powstaniu w getcie, które było szczytowym punktem największej w dziejach tragedii ludzkiej, my niżej podpisani uważamy za swój moralny obowiązek wydobyć z zapomnienia ten manifest Masady dwudziestego wieku. Trzej z nas byli w czasie drugiej wojny światowej emisariuszami, którzy z rozkazu Polski Podziemnej i polskiego rządu w Londynie nieśli przez granice i fronty relacje naocznych świadków i dokumenty zbrodni ludobójstwa oraz rozpaczliwe apele ginących, które miały wstrząsnąć i obudzić sumienie obojętnego świata. Trzej pozostali to działacze żydowscy na Zachodzie, z których każdy ma za sobą dziesiątki lat walki i aktywnej wierności wobec spuścizny polskiego żydostwa.

Ze społeczności żydowskiej w Polsce liczącej przed wojną ponad trzy miliony obywateli — pozostała dziś kilkutysięczna garstka. Dzielnice żydowskie wraz z otaczającym je murem zrównane zostały z ziemią przez wspólnego wroga. Lecz dziś wyrasta w to miejsce inny mur dzielący Polaków i Żydów. Po obu jego stronach gromadzą się pokłady uprzedzeń i poczucie krzywdy, z której rodzi się wrogość i nienawiść.

Nienawiść jest bumerangiem bijącym w każdego, kto ją szerzy, bez względu na to, czy jest stroną słabszą czy silniejszą. Plonem nienawiści zasianej w dusze niemieckie stał się hitleryzm. Dzieckiem nienawiści jest nieludzka tyrania sowiecka. Ofiarami nienawiści byli zarówno Polacy jak i Żydzi. Nienawiść wyrasta ze zbiorowej odpowiedzialności, która obarcza winą za występki i negatywne właściwości jednostki czy mniejszości wszystkich ludzi tej samej narodowości, wyznania czy rasy. Mściwa nienawiść jest ślepa na to, co w innym człowieku czy zbiorowości ludzkiej jest piękne, dobre i szlachetne. Widzi w nim tylko to, co złe czy zbrodnicze. Żydzi pamiętają polski antysemityzm, którego istotne nasilenie sięga końca ubiegłego stulecia, lecz zapominają, że był on zwalczany przez znaczny odłam polskiej inteligencji liberalnej i demokratycznej, ruch robotniczy oraz najwybitniejszych twórców polskiej kultury. Orędownikami Żydów byli Adam Mickiewicz, Józef Ignacy Kraszewski, Bolesław Prus, Eliza Orzeszkowa, Maria Konopnicka, Stefan Żeromski, Andrzej Strug i inni. Polscy antysemici pamiętają, że choć w niepodległej Rzeczypospolitej wypadki gwałtu i okrucieństwa fizycznego były rzadkie — Żyd, nawet wychowany w kulturze i języku polskim, nie czuł się pełnoprawnym obywatelem: odczuwał bolesnie nie tylko getto ławkowe na uniwersytecie, ale pogardę i nieufność prowadzącą niejednokrotnie do bojkotu i dyskryminacji nie mającej zresztą

żadnego legalnego oparcia w polskim ustawodawstwie. Znane hasło „żydokomuna” czyniło z każdego Żyda potencjalnego wroga państwa i agenta obcego mocarstwa. Nie pamiętano o udziale Żydów w insurekcji kościuszkowskiej i w obu powstaniach 1831 i 1863 roku jak i o ochotnikach żydowskich walczących o wolność Polski w Legionach i innych formacjach ochotniczych. Nie pamięta się faktu, który przypominał niedawno życzliwy Polsce brytyjski historyk Norman Davies, że ochotnicy żydowscy, którzy pragnęli brać udział w wojnie z bolszewikami, zostali wyrzuceni z wojska i internowani w obozach. Kto dziś pamięta, że słynny ustęp w odezwie pietrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich z 27 marca 1917, tak szeroko wykorzystywanej obecnie przez propagandę komunistyczną domagający się dla Polski „prawa do całkowitej niepodległości”, zredagowany został i wprowadzony do rezolucji nie przez Rosjan lecz przez polskiego Żyda Henryka Ehrlicha, przywódcę Żydowskiej Partii Socjalistycznej BUND, rozstrzelanego w czasie wojny na rozkaz Stalina.

Żydzi z kolei obciążają cały naród polski odpowiedzialnością za szmalcowników, elementy kryminalne występujące we wszystkich krajach okupowanych, które wydawały Żydów na śmierć w ręce niemieckich morderców. Nienawiść każe zapomnieć, że znaczna część Żydów, którzy przeżyli holokaust poza obozami, zawdzięcza swe ocalenie bohaterstwu Polaków ryzykujących życie własne i najbliższych, że niepełny rejestr Polaków zamordowanych za ukrywanie Żydów obejmuje 621 rodzin, że na liście tych, których Izrael uczcił w Yad Waszem najwięcej jest polskich nazwisk, że w próbach niesienia pomocy powstaniu w getcie byli polegli i ranni żołnierze AK. Nienawiść każe wielu autorom żydowskim pomijać albo pomniejszać działalność Rady Pomocy Żydom, powołanej przez władze Polski Podziemnej i wysiłki zarówno władz polskich w okupowanym kraju jak i rządu polskiego w Londynie, czyniących wszystko co leżało w ich mocy, by głos rozpaczliwych Żydów dotarł do rządów i opinii publicznej na Zachodzie. Przerzucanie na naród polski odpowiedzialności za ludobójstwo, którego następną po Żydach ofiarą była ludność polska, odczuwane jest bolesnie przez stronę polską jako ciężka krzywda. Podobne uczucie budzi w Żydach fakt, że Polacy obciążają wszystkich Żydów odpowiedzialnością za zbrodnie bezpieki w okresie stalinowskim, kiedy wiele kluczowych stanowisk w aparacie terroru i w Partii było obsadzonych przez Żydów, lecz nie chcą uznać, że Polacy pochodzenia żydowskiego pozostają w awangardzie ruchu wolnościowego w Polsce od roku 1956, z odwagą i poświęceniem przełamując barierę strachu.

Czas już, by położyć kres temu wzajemnemu antagonizmowi. Wyrządza on szkody obu stronom i jest szczególnie bolesny dla tych Żydów, którzy będąc patriotami polskimi nie zapominają o swym żydowskim pochodzeniu i chcą być wierni swemu dziedzictwu i religii. Nie służą temu celowi ani wzajemne rekryminacje, ani próby roztrząsania, kto w tym tragicznym bilansie ponosi większą winę. Po obu stronach ludzie dobrej woli dążą do nawiązania dialogu i wzajemnego zrozumienia. Szukajmy w tym dialogu tego, co dziś łączyć powinno Polaków i Żydów.

Jest to przede wszystkim wspólna determinacja, by nigdy więcej nie powtórzyła się próba totalnego zniszczenia fizycznego całego narodu. Niesłusznie zarówno Polacy jak i Żydzi wciąż żyją w cieniu tej groźby: Polska, z racji swego położenia geograficznego i aktualnego dziś zagrożenia sowieckiego. Izrael — otoczony olbrzymią przewagą wrogiej ludności arabskiej czekającej na sposobność zniszczenia młodego państwa, cudem odrodzonego po dwóch tysiącach lat. Tylko Polacy, naoczni świadkowie holokaustu, którzy sami od pierwszego do ostatniego dnia wojny byli ofiarami hitlerowskiego terroru, są w stanie zrozumieć poczucie zagrożenia ocalałych Żydów, którzy powrócili dziś do swojej Ziemi Obiecanej. Znaczna część mieszkań-

ców Izraela pochodzi z Polski, ukazuje się tam dziennik w języku polskim. *Kultura* i inne polskie wydawnictwa znajdują w Izraelu licznych odbiorców. Występy polskich zespołów śpiewających i artystycznych spotykają się z serdecznym przyjęciem ze strony starszego pokolenia Żydów tęskniących za krajem swego dzieciństwa, za swoim „miasteczkiem Bełż”, uwiecznionym w żydowskiej piosence.

Każde zbliżenie, każdy gest solidarności Polaków w kraju i Polonii światowej wobec losów Izraela przyczyniłby się skuteczniej do rozładowania polsko-żydowskich antagonizmów aniżeli tomy apologetycznej literatury.

Polacy i Żydzi są współnikami niedoli w Związku Sowieckim, gdzie obie narodowości są najbardziej prześladowane ze wszystkich mniejszości narodowych. Jedni i drudzy są ofiarami okrutnej dyskryminacji i prześladowań. Gdyby żydowska diaspora, dysponująca wielkimi wpływami w świecie zachodnim, zechciała rozciągnąć swoją walkę o prawo do emigracji Żydów na osoby innych narodowości i wyznań pragnących powrócić do swego ojczyznanego państwa, a więc przede wszystkim Polaków — inicjatywa taka spotkałaby się na pewno z gorącym przyjęciem w Polsce i na emigracji.

Rzucając te pierwsze myśli służące zbliżeniu Polaków i Żydów zdajemy sobie w pełni sprawę, że ściągamy na siebie ataki ekstremistów po obu stronach. Nie odwiedzcie nas to od inicjatywy podyktowanej wolą służenia idei braterstwa bliźnich bez względu na ich pochodzenie, religię, kolor skóry i rasę. Czynimy to wierni nakazom Dekalogu, wspólnego źródła obu naszych religii i fundamentu, na którym opierają się najwyższe wartości naszej cywilizacji. Jesteśmy przekonani, że służyliśmy w ten sposób najlepiej sprawie Polaków i Żydów.

Michał BORWICZ, Józef LICHTEN, Szymon WIESENTHAL,
Jan KARSKI, Jerzy LERSKI, Jan NOWAK

KSIEGARNIA POLSKA

E. NEUSTEIN, P.O.B. 29443, TEL-AVIV 61293
ISRAEL, tel.: 621311

KSIAŻKI wydane w Polsce i na Emigracji, produkcji bieżącej, wyczerpane i antykwaryczne, w wielkim wyborze. Także książki rosyjskie. Na życzenie wysyłamy katalog.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Sowiecki humorysta, Manuił Siemionow, podsumowując kolejne wyniki trwającej od półwiecza dyskusji o możliwości istnienia takiej osobliwej odmiany literackiej jak „sowiecki humor”, zacytował jako przykład niezbędności „zdrowego śmiechu” smutny fakt, że „nasze sprawy i nasze dni układają się niestety nie jednakowo”. Jeszcze wczoraj — przyznaje Siemionow, zresztą najzupełniej serio — „wydawało się nam, że wszyscy ludzie sumiennie przychodzą do pracy... potem także sumiennie zabierają się do pracy, a później, po dzwonku, z czystym sumieniem idą do domu. A dziś okazało się, że przychodzą bynajmniej nie wszyscy, a niektórzy z tych którzy przyszli porzucają miejsce pracy i odbywają długie spacery po okolicznych punktach sprzedaży, spokojnie załatwiając swoje sprawy bytowe”.

Dlaczego dziś ujawniło się to, czego nie wiedziano wczoraj? Wszyscy czytelnicy sowieckiej — zarówno humorystycznej jak i uważającej się za poważną — prasy, jak również wszyscy słuchacze radia i telewizji już wiedzą, bo wszystko stało się jasne dzisiaj, ściślej od listopada 1982 roku, kiedy generalnym sekretarzem KC wybrany został J. A. Andropow. Manuił Siemionow uważa, że konieczne jest wykorzystanie śmiechu, który już towarzysz Lenin uważał za środek „wszechpotężny” w obliczu obrzydliwych faktów, odkrywanych w pięknym ogrodzie dojrzalego socjalizmu.

Towarzysz Andropow przedłożył znacznie szerszy arsenał środków, przyspieszających przejście od dojrzalego do jeszcze bardziej dojrzalego socjalizmu. Zapoznanie się z tym arsenałem jest niezmiernie pouczające. Metoda Andropowa oczyszczenia drogi do pięknego jutra pokazuje granicę tego, co można by nazwać „odgórnymi reformami” systemu, który nie poddaje się reformom. Najlepiej określono to — lakonicznie i dobitnie — w Moskwie: Niezbędne jest zmienie konia i karety, ale Andropow zdecydował zastosowanie bata, żeby koń biegł szybciej.

ciej. Można dodać, że generalny sekretarz chce ponadto odmalować drzwi karety.

Metoda bata nie spotkała się w zasadzie z zastrzeżeniami ze strony ludności. Represje są przedstawiane jako „zaprowadzenie porządku” i jako „powrót do porządku”. W ostatnich latach rządów Breżniewa typowy dla sowieckiego systemu burdel zaczął być odczuwany przez ludność specjalnie ostro w związku z pogorszeniem się sytuacji ekonomicznej obywateli. Zarządzenia, rezolucje, uchwały o walce z pijaństwem, absenteizmem itp. ogłasza się jednocześnie z wiadomościami o aresztowaniach i wyrokach za korupcję. Można nie mieć wątpliwości, że będą popularne zapowiedziane zarządzenia „o udoskonaleniu pracy milicji”.

10 sierpnia minister spraw wewnętrznych Witali Fiedorcuk wyłożył w *Prawdzie* zasadnicze linie „nowej milicyjnej polityki”. Słyszcy się powszechnie w Moskwie głosy, że minister spraw wewnętrznych, jak Harun Al Raszid, odwiedzał komisariaty milicji i stwierdził nieporządki, które postanowił usunąć. Przede wszystkim — oświadczył minister w artykule — milicja będzie oczyszczona z elementów niedojrzałych w moralnym i politycznym znaczeniu. Jeśli idzie o pomoc w przeprowadzeniu tej czystki minister pokłada specjalne nadzieje w „politycznych organach milicji”, stworzonych decyzją Politbiura z 29 lipca br. Tak jak w wojsku, polityczne organy milicji będą zajmowały się „organizacją i kierownictwem politycznej, ideologiczno-wychowawczej i kulturalnej działalności”. Pierwsze zadanie jest jasne — Andropow chce oczyścić skorumpowaną i rozkładającą się milicję, której symbolem może być stary przyjaciel Breżniewa, Mikołaj Szczelokow, który przez 16 lat kierował sprawami wewnętrznymi i został aresztowany po śmierci swojego protektora. Generał Fiedorcuk nie ukrywa również drugiego zadania: obiecuje zwiększyć ilość patroli na ulicach sowieckich miast, które stały się niebezpieczne dla przechodniów. Wreszcie — trzecie zadanie — szerzej wykorzystać pomoc ludności, ulepszając zarazem nad nią nadzór.

Z pomocą prawej ręki władzy — KGB — powinna przyjść lewa ręka — milicja, oczyszczona i wzmocniona organami politycznymi.

Niezbędność tych potężnych łap chroniących władzę była wystarczająco jasno przedstawiona na plenum KC KPZS z czerwca 1983 roku. To było drugie (po listopadowym 1982 roku) plenum KC ery Andropowowskiej. Na pierwszym wybrano generalnego sekretarza, na drugim wystąpił on już jako gospodarz. Wyraziło się to w tym, że skład Politbiura nie był uzupełniony nowymi ludźmi — Andropow zdecydował ograniczyć się do złotej liczby stalinowskiej — 11 członków. Zaraz po plenum prezydium Najwyższej Rady ZSSR wybrało generalnego sekretarza przewodniczącym Prezydium, to jest głową państwa. Formalnie sowiecka konstytucja przewiduje tylko kolektywną głowę państwa — prezydium Rady Najwyższej. Każdy z jego członków może w zasa-

dzie występować za granicą jako przedstawiciel najwyższej władzy państwowej. Andropow był członkiem Prezydium. Ale od czasu Breżniewa generalny sekretarz jest wybierany na przewodniczącego Prezydium. Prasa zachodnia bardzo się denerwowała, że Andropow nie od razu został wybrany. Może się teraz uspokoić: zajmuje on w tej chwili czołowe stanowiska w państwie, które są zresztą tylko funkcjami najbardziej ważnego stanowiska — generalnego sekretarza.

Na plenum Jurij Andropow przedstawił zasady „strategii udoskonalenia dojrzałego socjalizmu”. Przede wszystkim z godną podziwu odwagą przyznał: „stworzonego przez nas społeczeństwa nie można uznać za doskonałe”. Samo przez się społeczeństwo jest bardzo dobre, system znakomity, ale jeszcze „nieudokonały”. Rzecz w tym — jak wyjaśnił na tymże plenum nowy główny ideolog, K. Czernienko — że 65 lat pracy „nad sformowaniem człowieka sowieckiego, jednostki ideowo pewnej, rozwijającej się harmonijnie i duchowo bogatej” nie zakończyło się sukcesem. Albo — jak dodał — nie ma podstaw do samozadowolenia. Biorąc to pod uwagę Andropow na pierwszym miejscu „strategii doskonalenia” stawia dyscyplinę: „trzeba od niej zacząć. Bez odpowiedniej dyscypliny pracy państwowej i planowania nie jesteśmy w stanie iść szybko naprzód”. Ale dyscyplina w rozumieniu Andropowa to nie tylko wykorzystanie KGB i milicji, które ma się rozumieć zostaną jak najszerzej wykorzystane. To także metody przymusu formułowane w „prawie o kolektywach pracy” uchwalonym przez plenum.

Pierwsze prawo ery andropowowskiej, uchwalone w listopadzie 1982 roku nazywa się „prawem o wzmocnieniu granic państwa”. Drugie to „prawo o kolektywach pracy i zwiększeniu ich roli w kierowaniu przedsiębiorstwami i organizacjami”. Trudno uważać za przypadek, że projekt pierwszego prawa był przedstawiony na plenum przez ówczesnego przewodniczącego KGB W. Fiedorcuka (który stał się później ministrem spraw wewnętrznych), a projekt drugiego przedstawił długoletni przewodniczący KGB Azerbejdżanu, G. Alijew, jedyny nowy członek Politbiura, wybrany po przyjsciu Andropowa do władzy. Oba prawa mają charakter ochronny. Są one lekarstwem przeciwdziałającym mikrobom „polskiej zarazy”. Znaczenie pierwszego jest jasne: zamknąć granice tak dokładnie, by mikroby nie mogły się przedostać. Znaczenie drugiego także proste — choć być może mniej widoczne.

Widmo „Solidarności” krąży po stronicach *exposé* Alijewa. Głównym zadaniem nowego prawa jest stworzenie bariery przeciw samorządowi robotniczemu, utworzonemu w Polsce przez „Solidarność”. Pierwsza odpowiedź ideologów sowieckich na pytanie — jak powinno być — jest lingwistyczna. „Nasze pojęcie samorządu — oświadczył Alijew — w sposób zasadniczy różni się od jego koncepcji anarcho-syndykalistycznej”. Zamiast samorządu, prawo o kolektywach pracy wprowadza „rzeczywisty

socjalistyczny samorząd". Dwa przymiotniki całkowicie przekreślają sens rzeczownika.

Alijew wyjaśnia co reprezentuje „socjalistyczny samorząd”: „buduje się go na sprawdzonej zasadzie demokratycznego centralizmu”. Referent z dumą podaje cyfry ilustrujące sens „socjalistycznego samorządu”: projekt prawa o kolektywach pracy był dyskutowany przez cały naród. W milionie 230.000 zebrań wzięło udział 110 milionów obywateli sowieckich. Zabierało głos 5 milionów. Przedłożono 130 tysięcy poprawek. Do projektu prawa wniesiono 70 (słownie siedemdziesiąt) „poprawek i uzupełnień”. Żaden z sowieckich humorystów nie odważyłby się dać tego rodzaju przykładu działalności sowieckiej demokracji, tym bardziej że 70 poprawek zaakceptowanych przez władzę otrzymano od 110 milionów obywateli sowieckich. (Ludność państwa wynosi 270 milionów) a ograniczyły się one do zmiany słów i znaków przestankowych.

Sens „drugiego prawa Andropowa”, jego cel, to oddać sprawę wychowania narodu w ręce narodu. Partia zdecydowała: ratowanie tonących to sprawa samych tonących. Nowe prawo przede wszystkim uprawomocnia przywiązywanie członka sowieckiego do miejsca pracy. Kolektyw pracy jest ogłoszony zasadniczą komórką socjalistycznego społeczeństwa. Realizuje się — jak powiedział Alijew — „wielka zasada kolektywizmu”. Człowiek sowiecki staje się, w myśl prawa, śrubką, członkiem kolektywu. Tylko kolektyw ma prawa, tylko poprzez kolektyw obywatel sowiecki może otrzymać — pozostając w ramach praworządności — to co zostało mu przyznane przez państwo.

Prawo rozszerza kompetencje kolektywu. Kompetencje fikcyjne i realne. Kompetencje fikcyjne to wpływ na plany przedsiębiorstwa, na rozwój budownictwa mieszkalnego na rachunek przedsiębiorstwa, ocenianie działalności kierownictwa. Łatwo dojrzeć w tym postulaty „Solidarności”. Fikcyjność tych przywilejów w prawie Andropowa jest podkreślona nie tylko tym, że dyskusji mogą podlegać tylko te problemy, na które kierownictwo pozwala i nie tylko tym, że postulaty wysunięte w czasie dyskusji mają charakter konsultatywny i nikogo do niczego nie zobowiązują. Fikcyjność „samorządu socjalistycznego” polega na tym — czego nie przestaje podkreślać Alijew, i jak to zaznacza sam tekst prawa, że „na czele kolektywu stoi organizacja partyjna”. Pełnomocnictwa kolektywu są realizowane przez administrację i organy partyjnych, związkowych i komsomolskich organizacji. Oto sowiecki kwadrat: administracja, partkom, związki i komitet Komsomołu. W tej unikalnej figurze geometrycznej wszystkie kąty są różnej wielkości, a największy samego partkomu. Partyjne organizacje mają w myśl prawa „prawo kontroli działalności administracji co pozwala im „operatywnie wykrywać i usuwać niedociągnięcia w pracy”. Partyjne organizacje kontrolują naturalnie i związki zawodowe i Komsomoł. Partia kontroluje wszystko i wszystkim kieruje. Tak było powie-

dziane w konstytucji, tak powtórzono teraz w nowym prawie w związku z rozszerzeniem fikcyjnych praw kolektywu.

Realne rozszerzenie praw kolektywu jest związane z ograniczeniem praw członków kolektywu, to jest wszystkich pracujących. Prawo nakłada na kolektyw obowiązek (i właśnie to nazwano rozszerzeniem): powiększania wydajności pracy, wykonywania planu, walki z naruszaniem dyscypliny. Kolektywom dano prawo (obowiązek) przywiązywania robotnika do przedsiębiorstwa, to znaczy dawanie zezwolenia na odejście z pracy, albo odmowy. Tylko za zgodą kolektywu młodzi robotnicy mogą otrzymać skierowanie na wyższe uczelnie lub technikumy — jeśli kolektyw (to jest partorganizacja) nie zechce młody robotnik nie będzie mógł się uczyć. Kolektywowi dano prawo (obowiązek) tworzenia gospodarstw przykładowych i żywienia robotników, zdejmując ten ciężar z pleców państwa. Wreszcie otrzymało prawo zajmowania się ideowo politycznym wychowaniem swoich członków.

Kolektyw, jak to ze wzruszeniem mówiła frezerka-delegat do Najwyższej Rady, N. A. Nowosielowa, „stał się dla nas domem, rodziną i szkołą prawdziwych ludzkich stosunków”. Cel drugiego prawa Andropowa: człowiek sowiecki nigdy nie może być sam — musi pracować i żyć na oczach kolektywu pod kierownictwem partyjnej organizacji.

8 sierpnia *Prawda* opublikowała spis nowych zarządzeń w sprawie podniesienia dyscypliny, zatwierdzony przez KC KPZS, Radę Ministrów i Centralną Radę Związków Zawodowych. Po raz pierwszy po śmierci Stalina mają być zastosowane tak surowe środki dla podtrzymania dyscypliny: za każdy opuszczony bez powodu roboczy dzień odbiera się dzień urlopu; 3 opuszczone godziny pracy liczy się jak opuszczony dzień; robotnik, który przychodzi do pracy pijany — może być natychmiast zwolniony itd. W ten sposób kolektyw otrzymuje szerokie możliwości „wychowywania swoich członków”.

Na odcinku transportu, który może być modelem sowieckiego burdelu „walka o utrwalenie porządku” prowadzona jest pod hasłem: żelaznym drogą — żelazna dyscyplina! Parafrazując można by powiedzieć, że „strategia Andropowa sprowadza się do hasła: Dla systemu sowieckiego — żelazna dyscyplina. W prasie sowieckiej ukazują się, razem z niezliczonymi wezwaniami do wznowienia dyscypliny, rzadkie i nieśmiałe propozycje w sprawie choćby nieznacznego zreformowania skostniałej ekonomii. Ale te wszystkie przedłożenia i rezolucje sprowadzają się do prób podmalowania drzwi karety, którą ciągnie poganiany batem koń. Rezultaty „reform” są wymowne. Pierwszym podarkiem nowego generalnego sekretarza była reforma przedłużająca czas pracy sklepów w miastach sowieckich. To była prawdziwa troska o człowieka: zakazując wychodzenia w godzinach pracy do sklepu za sprawunkami władza dała możliwość zakupu rzeczy niezbędnych po zakończeniu roboty. Dokładniej: dała formalną możliwość. *Literaturnaja Gazieta* Nr 25 wysłała swoich

korespondentów do różnych miast dla zakupu 6 przedmiotów pierwszej potrzeby; chleba, cukru, kartofli, pasty do zębów, lampki elektrycznej, zeszytu szkolnego. Gazeta poprosiła również swoich czytelników o informację ile czasu zajmuje im zakup tych przedmiotów. Zachodni sowietolodzy, w pierwszym rzędzie amerykańscy, lubią układać skomplikowane tablice, grafiki, schematy, porównując „dwa światy — dwa systemy”. I czego by nie porównywali: ilości rakiet atomowych, czynszu mieszkaniowego, kosztów usług lekarskich, cen środków żywnościowych — okazuje się, że w Związku Sowieckim jest często niższy, ale czasami znacznie wyższy standard niż w świecie kapitalistycznym. Nie mówiąc o tym, że jeśli idzie o ilość rakiet, łodzi podwodnych, czołgów, itp. — ZSSR wyraźnie wyprzedza Zachód. I to wszystko się zgadza. Nikomu jednak nie przyszło do głowy porównanie ile czasu zajmuje zakup chleba i kartofli (pomijam lampki elektryczne i pastę do zębów, bez czego można się całkowicie obyć) w kraju dojrzającego socjalizmu i w kraju dojrzającego kapitalizmu. O kapitalizmie *Literaturnaja Gazieta* nic nie pisze (to jest pisze, że tam w ogóle nie można żyć), ale o socjalizmie informuje szczegółowo: W Erywaniu korespondent gazety stał w kolejce po chleb tylko 15 minut, w Baku — 20 minut, w Tbilisi po kartofle trzeba było stać 40 minut. Dobrze wypadło w Aszchabadzie — w ogóle nie było kartofli, a w Saratowie, żeby kupić kartofle trzeba było stać godzinę i 15 minut.

Znakomite wyjście z przedłużonego dnia pracy znaleźli sowieccy sprzedawcy. Wszystkie otrzymywane na dany dzień produkty sprzedają rano, a pod wieczór półki są puste. Sprzedawcy są jakby przy pracy, ale nie mają nic do roboty. Okazuje się, że przedłużenie dnia pracy sklepów bez zwiększenia ilości sprzedawanych produktów nie zmienia sytuacji. W każdym wypadku — tak mogliby powiedzieć wrogowie socjalizmu: w sklepach nie ma produktów. Po kartofle i chleb trzeba stać w długich ogonkach — a więc sytuacja się nie zmieniła. Przyjaciele socjalizmu twierdzą, że sytuacja się zmienia gdyż środki masowego przekazu mówią, że się zmienia. Można więc zrozumieć dlaczego Towarzysz Andropow i wszyscy towarzysze niżej stojący poświęcają tyle uwagi literaturze i sztuce. Zaraz po plenum KC zwołano posiedzenie sekretariatu Zarządu Związku Pisarzy Sowieckich. Liczni sekretarze Związku to wyłącznie wierni pisarze sowieccy, ale nie pozwolono im się zebrać samym. „W pracy sekretariatu wzięli udział: zastępca kierownika oddziału Kultury KC KPZS A. A. Bielajew, przewodniczący oddziału Kultury KC — W. A. Stiepanow; zastępca kierownika oddziału Kultury moskiewskiego miejskiego komitetu... itd.”. Liczba przewodniczących i zastępców (*Literaturnaja Gazieta* z 6 lipca br.) jest niekończąca się. Sekretarze i przewodniczący przypomnieli pracownikom twórczym (jeśli zapomnieli!): „Artysta ma swoją zaszczytną i niezastąpioną rolę w systemie ideologicznej i polityczno-wychowawczej pracy”. W szczególności dano literaturze konkretne zadania — „w urzeczywistnieniu programu żywności-

wego”, to znaczy, żeby więcej pisali, że żywności jest już dużo, a wtedy słowo zamieni się w chleb i kartofle...”.

Sam pierwszy sekretarz Związku Pisarzy, Markow, zaszczycony osobistą rozmową z Andropowem, wspomniął, że plenum KC odkryło u artystów „brak metodologicznej dyscypliny” i wezwał do jej wzmocnienia. Znow wprowadzono stary, stalinowski termin: „Zamówienie społeczne” i wskazano cel: stworzyć heroiczny typ epoki!

Nie przypadkowo *Literaturnaja Gazieta* publikowała na sąsiadujących stronach materiały o posiedzeniu sekretariatu Związku Pisarzy Sowieckich i artykuły o dziwacznych skandalach w Związku Literatów Polskich. Porównanie tekstów nie pozostawia wątpliwości: sowieccy ideologowie przestrzegają: oto dokąd może doprowadzić brak dyscypliny. Artykuły w *Literaturnej Gazecie* są zestawem artykułów opublikowanych w polskiej prasie. Niezmiernie pouczające co z polskich pism wybiera *Gazieta* dla sowieckich czytelników: nazwiska „wrogów socjalizmu” i polskiej literatury (podaje się ich spis), oskarżenia („stworzenie podziemia”, „pismo niezależnych pisarzy pt. *Zapis*”, wydawnictwo książkowe NOW-a, związki z „dywersyjnym centrum w Paryżu, nazywającym się Instytutem Literackim”, związki z „antypolskimi centrami dywersji w Paryżu i Monachium tj. pismem *Kultura i radiostacja Swoboda*”).

Czytając w prasie sowieckiej przekłady tekstów ogłoszonych w innych językach zawsze zadaje sobie pytanie czy przekład jest dokładny? Czy pisał np. Marcin Kowalski w *Trybunie Ludu*, że „na XXI Zjeździe Związku Literatów Polskich w grudniu 1980 roku przewodniczącym Związku został wybrany nacjonalista i 'antysowiec' Jan Józef Szczepański”. Możliwe, że epitety należą do redaktora sowieckiego, ale treść artykułu Kowalskiego, Eugeniusza Banaszczyka i innych podana jest całkowicie wiarę. W sowieckich przekładach specjalnie podkreśla się konieczność „uzdrowienia położenia Związku Literatów Polskich, całkowicie podtrzymuje się „konkretny program” przedłożony przez pisarzy członków PRON, proponujący zwłaszcza wyrzucenie z ZLP tych członków, którzy „współpracują z wrogimi Polsce dywersyjno-propagandowymi centrami”.

Wśród anegdot o Stalinie jest jego rozmowa z towarzyszem Polikarpowem, niegdyś, z ramienia partii, kierownikiem sowieckiej kultury. Towarzysz Polikarpow przyszedł do Stalina i zaczął się skarżyć na pisarzy: Nie to piszą, nie tak piszą, czegoś tam chcą. Posłuchał, posłuchał towarzysz Stalin i powiedział: Idź Polikarpow i dalej kieruj, innych pisarzy dla ciebie nie ma.

Towarzysz Andropow przez swoich i polskich Polikarpowych wskazuje Warszawie: Rządzcie swymi pisarzami! W najgorszym wypadku wybierzcie sobie takich pisarzy, którymi możecie kierować. Towarzysz Andropow przypomina: Pisarze to jeden z ważniejszych instrumentów władzy. Albo — jak wyraził się na plenum: „Znajdujący się w rękach pracowników sztuki potężny

oręż powinien służyć sprawie narodu, sprawie komunizmu. A to znaczy, że w ogromnym stopniu zwiększa się odpowiedzialność pracowników sztuki..."

Żelazna dyscyplina jest niezbędna dla wszystkich.

Adam KRUCZEK

Kronika niemiecka

W NRD mieszka stale, korzystając z paszportów konsularnych, 12 tys. obywateli PRL. W tym gronie jest 3 tys. dzieci w wieku do 18 lat i 4 tys. polskich partnerów małżeństw mieszanych (większość z polskiej strony stanowią kobiety). Na ok. 3 tys. dzieci z małżeństw mieszanych zaledwie 127 dzieci uczęszcza na kursy języka polskiego. ■ Oryginalną polską metodę kucia wałów jednolitych opr. prof. Tadeusz Rut z Poznania. Licencje zakupiły m.in.: Thyssen-Werke, Krupp, Kloeckner i Alfing-Kessler z RFN. ■ Tadeusz Walichnowski popisał się nową pozycją: *Kult rewizjonizmu terytoralnego w polityce i prawie RFN* (Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1983). ■ W pierwszym półroczu 1983 roku przybyło do RFN 9.824 przesiedleńców z Polski. W tym samym okresie ub. roku — 17.943 osób. ■ 125 naukowców zachodniemieckich, głównie historyków, prawników i socjologów podpisało apel skierowany do władz PRL, żądający uwolnienia historyka, prof. Bronisława Gieremka. ■ Rudolf Augstein, wydawca hamburskiego tygodnika *Der Spiegel*, stwierdza w obraźliwym komentarzu: „Watykan, broniąc dogmatów religii chrześcijańskiej, jest winien śmierci wielu więcej ludzi, niż zginęło w Polsce w czasie drugiej wojny światowej. (...) Kult maryjny papieża jest niczym innym, jak tylko obrazą godności ludzkiej, blasfemią”... ■ Od stycznia do czerwca br. wysłano z RFN do PRL — tylko pocztą — 1.014.526 paczek. ■ Filmy — *Eroica* Andrzeja Munka i *Do widzenia do jutra* Janusza Morgensterna prezentowano w zachodniemieckiej TV. ■ Drugi tegoroczny numer znanego dwumiesięcznika literackiego *Akzente*, wydawanego przez monachijski *Hanser-Verlag* otwiera poemat Ryszarda Krynickiego — *Podróż pośmiertna*, w tłumaczeniu Petera Lachmanna. ■ Cieszący się dobrą marką polski zespół jazzowy *Osjan* występował z koncertami w Akwizgranie i Stuttgarcie. ■ Blisko 80 % obrotów Związku Sowieckiego z krajami zachodnimi przypada na państwa należące do EWG; dominuje RFN (6,6 mld rubli); najważniejszym partnerem handlowym Sowietów wśród państw RWPG jest NRD (wzajemne obroty 12,2 mld rubli). ■ Hegla Hirsch, politolog, obroniła na Uniwersytecie w Bremie pracę doktorską (*summa cum laude*), poświęconą sprawom polskim — *Politische Opposition und unabhängige gesellschaftliche Bewegungen in Polen 1976-1980* (Polityczna opozycja i niezależne ruchy społeczne w Polsce 1976-1980). Praca warta wydania w języku polskim. ■ W NRD wydają *Aforizmy* — tom zbiorowy, zawierający utwory Stanisława Leca, Antoniego Marianowicza i Janusza Osęki. *Wybór wierszy* Urszuli Kozioł, *Doskonała próżnia*

Stanisława Lema, *Ukochany z księżycy* Adama Hollanka, *Dzień, noc i pora nocy* Ewy Nowackiej oraz książka *Maksymilian M. Kolbe* — Marii K. Strzeleckiej. ■ Dr Krystyna Graef-Cieślak, polska lekarka-pediatra z Frankfurtu n/Menem, która od 1981 roku prowadzi zakrojoną na szeroką skalę akcję pomocy klinikom pediatrycznym w Warszawie i Łodzi (urządzenia medyczne, lekarstwa, odżywki o łącznej wartości ok. 10 mln marek) zerwała współpracę z frankfurckim Towarzystwem Obrony Praw Człowieka (IGFM). Wcześniej z Towarzystwa wystąpili profesorowie — Władysław Bartoszewski (Warszawa) i Andrzej Zięba (Wiedeń). ■ Nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego ukazała się praca Jerzego Skibińskiego pt. *Problemy normalizacji stosunków NRD-RFN*. W książce Skibińskiego znajdujemy ciekawy fragment: „Ożywienie, jakim w NRD cieszy się tematyka Prus, odbierane jest przez polską opinię z mieszanymi odczuciami i wywołuje zrozumiałe skojarzenia z negatywną rolą państwa pruskiego, jaką odegrało ono w historii Polski, szczególnie w dobie rozbiorów”. ■ Prawie 50 % uczniów szkół zachodniemieckich jest zdania, że NRD jest osobnym państwem (według ankiety *Infratest*). ■ Krakowskie graficy wystawili swoje prace w norwimerskiej *Kunsthalle*. ■ Według informacji bońskiego MSW — promoskiewska *Niemiecka Partia Komunistyczna* (DKP) jest głównym inspiratorem większości manifestacji „pokojowych”. ■ Czterech kadetów *Marynarki Handlowej* uciekło z polskiego statku i poprosiło o azyl w Szwecji. ■ Władysław Bartoszewski i Witold Wirpsza wystąpili w Hamburgu na imprezie zatytułowanej *Pole, wer bist Du?* (w związku z nowym wydaniem książki Wirpszy o tym samym tytule), zorganizowanej przez *Akademii Katolicką*. Z tej okazji były głośne protesty czynników oficjalnych PRL. Zarzuty: wystawa plakatu antyhitlerowskiego, na którą Muzeum Narodowe przysłało ekspozycję, „została nadużyta dla celów propagandowych” (wystąpienia Bartoszewskiego i Wirpszy miały miejsce w „ramach” tej wystawy, która potem ruszyła w objazd). Protestowano także przeciwko tytułowi panelu, choć „nie miano zastrzeżeń co do prelegentów”. ■ W Warszawie zbudowany będzie szpital ewangelicki. Z inicjatywą budowy takiej placówki wystąpił działający w Szwecji *Polski Instytut Ewangelicki* oraz utworzony w RFN komitet odbudowy szpitala ewangelickiego w Warszawie. Strona szwedzko-niemiecka zadeklarowała ufundowanie szpitala z pomocą ewangelików z gmin wyznaniowych w zachodniej Europie. ■ *Miss Germany '83* została 20-letnia Loana Radecka z Berlina Zachodniego. Drugie miejsce w konkursie piękności zajęła 19-letnia Claudia Zielińska z Lüneburgu. Dalsze miejsce zajęła Anita Kowalska z Bremy... ■ Reżyser i choreograf, Henryk Tomaszewski, zaproszony został przez *Ernst-Deutsch-Theater* w Hamburgu, gdzie wyreżyseruje przedstawienie *Historii konia*. ■ Zachodniobierliński *Oberbaum Verlag* wydał tomik wierszy Ewy Lipskiej z grafikami Heleny Szackiej-Bohle. Wstęp do zbioru wierszy pt. *Auf den Dächern der Mausoleen* (Na dachach mauzoleów) napisał Karl Dedecius. Ewa Lipska jest stypendystką *Niemieckiej Służby Wymiany Akademickiej* (DAAD). ■ Ryszard Wojna usilnie zabiega o wznowienie polsko-zachodniemieckich konferencji, znanych pod nazwą *Forum PRL-RFN*. Współpracownik hr. Dönhoff, dziennikarz Peter Bender, użala się w artykule ogłoszonym na łamach hamburskiego tygodnika *Die Zeit*, iż nacisk moralny, wywierany bardzo silnie na RFN ze strony polskich patriotów „głównie żyjących na emigracji, często noszących pięknie brzmiące nazwiska”, „osiągnął granice naszej wytrzymałości”. Bender nie wyjaśnia bliżej, o co mu chodzi. ■ Rysunki i kolaże Marii Dziubińskiej (Wrocław), wystawiła kolońska *Inter-art-Galerie*. Polska plastyczka postanowiła pozostać w RFN na stałe. ■ Zachodniobierliński *Czerwony Krzyż* dostarczył trzema ciężarówkami żywność dla młodzieżowego ośrodka wakacyjnego w pobliżu Krosna. ■ W *Domu im. Janusza Kor-*

czaka w Bremie uruchomiono *Polskie Centrum Informacyjne*. Kierownikiem Centrum został Ludwik Kozłowski, germanista, b. kierownik Teatru LOGOS w Gdańsku. ■ Prof. Maria Wawrykowa, historyk z Warszawy, wykładała w letnim semestrze '83 na Uniwersytecie im. J. Gutenberga w Moguncji, w ramach programu pn. *Schwerpunkt Polen (Punkt ciężkości — Polska)*. ■ Kolońska grupa *Solidarität mit Solidarność* organizuje ogólnoniemiecką akcję protestacyjną przeciwko więzieniu przez reżym Jaruzelskiego działaczy *Solidarności* i KSS „KOR”. Protest podpisali m.in.: Günter Grass, Lew Kopelw i Zdenek Mlynař. ■ Nowa trasa zaopatrzenia dla sowieckich wojsk stacjonowanych w NRD: Związek Sowiecki i NRD inwestują poważne sumy w projekt połączenia promowego (Kłajpeda-Sassnitz) pomiędzy tymi dwoma państwami, przy czym to morskie połączenie ma w wyraźny sposób omijać polskie porty. Warto przypomnieć w tym miejscu, że również gazociąg, który ma dostarczać syberyjski gaz do Europy Zachodniej poprowadzony został okólną drogą przez CSSR do Austrii i dalej na zachód, omijając terytorium PRL. W tym samym celu rozbudowuje się linie kolejowe w Czechosłowacji. ■ Wschodnioniemieccy archeologowie odkryli podczas prac wykopaliskowych nad Löddigse w pow. Schweinin resztki świątyni słowiańskiej z XI wieku. ■ Doktoraty *honoris causa* Uniwersytetu w Bonn nadano prof. Ryszardowi Manteufflowi i prof. Szczepanowi Pieniążkowi. ■ Po raz pierwszy od zakończenia drugiej wojny niemieckiemu teologowi, Josefowi Georgowi Zieglerowi z Moguncji, polska uczelnia, w tym wypadku *Akademia Teologii Katolickiej* w Warszawie przyznała tytuł *honoris causa*. Władze PRL wyraziły zgodę na wyróżnienie zachodnioniemieckiego naukowca. ■ W monachijskim wydawnictwie *Johannes Berchmans Verlag* ukazała się interesująca praca zbiorowa niemieckich i polskich naukowców pt. *Der polnische Freiheitskampf 1830/31 (Walka Polaków o wolność 1830/31)*. Autorzy: Stefan Kieniewicz, Georg W. Strobel, Gerard Kozielek, Henryk Kocój, Jan Ziółek, Sławomir Kalembka, Siegfried Rother, Enno Meyer. Wstęp napisał Peter Ehlen. ■ Przez kilka tygodni przebywał w różnych miastach NRD i RFN Benedykt Kłoskowski, kierownik niemieckiej sekcji wydziału zagranicznego Stowarzyszenia PAX. Kłoskowski nawiązał kontakty z zachodnioniemieckimi organizacjami katolickimi (*PAX Christi*), gazetami (*Frankfurter Allgemeine, Frankfurter Rundschau*), wyższymi uczelniami i organizacjami humanitarnymi (*Caritas*). Emisariusz PAX-u podkreślał „olbrzymie zasługi” Zenona Komendera i reklamował *Słowo Powszechne* jako „jedyną pismo katolickie między Elbą i Władywostokiem”; rozdawał jego 100-stronicowe wydanie miesięczne w języku niemieckim — *Das katholische Leben in Polen*. PAX zamierza otworzyć swoje biuro najpierw w Kolonii. (Z racji rzekomo dobrych kontaktów z *Rozgłosnią WDR*), a następnie ewentualnie we Frankfurcie n/Menem. Wkład PAX-u w zbliżenie polsko-niemieckie ma polegać na wymianie i programie wizyt młodej generacji urodzonej w latach 50-tych i 60-tych. Jako instytucję kompetentną w sprawie pomocy więźniom politycznym w Polsce Kłoskowski wskazał *Misję Wojskową PRL* w Berlinie Zachodnim... *Wysłannik PAX-u* odbył również rozmowy z polskimi księżmi w RFN. ■ Członkowie chóru chłopięcego z Kilonii ofiarowali *Klinice Chirurgii Serca Instytutu Kardiologii Akademii Medycznej* w Poznaniu nowoczesny aparat płuco-serce wartości 82 tys. marek. ■ Według szacunków dostawy artykułów rolno-spożywczych z PRL pokrywają obecnie zapotrzebowanie Berlina Zachodniego zaledwie w jednym procencie. ■ Polski film *Dolina Issy*, w reżyserii Tadeusza Konwickiego, osnuty na tle znanej powieści Czesława Miłosza, został zaprezentowany na festiwalu filmowym w Monachium. ■ Dzięki staraniom bońskiej sekcji *Amnesty International* przybył do RFN na leczenie Emil Morgiewicz, prawnik i publicysta, członek KSS „KOR”. Morgiewicz był jednym z głównych oskar-

żonych w procesie *Ruchu*; skazany i więziony w latach 1970-1974; internowany w grudniu 1981 roku. ■ Arno Gill z Fryburga Bryzgowijskiego, emerytowany profesor historii, potrafił zebrać i wysłać do polskich szpitali lekarstwa, środki opatrunkowe i sprzęt medyczny o łącznej wartości 15 mln marek. ■ Prasa zachodnioniemiecka donosi, że rząd PRL domaga się od krajów EWG i USA rekompensaty strat (ok. 30 mld marek), wynikłych z sankcji gospodarczych, nałożonych na Polskę po wprowadzeniu przez juntę Jaruzelskiego stanu wojennego. ■ Dzięki staraniom Stowarzyszenia „Partnerstwo” w Karlsruhe 2.700 dzieci w wieku szkolnym z diecezji katowickiej i archidiecezji krakowskiej spędziło wakacje w ośrodkach wypoczynkowych w RFN. Koszty pobytu zostały pokryte przez bońskie Ministerstwo Rodziny, stuttgartzkie Ministerstwo Kultury, *Caritas* i inne organizacje humanitarne. Dzieci, które znajdują się pod opieką polskich księży, otrzymały zezwolenie na wyjazd dosłownie w ostatniej minucie. ■ W Berlinie Zachodnim odbyła się na apel artysty norweskiego Victora Sparre głódówka protestacyjna pod hasłem *Ratunek dla Sacharowa*. W głódówce wzięło udział 25 osób z różnych krajów, m.in. przewodnicząca Komitetu Nagrody Nobla, Aase Lionaes. Akcję poparły również polskie organizacje: Komitet Obrony Solidarności (dwutygodnik *Pogląd*) i zachodniobermberska Grupa Robocza NSZZ Solidarność. ■ Pobyt wakacyjnym i wypoczynkowym w NRD objętych będzie w bież. roku 100 tys. młodych Polaków, w tym 10 tys. studentów przebywać będzie na „obozach wypoczynku i pracy” (praca — 8 godz. i 45 min. dziennie!). Praca dla pozostałej młodzieży w wieku od 15 do 18 lat — 6 godzin dziennie, głównie przy sadzeniu i oczyszczaniu lasów. Przewodniczący ZSMP, Jaskiernia, powiedział w wywiadzie radiowym, że na mocy umów między Warszawą a Berlinem Wschodnim ustalono współdziałanie w sferze wychowania „internacjonalistycznego”. Gospodarzami dzieci i młodzieży z PRL (głównie z rodzin aktywistów partyjnych, funkcjonariuszy MO i ZOMO) są wschodnioniemieckie komunistyczne organizacje młodzieżowe: *Pionierzy im. Thälmana, Freie Deutsche Jugend (FDJ)* i organizacja związków zawodowych FDGB.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Prezydent Reagan, na mocy uchwały Kongresu N 201, ogłosił dzień 14 czerwca 1983 „Nadbałtyckim Dniem Wolności” (*Baltic Freedom Day*), i jeszcze raz zapewnił, że USA nigdy nie uznają podboju państw bałtyckich. W przemówieniu do przedstawicieli Bałtów amerykańskich przypominał, że okupacja państw bałtyckich nastąpiła na skutek spisku między Związkiem Sowieckim a hitlerowskimi Niemcami, dodając, że 14 czerwca jest rocznicą rozpoczęcia w roku 1941 masowych deportacji Bałtów, że obecnie prowadzi się w tych krajach kolonizację i russyfikację. (Dodajmy, że w owych czerwcowych deportacjach na Syberię, procentowo najbardziej była dotknięta polska ludność Litwy, w tym i Wilno). ■ Przywódca emigracji litewskiej, dr Bobelis, zwrócił się pisemnie do rządów Anglii, Niemiec Zachodnich, Australii, i otrzymał zapewnienie, że rządy te nie uznają

de jure włączenia Litwy do Związku Sowieckiego. ■ Socjaldemokratyczny *Stuttgarter Zeitung* oburza się na prezydenta Reagana, że obiecując nieuznawanie sowieckiego jarzma, jako stanu stałego, nawraca do hasła zimnowojennych, zagrażając *status quo*, i złagodzeniu napięcia między mocarstwami. ■ W kwietniu br. w parlamencie szwedzkim minister spraw zagranicznych Bodström oświadczył, że „poważna sytuacja w ciągłej rusyfikacji republikach bałtyckich jeszcze się pogorszyła i że należy potępić prześladowanie „aktywistów broniących praw obywatelskich” oraz żądać właściwej interpretacji uchwał z Helsinek. Rząd szwedzki pragnąłby nawiązać bliższe stosunki handlowe i kulturalne z tymi krajami, nie będzie jednak interweniował w O.N.Z. ■ W prasie szwedzkiej ukazało się wiele artykułów o dotychczas prawie przemilczanej Nadbałtyce. Podkreśla się z zadowoleniem, że w komunikacie meteorologicznym po raz pierwszy mówi się o depresji atmosferycznej na Litwie, a nie w północnej Rosji, jak to było formułowane uprzednio. ■ O Litwie pisze się w prasie zachodniej coraz częściej i bardzo rozmaicie. Podczas, gdy zazwyczaj relacje nie pomijają rusyfikacji — korespondent *The Weekend Australian Magazine* podaje, że rząd sowiecki popiera wszelkie nacjonalizmy (prócz żydowskiego) uważając, że w republikach bałtyckich będzie to bardziej skuteczne, gdyż indoktrynacja marksizmu-leninizmu nie daje wyników, a kultywowanie nacjonalizmów i zagrożenia amerykańską bombą jest pewnością podstawą ustroju. Wydaje się, że korespondent dał się wprowadzić w błąd swym informatorom, bo opisując sławne kowieńskie muzeum diabłów, pisze, że oprócz figur diabłów znajdują się w nim wyciosane z drzewa postacie w strojach średnio-wiecznych przedstawiające „filozofów”, umieszczonych na słupkach na rozstajnych drogach. Korespondent nie wie, że chodzi tu o tradycyjnych „smutkelisów” — kapliczki przydrożne z głową Chrystusa Ukrzyżowanego — a nie żadnych „filozofów”. Dochodziły z Litwy wieści o prześladowaniach za obronę kapliczek ze „smutkelisem” (Zasmuconym Jezusikiem). ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* uzyskał wywiad w republikańskim ministerstwie spraw zagranicznych mieszczącym się w Wilnie, z którego dowiadujemy się, że prasa zachodnia niesłusznie pisze o prześladowaniach religijnych, podczas gdy w Litwie współżycie z klerem jest dobre, gdyż wśród księży jest tylko kilku „ekstremistów”. Radia zagraniczne wciąż mówią o „Kronice Kościoła Katolickiego na Litwie”, a tutaj nikt tego wydawnictwa nie czyta, bo wychodzi ono w trzech egzemplarzach, z których jeden jest przesyłany pocztą dyplomatyczną do radia watykańskiego. Przedstawiciele duchowieństwa mogą co roku jeździć do Rzymu. Na pytanie, czy będą mogli pojechać do Polski, by spotkać Papieża, odpowiedź brzmiała: „A po co? — przecież mogą jeździć wprost do Watykanu... O biskupie Stepanavičiusie napisano, że bardzo się już postarzał i nie jest zaliczany do ekstremistów. Zakaz nauczania religii poza domem dla młodzieży do lat 18 został o tyle złagodzony, że młodzi w wieku 15 lat, o ile porzucili szkołę i na siebie zarabiają, mają prawo służyć do mszy. Na pytanie o stosunek do papieża-Polaka, w odróżnieniu do jego włoskich poprzedników wyjaśniono: „Papież jest realistą, bardziej skłonny do łagodzenia konfliktów, niż do ich zaogniania. Z tej racji jego druga wizyta do Polski jest celowa. Jako Polak winien się troszczyć, aby kraj przemógł kryzys. Nie zanoszi się na zasadniczy zwrot we wschodniej polityce Watykanu. Papież jest człowiekiem bardzo wykształconym i dobrym mówcą. Jako Polak życzy On swemu krajowi — jak najlepiej”. W innej korespondencji L. Wieland, porównuje Ostrą Bramę z grotą w Lourdes, a także z cudownym obrazem NMP na Jasnej Górze. Przypominając historię Litwy i jej związki z Polską, podkreśla ogromną różnicę w dzisiejszym położeniu tych dwóch krajów. Litwini z uczuciem zazdrości, ale i nadziei, śledzą zza kordonu drugą już podróż Papieża do kraju rodzinnego. Radio watykańskie nadaje na krótkich

falach programy w języku litewskim. W sytuacji katolików litewskich ocenianych na dwa miliony, nastąpiła ostatnio pewna poprawa. Władze zgodziły się na nieznaczne powiększenie liczby kleryków (91) jedyne seminarium duchowne. Głębokim echem odbiło się na Litwie mianowanie kardynałem 87-letniego arcybiskupa Rygi, stolicy sąsiedniej Łotwy. Na Litwie w dalszym ciągu żyje wiele rodzin polskich, lecz autor nie podaje danych statystycznych. W kioskach z gazetami można dostać czasopisma z PRL. Jednocześnie wciąż wychodzi wydawane na zasadzie samizdatowej tajna „Kronika Kościoła Katolickiego na Litwie”. W uliczce wiodącej do „Ostrej Bramy” klęczą nie tylko stare kobiety i mężczyźni, pamiętający lepsze czasy, ale także bardzo liczna młodzież, która stroni od organizacji komunistycznych. Pełne też są w niedzielę i święta inne, nieraz pięknie odrestaurowane i utrzymane kościoły wileńskie. ■ Według późniejszych wiadomości, wizyta papieska w Polsce wzbudziła na Litwie wielkie zainteresowanie. Polskie programy telewizyjne były lepiej widziane z Kowna niż z Wilna. Dawniej bardzo ożywiony ruch turystyczny między obu krajami, prawie zamarł. Dotyczy to również Polaków na Litwie, pragnących odwiedzić swych krewnych w Polsce. Obszernie komentowane na Zachodzie zaprosiny Papieża, by odwiedził Litwę są w Wilnie traktowane jako gest grzecznościowy, nie mający szans realizacji. ■ Prócz ograniczeń kontaktów polsko-litewskich, na ogół ograniczono emigrację do minimum. 14 rodzin czeka na wyjazd do USA dla połączenia się z krewnymi. 46 rodzin daremnie czeka na wyjazd do Izraela. ■ Litwa, podobnie jak jej północni sąsiedzi, miała do niedawna wyższy standard życiowy niż reszta Związku Sowieckiego. Obecnie ta różnica się zmniejsza. Statystyki sowieckie za pierwszy kwartał 1982 roku wykazują, że produkcja mięsa sektora upaństwowionego od czterech lat ustawicznie spada. Produkcja mleka też spada a urodzaj zbóż był marny. Łączyło się to z następstwami nałożonego przez rząd centralny obowiązku wzmocnienia wywozu z Litwy produktów żywnościowych do Polski mającej trudności. ■ Zaopatwienie w towary lepszej jakości pogorszyło się z racji ograniczenia obrotów handlowych z Polską. Sytuacja mieszkaniowa jest nadal na Litwie lepsza niż w Rosji. Względna jednolitość ludności Litwy, silne poczucie narodowe i wzajemna więź poprzez Kościół katolicki, pozwoliły zachować pewne struktury i tradycje. Jednak wpływ ideologii ateistycznej, kolektywizacja wsi, urbanizacja, wprowadzanie języka rosyjskiego do szkół podstawowych, spychanie aktywnych jednostek do sytuacji konfliktowych i ponoszenia skutków represji... wszystko to osłabia odporność. (Tajna *Auśra* pisze, że największym niebezpieczeństwem, jest niedocenianie rozpyłnienia się w morzu słowiańskim). ■ Profesor amerykański T. Oleszczuk bada ruchy dysydenckie i ich zwalczanie w Związku Sowiekim. Bierze on za obiekt swych studiów Litwę, bo tam ruch oporu jest najtrwalszy (w Moskwie po paroletnim ożywieniu prawie zamarł), najbardziej masowy, gdyż ogarnia 20 % ludności i największy jest o nim dokumentacji. W latach 1978-80 najdłuższe wyroki otrzymał Litwini i Ukraińcy. Przeciętny skazaniec z Litwy, po obliczeniach mywali Litwini i Ukraińcy. Przeciętny skazaniec z Litwy, po obliczeniach komputerowych to: w 85 % mężczyzna, w 98 % Litwin, w 70 % mieszka-niec miast i w 87 % związany z ruchem narodowym. ■ Amerykańskie badania komunikacji pocztowej z Rosją wykazały wiele nadużyć i szikan stosowanych w Sowietach. Przekazy polecane są podpisywane przez KGB chociaż przebywa pod właściwym adresem, część zawartości paczek ginie pod takim czy innym pozorem. Do znanych dysydentów pocztą z zagranicy w ogóle nie dochodzi. Na Litwie zostały ogłoszone zniewielzone przepisy zabraniające wysyłania za granicę wszelkich wydawnictw, zwłaszcza periodycznych, drukowanych przed 1945 rokiem. Późniejsze można wysyłać po jednym egzemplarzu pod opaską. Pocztówki można pakować nawet po

10 egzemplarzy, byle każda była inna. Nie można w ogóle wysyłać encyklopedii, albumów artystycznych, a książki jedynie za pozwoleniem ministerstwa kultury i nie więcej jak trzy sztuki. ■ Parlament Europejski uchwalił w styczniu, że nie uznaje inkorporacji państw bałtyckich do Związku Sowieckiego i że należy przesłać w tej sprawie wniosek do komisji dekolonizacji O.N.Z. Ostatnia konferencja ministrów spraw zagranicznych „dziiesiątki”, pod przewodnictwem niemieckiego ministra Genschera, nie wykonała tego zalecenia. Pół-oficjalne wyjaśnienie: przy obecnym składzie komisji i nastrojach w krajach trzeciego świata, wniosek taki byłby odrzucony, co nie byłoby korzystne dla sprawy. Spośród 10-ciu państw zrzeszonych — 8 nie uznaje inkorporacji. Referentem wniosku o państwach bałtyckich w parlamencie europejskim był Otto von Habsburg, w związku z czym prasa litewska przypomina, że Habsburgowie mają w sobie trochę krwi litewskiej po córce Olgerda, a siostrze Jagiełły, której córka wyszła za mąż za Habsburga. ■ Na zjeździe międzynarodówki socjalistycznej pod przewodnictwem b. kanclerza W. Brandta, wybrano honorowym prezesem dr. Bruno Kalniņa, łotewskiego socjalistę dysydenta, przebywającego w Sowietach. ■ W litewskiej prasie emigracyjnej ukazał się artykuł o wrogich sąsiadach: Litwini zamieszkali w Republice Białoruskiej są bardzo uciskani, a emigracja białoruska rości pretensje do całej Wileńszczyzny. ■ Czy to pod wpływem solidarności z Solidarnością, czy w związku z kapeluszem kardynalskim dla Łotysza danym przez polskiego Papieża, w każdym razie stosunek Łotyszów do Polaków zmienił się na lepsze. Na przykład w audycji łotewskiej w Australii nadano obszerną, przychylną pogadankę o Polsce, a są i inne oznaki. ■ W dniach 24 czerwca - 4 lipca bież. roku odbył się w Chicago zjazd Światowej Litewskiej Społeczności pod nazwą „Dni Litewskie”, które mają już swoją tradycję. W tzw. sejmie wzięło udział stu kilkunastu delegatów z 16 krajów (bez Szwecji i Nowej Zelandii). Sejm ten jest centralną organizacją społecznych rozsiadanych na czterech kontynentach. Wśród uchwał sejmu zalecono m.in.: uzgadnianie działalności nie tylko z Łotyszami, ale również z Ukraińcami oraz „śledzenie polskich dążeń politycznych i reagowanie na ich bezpodstawne pretensje”.

E. ŻAGIELL

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

„PODRÓŻ DO BURMY”

Dziennik

pisany w czasie trzytygodniowej tury odczytowej na temat Rosji i komunizmu (13 maj - 8 czerwiec 1952), na którą zaproszono autora po ukazaniu się *Innego świata* w języku angielskim.

Str. 70.

Wyd. PULS PUBLICATIONS, LONDYN, 1983

Kronika kulturalna**E pur si muove !****SCHYLEK LITERATURY EMIGRACYJNEJ CZY POCZĄTEK NOWEGO ROZDZIAŁU?****Główny adres literatury polskiej**

Jaki jest obecnie główny adres literatury polskiej? Kraj — czy emigracja? Po grudniu 1981 pytanie to pada coraz częściej i w pełni jest uzasadnione, jeśli u podstawy leży troska o *jakość* i *wagę* produkcji wydawniczej, a nie fryzowane dane statystyczne dostosowywane do życzeń generała Jaruzelskiego.

Na oczach naszych dokonało się przeobrażenie literatury tworzonej przez pisarzy dochodzących do głosu poza Krajem w *wolną literaturę polską*. Składają się na nią utwory pisarzy kilku generacji czynnych obecnie lub przemawiających zza grobu, o różnych adresach i powiązaniach, należących do różnych grup literackich lub działających w pojedynkę. Od kilkunastu lat poza Krajem i poza cenzurą szukają i znajdują wydawców pisarze krajowi i napływający masowo nowi emigranci. Wydawnictwa podziemne korzystają skwapliwie z możliwości przedruków za granicą, przeznaczonych w ich intencjach na powrót do kraju. Historia literatury podpowiada porównania z XIX wiekiem, gdy piśmiennictwo krajowe wegetowało, a wolna literatura szmuglowana była do Polski umiejętniej niż dziś. W obecnej fazie występuje jednak różnica zasadnicza: ton nadają teksty powstałe w *Kraju* i inspirowane przez wydarzenia aktualne, podczas gdy w latach Wielkiej Emigracji Kraj był *odbiorcą*, a nie *producentem* utworów o zasadniczym znaczeniu. Dlatego mówić można i chyba należy o *literaturze polskiej poza Krajem* i *poza cenzurą*, jako o terminie nadrzędnym, rezerwując termin *literatura emigracyjna* dla schyłkowych przejawów emigracji powrześnie-

wej. Choć i ona zasługuje na uważną ocenę. Przypomnieć warto, że już około roku 1970 opublikowane były główne zrzęby tego, co dziś stanowi o *prestżu* współczesnej literatury polskiej, a co — pisma Gombrowicza, Miłosza, Wierzyńskiego, Wata, Mrożka, Herlinga-Grudzińskiego — powstało i wydane zostało poza Krajem.

Wolna literatura polska, rozrastająca się na naszych oczach, jest czymś więcej niż wypełnianiem luk w literaturze krajowej czy też luźnym jej suplementem. To raczej niektóre tytuły opublikowane w PRL-u, np. pisma „klasyków” czy przekłady, uzupełniają produkcję emigracyjną nielicznymi pozycjami trwałymi. Prestiż wydawnictw krajowych, z wyjątkiem „Znaku”, „Więzi” i placówek pokrewnych, zachwiał się i podupadł; zapowiedzi wydawnicze nie wróżą rewelacji, choć ze względów taktycznych wprowadzono do nich smakowite *hors d'œuvre'y* twórczości starszych wiekiem lub zmarłych pisarzy emigracyjnych. Tyle, ile przełknąć może cenzura, a zaproponować odważają się wydawcy. W planach figurują zapowiedzi pism zebranych Gombrowicza i Miłosza. Publikuje się chybione próby dramatyczne Lechonia i błahe jego listy do znajomych pań — nie ogłasza „Dziennika”. Wierzyński ukazuje się bez „Czarnego poloneza”. „Patrzeć” Czapskiego i „Peregrynacje” Balińskiego — to arcydzieła ostrożnych selekcji.

Skąpe informacje o sesjach naukowych o literaturze emigracyjnej i wypowiedzi specjalizujących się w badaniach nad nią krytyków krajowych świadczą, że nie wyszli z fazy wstępnego (choć żywego) zainteresowania i przypadkowych odkryć, że szukają po omacku i często-gęsto zatrzymują się dłużej przy podsuwanych im utworach, omijając niewygodne ze względu na przypuszczalne veto cenzury. Przemilcza się nadal wielkie połacie literatury emigracyjnej, a więc np. całą literaturę zsyłkową i twórczość pisarzy związanych z RWE i Instytutem Literackim w Paryżu. Świeżej daty wypowiedzi tzw. czynników rządowych w PRL zdają się zapowiadać zaostrenie kursu przeciw „literatom i literaturze w antysocjalistycznej opozycji”. Są one równocześnie dowodem gniewu góry partyjnej i świadectwem bezradności „decydentów”. Nie zapowiadają zelżenia kursu. Do głosu dochodzi otwarcie nienawiść w stosunku do opozycji, a w szczególności do publikujących za granicą pisarzy, w tym elity w osobach Andrzejewskiego, Brandysa, Konwickiego — by ograniczyć się do ulubionych *bêtes noires* — i „młodej literatury”, włącznie z Nową Falą.

Wypowiedzi krajowych „decydentów”

Ogłoszone ostatnio w prasie krajowej wypowiedzi pozwalają na zorientowanie się w intencjach władz PRL w stosunku do polityki wydawniczej w Kraju i pisarzy „niepokornych”. „Kultura

demokratyczna”, której oficjalnym wodzem jest minister Kultury i Sztuki, prof. Kazimierz Żygulski, wypowiada się z rozmysłem i powoli. Wiadomo: o zasadniczych posunięciach decyduje nie minister i nawet nie partia, ale „oni”.

Polityka (nr 25 z 18 czerwca) przynosi autorytatywne wypowiedzi na temat polityki wydawniczej w wywiadzie Zdzisława Pietrasika ze wspomnianym wyżej ministrem Żygulskim. Oto bardzo istotny fragment:

Pytanie: ... Czy uda się kiedyś zmienić obecną sytuację, która polega na tym, że księgarnie są pełne, a nie ma książek?

Odpowiedź: Sytuacja na rynku księgarskim jest dobrze znana i trzeba wreszcie spokojnie przyjąć prostą prawdę, że wieloletnich zaniedbań nie można od razu nadrobić. Książek jest obecnie więcej niż w ubiegłych latach, w tym i bardzo wartościowych tytułów, w bieżącym roku liczymy znowu na 10 % wzrost — ale nie pokryje to zapotrzebowania, które nieustannie rośnie.

(Tu nasuwa się potrzeba dwu komentarzy: 1) księgarnie są zawałone „ceglami”, którymi nie interesują się ani normalni klienci, ani czarny rynek; 2) statystyczny Polak tkwi nadal na ostatnim miejscu w Europie, jeśli idzie o ilość egzemplarzy od łebka).

Pietrasik pyta dalej:

Pytanie: Coraz mniej wydajemy przekładów, czy nie grozi nam izolacja od światowej literatury?

(Tu można by wyręczyć Ministra Ż. i odpowiedzieć, że nie grozi, bo już jest faktem. Minister wyraźnie się obruszył, bo lakonicznie odrzucił:

Odpowiedź: Nie grozi. Będziemy systematycznie zwiększać ilość przekładów z obcych literatur.

Pietrasik włączał niewątpliwie literaturę emigracyjną do „światowej”, bo nie zadowolili się odpowiedzią i dalej indagował:

Pytanie: Powiedzieliśmy sobie, że polska kultura jest jedna. Czy poprzestaniemy jednak tylko na wydawaniu wierszy Miłosza? Jakie pozycje literatury emigracyjnej zasługują na to, aby do nas dotrzeć, a jakie, zdaniem pana ministra, docierać nie powinny?

Odpowiedź: Nie orientuję się na tyle w literaturze emigracyjnej, aby tu wymieniać konkretne pozycje. Sądzę, że kryteria wydawania są oczywiste: takie same jak dla utworów powstających w kraju.

Szczerość ministra Żygulskiego jest rozbrajająca: „nie orientuje się w literaturze emigracyjnej”... „Sądzi [a więc przypuszcza], że kryteria wydawania są oczywiste”... Podobnie, choć nieco jaśniej, wypowiada się inny autorytet PRL-owski, tow. Witold Nawrocki, kierownik Wydziału Kultury KC PZPR.

Partia wie lepiej

Życie Literackie (26 czerwca br.) ogłosiło fragmenty pouczeń tego właśnie dygnitarza wygłoszone „na naradzie kierowniczego aktywu partyjnego wydawców”. W długim i mętym oświadczeniu Nawrocki kilkakrotnie poruszył sprawę stosunku do literatury emigracyjnej. Zapewnił na wstępie, że IX Zjazd zezwala na „pełną swobodę wypowiedzi w twórczości i pełny społeczny obieg dzieł”. Pięknie! — przecieramy ze zdumienia oczy. Dalej jednak czytamy znamienne zastrzeżenie: „o ile w swej wymowie nie są wrocie socjalizmowi”. Dalej — w oparciu o wypowiedzi gen. Jaruzelskiego — Nawrocki precyzuje zakazy:

Nie może więc być miejsca dla tekstów pełnych politycznych pomówień, dla jawnych manifestacji antyradzieckich, dla orwellowskich oskarżeń pod adresem komunizmu i naszych rozwiązań społeczno-politycznych, dla wykorzystywania historii do manipulacyjnych działań w subtelnej i wrażliwej materii narodowej świadomości.

Potępił następnie „polityczny pluralizm, na które to pojęcie pojawiła się u nas w minionych paru latach szczególna moda” (tu powołał się na przemówienie gen. Jaruzelskiego na zakończenie obrad XII Plenum).

W miarę czytania wypowiedzi tow. Nawrockiego wyłaniają się coraz dalsze zastrzeżenia. W „pełnej swobodzie wypowiedzi w twórczości” nie ma miejsca na „uwikłania polityczne” a „wyprowadzona na emigrację literatura” jest „jednym ciągiem porażek artystycznych”. Wydawcy krajowi, do których się zwracać, „muszą i powinni” przeciwdziałać wkraczaniu na rynek literatury obiegu pozaoficjalnego i „nowszej literatury emigracyjnej”. „Nie ulega zmianie — ciągnął swe wywody — nasze pryncypialne stanowisko wobec utworów literackich o wymowie wrocie socjalizmowi, bądź też o treściach antyradzieckich”. Jako przykłady słusznych „ingerencji cenzuralnych” ostatniej daty wymienił: Adolfa Rudnickiego „Sto lat temu umarł Dostojewski”, Krystyny Nepomuckiej „Mydło z łabędziem” (jako „niesprawiedliwy, tendencyjny i drwiący obraz lat powojennych”) i Piotra Lachmanna „Niewolników wolności” (jest to tom wierszy, w którym autor określony przez Nawrockiego jako „ten Niemiec [który] ciągle jeszcze pisze po polsku”, dał „polityczny komentarz do wydarzeń w kopalni 'Wujek', przeraźliwą, smutną i tendencyjną wizję współczesnych Katowic, miasta sadzy, tanich kurew i 'morderców czarnych mordów'”).

Kłopoty z „młodą literaturą”

Kłopotliwym problemem jest dla tow. Nawrockiego „młoda literatura”. Zamiast zajmować się problematyką robotniczą w partyjnym ujęciu i przeciwdziałać „ideowej ofensywie rozwijanej przez Kościół katolicki i szerzącemu się w naszym społeczeń-

stwie religianctwu”, „wśród młodych grasuje opozycja polityczna, mnożąc ilość połamanych życiorysów”. „Młoda literatura” jest dla Nawrockiego „polem niczym”, „pozostawiona sama sobie”, „lekceważy lub nie docenia usiłowania wydawców”, „dążących do wprowadzenia jakichś systemowych rozwiązań”.

Stan faktyczny jest inny. Nikły udział debiutantów i młodych pisarzy aż po czterdziestkę nie oznacza bynajmniej literackiego nieurodaju. Przekonali się o tym doświadczalnie członkowie tegorocznego Jury Nagród Fundacji im. Kościelskich w Genewie, stawiający kandydatom, zgodnie ze statutem, wyraźny limit wieku: poniżej 40 lat. Stanęli oni wobec trudnego wyboru laureatów spośród branych pod uwagę nazwisk. Byli wśród nich prozaicy, ale przeważali poeci. Nic w tym nowego. W okresach przełomów politycznych poezja towarzyszy śpieszniej wydarzeniom! Jeśli uznamy sytuację aktualną za początek nowego rozdziału historii literatury, przypomną się słowa Norwida:

Nieobecność — prozy jest pierwszym wielkim pojawem na początku wszystkich literatur. Człowiek od pierwszego na świat kroku wchodzi jako zupełna postać umysłowa: jest poetą! I innego my umysłowego człowieka nie znamy udowodnie na początku dziejów, jedno poetę!

(z „Mileczenia”)

Zbiega się to zadziwiająco z wierszem Lothara Herbsta:

...i dostrzegam poetę niosącego dumnie swoje wiersze
i widzę jak ludzie w jego wiersze
zawijają swoje życie
(z „Listów w sprawie wiary i nadziei”, w nrze 6-tym
Zapisu, str. 29)

Jeśli zamknąć oczy na formalne niedociągnięcia poezji stanu wojennego, zaryzykować można hipotezę, że najnowszy rozdział „młodej literatury” rozpoczął się w Gdańsku pod bramą stoczni im. Lenina w sierpniu 1980 roku. Sytuacja narzucała tematy; wspólny jest surowy, niemal purytański nurt moralny, czarny humor, ironia, pogarda, przebłyński nadziei. Jako cechy wspólne, wyróżniki, występuje cały ich zespół w antologjach, gdy rozproszone teksty utrwała się w pieczęciowie przygotowanych przedrukach.

Exodus młodych pisarzy nie jest jednoznaczny z opuszczeniem Kraju. Wcześniej, wyprzedzając niekiedy autora, emigrują teksty. Niepokorni cenią wyżej wolność słowa od poniewierki cenzury i pokiereszowanych przez ingerencje wydań krajowych. „Porażek artystycznych” tu się nie uświadczy; znajdzie je Nawrocki łatwo blisko siebie. I nie on jeden.

„Droga powrotu jest otwarta”

Warto przypomnieć diagnozę sytuacji, tak jak rysowała się

ona Stanisławowi Barańczakowi u schyłku 1976 we wstępie do pierwszego numeru londyńskiego przedruku krajowego *Zapisu* (styczeń 1977):

Uczestniczymy w sytuacji, w której jedna trzecia pisarzy polskich ma zakneblowane usta, jedna trzecia musi ulegać naciskom cenzury, ilekroć ośmieli się napisać prawdę, a pozostała jedna trzecia prawdy świadomie nie pisze.

W tym stanie rzeczy narodziła się „antysocjalistyczna opozycja” (w terminologii reżymu). Jeśli nawet podziały Barańczaka odnoszą się nadal do niektórych środowisk w Kraju, to trudno by dziś mówić o ukrywaniu prawdy pod korcem w *wolnej literaturze polskiej*, wypowiadającej się bez ogródek w podziemiu i poza granicami PRL. Walka wypowiedziana Związkowi Literatów Polskich, zagłuszanie i ośmieszanie audycji RWE, *Głosu Ameryki*, RFI, ataki personalne poparte „wyrokami” sądów wojskowych — wszystko to dowodzi, że konflikt zarysował się tak ostro, że nie da się zataić.

Tym tłumaczy się ukazanie w *Trybunie Ludu* (20 i 30 czerwca br.) artykułu Marcina Kowalskiego pt. „Literaci i literatura w antysocjalistycznej opozycji”. Artykuł ten („kobyła”) mógłby wypełnić broszurę, której indeks równałby się katalogowi nazwisk niepokornych. Dla ogółu mieszkańców PRL-u, przyzwyczajonych do mgły przemilczeń, kryją się tam bezcenne rewelacje. Mogą się np. doczytać, że oprócz *Kultury* ukazują się na emigracji „nowo założone pisma, jak *Puls*, *Zapis*, *Zeszyty Literackie*, że oprócz „NOW-ej”, co równa się Chojeckiemu — oprócz Instytutu Literackiego, co równa się Giedroyciowi, czynna jest „Libella” i „Pallottinum”.

Kowalski skarży się na „powstanie podziemnego obiegu literackiego” i, w różnych zestawach, wymienia nazwiska 51 pisarzy, a mianowicie:

Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Władysław Bartoszewski, Władysław Bieńkowski, Jacek Bierezin, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Marian Brandys, Andrzej Braun, Tomasz Burek, Mirosław Chojecki, Andrzej Drawicz, Jerzy Ficowski, Michał Głowiński, Józef Hen, Maria Janion, Seweryn Jaworski, Anna Kamińska, Wojciech Karpiński, Tymoteusz Karpowicz, Andrzej Kijowski, Stefan Kisielewski, Leszek Kołakowski, Michał Komar, Tadeusz Konwicki, Anka Kowalska, Ryszard Krynicki, Joanna Kulmowa, Jan Józef Lipski, Bogdan Madej, Czesław Miłosz, Sławomir Mrożek, Zdzisław Najder, Jerzy Narbutt, Marek Nowakowski, Włodzimierz Odojewski, Kazimierz Orłoś, Antoni Pawlak, Maciej Poleski, Krzysztof Pomian, Barbara Sadowska, Julian Strykowski, Jan Józef Szczepański, Andrzej Szczypiorski, Andrzej Werner, Piotr Wierzbicki, Witold Wirpsza, Wiktor Woroszyński, Stanisław Wygodzki, Adam Zagajewski i Juliusz Żuławski.

Długość artykułu Kowalskiego tłumaczy się tym, że — nie zadowolając się wyliczaniem nazwisk — sporządza indywidualne akty oskarżenia. Ryczałtem potępieni są kolejni kierownicy Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa: Jan Nowak (Kowalski nie

dostrzegł w nim autora „Kuriera z Warszawy”), Zygmunt Michałowski i Zdzisław Najder oraz Włodzimierz Odojewski, jako „organizator redakcji literackiej RWE” oraz pisarze skupieni wokół „agenturalnej” *Kultury* (tu, obok Giedroycia, Czapski i Herling-Grudziński). Z pisarzy starszej generacji najostrzej atakowany jest Kazimierz Brandys, uhonorowany dłuższymi cytatami z wypowiedzi w *Głosie Ameryki* w dniu 27 stycznia 1982. Leszek Kołakowski — zdaniem Kowalskiego — „już nie pisze filozofujących bajek, [ale] zajmuje się rewidowaniem marksizmu i mnożeniem motywacji filozoficznych dla walki z nim”. Parokrotnie oderwało się Barańczakowi, który „w profesory poszedł na samym Harwadzie i terenu amerykańskiego pilnuje”. Bartoszewski grzeszy tym, że „dwoi się i troi, wygłasza i odczytuje”, Wirpszy dostało się za książkę „Pole — wer bist du?”, „wznawianą na fali antypolskich i rewizjonistycznych nadziei i nastrojów w RFN”. Szkoda mu jedynie Konwickiego, Strykowskiego i Mrożka, a dwuznacznie ocenia Andrzeja Szczypiorskiego, który co prawda współdziała z „mecenatem zachodnim” i przywiózł z Szwajcarii 3.500 dolarów („których wwóz zadeklarował”), ale równocześnie krytycznie wypowiadał się w *Zapisie* na temat „politycznego garbu” ciążącego na „literaturze demokratycznej”. Żle z nią — powiada Kowalski. Nie cieszy go nawet sukces Miłosza, „wydżwigniętego z niejakim trudem” „na wieszczę szczyty”, a skompromitowanego w oczach Kowalskiego współudziałem w „sprawnej organizacji Komitetu Pomocy Niezależnej Kulturze w Kraju”, dysponującego „stu tysiącami dolarów na honoraria autorskie”, co równa się w jego pojęciu „wyprowadzaniu literatury polskiej na emigrację”. Ani jedno nazwisko dostatecznie prawowierne komunistycznie nie przeciwstawia się istnej lawinie odstępów, przemawiających z nowych adresów zagranicznych albo korzystających w Kraju z pomocy Funduszu Opieki PEN na podstawie list sporządzonych przez Juliusza Żuławskiego...

Trudno zorientować się w intencjach *Trybuny Ludu* — czyli partii — serwującej krajowi w przededniu rzekomej amnestii taki ładunek informacji, nazwisk, tytułów i pomysłów. Nasuwa się przypuszczenie, że jest to dalszy ciąg akcji nakłaniania niewygodnych reżymowi pisarzy do zaopatrywania się w paszporty ważne na wyjazd, bez prawa powrotu. Wzory sowieckie mogą tu wchodzić w grę. Czarna lista pisarzy źle widzianych służyć może wydawcom i chronić ich od popełniania błędów „ideologicznych”.

Ostrze ataku skierowane jest jednak na Jana Józefa Szczepańskiego i Związek Literatów Polskich. To zaś nasuwa przypuszczenie, że głównym celem artykułu jest przygotowanie gruntu pod decyzję rozwiązywania Związku, którego Zarząd oskarżony jest m.in. o to, iż członkowie jego „byli co najwyżej skłonni uznać, iż sprawą [Zdzisława Najdera] powinien się zająć Sąd Koleżeński”. Przywódcy związkowi (w kontekście: J. J. Szczepański i Andrzej Braun) „z dużą odwagą oddzielali członkostwo ZLP od uprawiania literatury, tworząc kazuistyczną formułę o

możliwym członkostwie w związku uznającym reguły istnienia w socjalistycznym państwie oraz o usprawiedliwionym uprawianiu antysocjalistycznej opozycji poprzez rodzaj i miejsce wydawania twórczości”.

W finale artykułu pojawia się cyniczna oferta reżymu: „Droga powrotu — pisze Kowalski — jest otwarta: dialog i porozumienie są możliwe po zracjonalizowaniu i samoocenie politycznych skutków działalności, którą opozycja uprawiała i uprawia. Ta samoocena musi prowadzić do zasadniczego przewartościowania stanowisk, do uznania pryncypiów socjalistycznej polityki kulturalnej”.

Mamy więc kropkę nad i. „Point de rêveries, messieurs”. *Ruki po szwam.*

Jest jednak alternatywa: *wolna literatura polska*. Na naszych oczach otwiera się jej nowy rozdział.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Fejő pod Lizboną, 29 lipca 1983

Anna Seghers (1900-1983)

1 czerwca zmarła w Berlinie Wschodnim powieściopisarka niemiecka Anna Seghers (recte: Netty Reiling). Urodzona 19 listopada 1900 roku w Moguncji, po studiach w Kolonii i Heidelbergu (sinologia, historia sztuki, praca doktorska na temat: „Żydzi i żydostwo w twórczości Rembrandta”) i wraz z wydaniem swej pierwszej książki „Bunt rybaków na 'St. Barbara'” (1928) — za którą otrzymała wysoko w Niemczech cenioną nagrodę im. Kleista — wstąpiła do partii komunistycznej, której do końca życia pozostała wierna. Jej ortodoksyjne przekonania polityczne nie uczyniły z niej jednak zwolenniczki realizmu socjalistycznego: już w pierwszych latach emigracji (opuściła Niemcy w 1933) popadła na tym tle w konflikt teoretyczny z G. Lukacsem.

Od 1940 do 1947 Anna Seghers przebywała na emigracji w Meksyku i tam też opublikowała w 1942 roku swą najwybitniejszą powieść pt. „Siódmy krzyż”, zapewniającą jej trwałe miejsce nie tylko w niemieckiej literaturze. Jest to książka antyhitlerowska, relacjonująca dzieje dramatycznej ucieczki siedmiu więźniów z obozu koncentracyjnego. Komendant owego obozu każe ustawić na placu apelowym siedem krzyży, zapowiadając, że powiesi na nich siedmiu zbiegów. Złapano sześciu: siódmy krzyż pozostał pusty.

Jest to powieść mistrzowska. Sposób narracji zapożyczony został z techniki filmowej: luźne pozornie sekwencje, zbliżenia i oddalenia komponują się w zwartą całość, język autorki jest stonowaną odmianą języka ekspresjonizmu niemieckiego, tendencja przebiega silnie, ale nie natrętnie. Książka

ta, tłumaczona na wiele języków, a także filmowana, zapewniła Annie Seghers światową sławę. I mimo licznych, w późniejszych latach powstających powieści i nowel pisarka ta nigdy już nie zdobyła się na ton tak czysty i lot tak wysoki. *Homo unius libri?*

Od 1947 roku — podobnie jak wielu komunistycznych pisarzy niemieckich — Anna Seghers przeniosła się do Berlina Wschodniego. Obsypywana zaszczytami i nagrodami (m.in. państwową nagrodą NRD w 1951 roku i w tymże roku Stalinowską Nagrodą Pokoju) — od 1952 do 1978 prezeska związku literatów NRD — we własnej twórczości nadal jednak nie kwapiła się bynajmniej do socrealizmu, choć jednocześnie pozostawała konsekwentną stalinistką, czego dowodem był m.in. specjalnie na siedemdziesięciolecie Wodza Narodów ułożony zbiór opowiadań pt. „Linia”. W podeszłym już wieku, równie konsekwentnie zdementowała wiadomość, jakoby złożyła swój podpis pod listem protestacyjnym, jaki — po przymusowej expatriacji piosenkarza, Wolfa Biermanna — niektórzy pisarze NRD-owscy wystosowali do władz.

W. W.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 375 — ZYGMUNT KORYBUTOWICZ

GRUDZIEŃ 1970

Pierwsze źródłowe opracowanie wypadków w Stoczni Szczecińskiej.

Str. 160.

Cena F. 55,00.



TOM 377 — ARTHUR KOESTLER

CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE

Przełożył Tymon TERLECKI
Przedmowa Władimira BUKOWSKIEGO

Znana książka niedawno zmarłego pisarza, odsłaniająca mechanizm procesów stalinowskich (książka ta była opublikowana w nr. 16/17 *Kultury* w roku 1949).

Str. 206.

Cena F. 70,00.



TOM 378 — JACEK KACZMARSKI

WIERSE I PIOSENKI

Wybór utworów znanego dziś na całym świecie polskiego poety i piosenkarza.

Str. 144.

Cena F. 45,00.

Książki

« Zwycięstwo prowokacji » po latach

Rokowania prowadzone przez komunistów są tylko po to, aby doczekać momentu, gdy postanowienia tych rokowań nie zostaną dotrzymane.

Józef Mackiewicz: „Zwycięstwo prowokacji”.

Józef Mackiewicz jest pisarzem w Polsce mało znanym. Znają jego twórczość wąskie elity intelektualne, cenzorzy i wyspecjalizowani politrucy. W okresie kilku lat funkcjonowania wydawnictw wolnych od cenzury (wliczając w to 15 miesięcy „Solidarności”) opublikowano w Kraju tylko jedną książkę Mackiewicza, mianowicie „Kontrę”. Jak na autora, któremu krytycy przyznają miejsce w ścisłej czołówce literatury emigracyjnej (ta zaś w ostatnich latach trafiała w Kraju nawet i „pod strzechy”) — to dziwnie mało, czego nie zmienia fakt, że „Kontra” jest bez wątpienia jednym z największych osiągnięć pisarza. Nieobecność Mackiewicza na pozacenzuralnym rynku czytelnictwa w Kraju można tłumaczyć specyficzną barierą psychologiczną, towarzyszącą recepcji jego pisarstwa. Spotyka się opinie, najczęściej zresztą w rozmowach, że pisarstwo polityczne Mackiewicza graniczy z paranoją. Człowiek przy zdrowych zmysłach nie zada sobie trudu logicznej analizy argumentów, które uznaje za aberrację umysłową. *Casus* Mackiewicza jest zastanawiający; jego pisarstwo wywołuje tak skrajne reakcje, brak natomiast krytycznej oceny jego poglądów. A ta wydaje mi się tym bardziej potrzebna, że opinie o paranoi Mackiewicza można interpretować jako potwierdzenie słuszności wielu jego diagnoz (nie zawsze też) politycznych.

Wprowadzam — zupełnie chyba uzasadnione — rozróżnienie na Mackiewicza-powieściopisarza i Mackiewicza-pisarza politycznego; „Zwycięstwo prowokacji” jest rzecz jasna przykładem tej drugiej dziedziny zainteresowań autora. Charakterystyczne

jest to, że krytycy zajmujący się powieściami Mackiewicza podkreślają dominację w nich aspektu politycznego nad literackim. Ciekawe jest jednak i to także, że niemal nikt nie podkreślił jednego z największych walorów powieściopisarstwa Mackiewicza — mianowicie wartości poznawczej. W jego powieściach można odnaleźć niezwykle rzadką w literaturze współczesnej diagnozę rzeczywistości ustroju sowieckiego, tej — głównie psychologicznej — wewnętrznej treści określającej postawy ludzi już zniewolonych i tych, którzy chcą jakoś się bronić. Tu — jak sądzę — tkwi właśnie klucz do zrozumienia komunizmu, klucz, którego daremnie szukają sztaby zachodnich sowietologów.

Zblazowany marksista niemiecki Rudolf Bahro stwierdził niedawno, że właśnie literatura jest najlepszym przyczynkiem do badania historii społecznej „realnego socjalizmu”. Odkrycie tyleż słuszne, co mało oryginalne. Brak wprawdzie w polskim piśmiennictwie odpowiedniego przykładu, wystarczy jednak przypomnieć najznakomitszą bodajże analizę systemu sowieckiego, w której za materiał badawczy posłużyła właśnie literatura — myślę o pracy Michała Hellera „Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka” (ukończona już w 1972 roku).

Powieści Mackiewicza to powieści z tezą, co zresztą niejednokrotnie podkreślano. Twierdzenia te jednak zdeformowały nieco recepcję twórczości pisarza, właśnie z uwagi na kontrowersyjny charakter jego tez historyczno-politycznych. Mackiewicz jawi się jako bezpardonowy krytyk tych wszystkich orientacji politycznych, które przegrały w konfrontacji z komunizmem; od hitlerizmu poczynając, poprzez aliantów zachodnich i politykę władz RP a na epizodzie Znak w PRL-owskim sejmie kończąc. Swoje powieści podporządkowuje naczelnemu przesłaniu — walce z komunizmem, godzącym w same podstawy współczesnej cywilizacji. Przyjmuje się, że postulat ten — uparcie powracający w różnych wątkach i okolicznościach historycznych jego powieści — ma obniżyć ich rangę artystyczną. Nie podejmuję się rozstrzygnąć tutaj tego zagadnienia, wydaje mi się wszelako, że pasja antykomunistyczna Mackiewicza jest jego prawdą wewnętrzną, tak jak „przeklęte problemy” były prawdą wewnętrzną Dostojewskiego, a konfrontacja z „formą” polskości i uniwersalnym „Kościołem międzyludzkim” — wewnętrzną prawdą Gombrowicza (*nota bene* pisarza, któremu — paradoksalnie i wbrew sporom jakie prowadzili — Mackiewicz jest bardzo bliski, poprzez ową rzadko spotkaną odwagę intelektualną i suwerenność myśli). Łatwo wskazać głębsze źródła inspiracji Mackiewicza:

„Jest niewątpliwie tylko jeden szczerzy stosunek do Boga. Głęboka wiara w to, że cokolwiek się robi i myśli, Bóg przenika myśli i prawdziwe intencje czynów człowieka¹”.

1. „Zwycięstwo prowokacji”, str. 144.

Jeśli zatem powieści Mackiewicza podporządkowane są teom o charakterze politycznym, warto przyjrzeć się im na przykładzie książki „czysto” politycznej, jaką jest wznowione niedawno „Zwycięstwo prowokacji”², opatrzone ponadto krótkim szkicem „Miejmy nadzieję” — ostatnią — o ile mi wiadomo — wypowiedzią pisarza. Świadom jestem ryzyka całego przedsięwzięcia, zważywszy cytowane wcześniej epitety, którymi kwitowano polityczne poglądy Mackiewicza. Takie a nie inne reakcje złożyć trzeba na karb zacietrzewienia polemistów, którzy najczęściej są bezpośrednio atakowani przez pisarza, bądź też utożsamiają się ze zwalczanym przezeń stylem myślenia politycznego. Jest to zarazem naturalny czynnik emocjonalny, tym łatwiej zrozumiały w wypadku autentycznych działaczy politycznych, których koncepcje przegrały, bowiem obrona ich jest automatycznie obroną *image of themselves*.

Mackiewicz przypisuje sobie rolę, której — odnoszę takie wrażenie — nie potrafiłby spełnić, mianowicie rolę polityka. Zaiste, ciekawy paradoks! Z jednej strony jest on w pełni świadom makiawelskiego charakteru polityki „czynnej” — chociażby wówczas, gdy opowiada się — w aspekcie historycznym rzecz jasna — za sojuszem z Niemcami hitlerowskimi dla zniszczenia komunizmu. Natomiast z drugiej strony jego polityczne tezy dotyczące czasów obecnych grzeszą brakiem realizmu, który rozumiem tutaj jako umiejętność chłodnej i wykalkulowanej oceny własnych możliwości oraz sił przeciwnika. Ta sprzeczność wynika z rzadko spotykanego poczucia odpowiedzialności za czas historyczny, w jakim Mackiewicz żyje. Jest to odpowiedzialność bezkompromisowa, głęboko humanistyczna, w pewnym sensie nazbyt humanistyczna, odpowiedzialność za los — nie waham się użyć tego słowa — ludzkości, podczas gdy ci, którzy podpisują z Sowietami gazowy „kontrakt stulecia” są odpowiedzialni tylko za najbliższe wybory, bo z pewnością nie za całe stulecie. I dalej: dla Mackiewicza wolność („komunizm jest totalną antytezą wolności”) jest wartością ze sfery jego prawdy egzystencjalnej, wolność, której zagrożenia pisarz jest w pełni świadom. Gotów jest bronić jej wbrew tym, dla których „wolność” jest tylko chwytem w polityczno-propagandowej frazeologii.

Wróćmy do sprawy, którą sygnalizowałem na wstępie: dlaczego w pozacenzuralnym obiegu wydawniczym w Kraju opublikowano tylko jedną książkę Mackiewicza? Odpowiedzi — jak sądzę — można szukać analizując czynniki psychologiczne, do których zresztą sam Mackiewicz przywiązuje taką wagę, krytykując bądź tzw. „postępowe” koła intelektualne na Zachodzie, bądź też konkretne decyzje polityków. Brakuje mu jednak podobnego wyczucia (bo nie brak mu ostrości widzenia), kiedy np. krytykuje „Solidarność” za brak jawnego i konsekwentnego wezwania do walki z komunizmem. Mackiewicz nie dostrzega dale-

ko posuniętej sowietyzacji obywateli w ustroju komunistycznym, stopnia wtargnięcia systemu ideologicznego w sferę osobowości. Skutkiem życia w komunizmie jest właśnie nieumiejętność myślenia kategoriami politycznymi, niezręczność wewnętrznych mechanizmów systemu i jego żelaznej zdolności autoregulacji. — Przez 35 lat sowietyzm zdziałał wiele; wypychając ludzi w nędzę materialną, kazał im myśleć prymitywnymi kategoriami konsumpcyjnymi, zawłaszczając język i zmieniając go w nowomowę niszczył zdolność ekspresji (a nawet werbalizacji) autentycznych przekonań, totalnie fałszując historię zdołał nadać umiejętnie dozowanym przez władzę narodowym symbolom fałszywy walor rzekomej niepodległości. To, że mechanizmy komunistycznego zniewolenia uległy w czasach „Solidarności” tak szybko postępującej destrukcji samo w sobie godne jest podziwu i świadczy o zdrowym odruchu dążenia do wolności. Ale realia polityczne doby powojennej, różne międzynarodowe „sojusze” PRL, „uznanie zasad socjalizmu” tak dalece weszły w krew, że nawet teraz, po „stanie wojennym” Jaruzelskiego powtarza je jak pacierz większość liderów podziemnej opozycji.

Książki Mackiewicza, które teoretycznie mogły być być wydane, przyjęto by chyba właśnie jako posłanie z innej planety. Wojna ze światowym komunizmem?! To przecież szaleństwo! Nie zapominajmy, że w Polsce (i nie tylko) złożenie legitymacji partyjnej uchodziło przez długie lata za akt heroizmu.

Ryzykowne aczkolwiek uzasadnione wydaje mi się postawienie kwestii, w jakim stopniu „Solidarność” była dzieckiem systemu? Szukanie odpowiedzi na to pytanie powinno zostać poprzedzone rzetelnym i merytorycznym opisem okresu „Solidarności”, a takiego opisu jeszcze się nie doczekaliśmy. Zastępują go, czy nawet służą jako materiał do refleksji teoretycznej prace podporządkowane doraźnym celom propagandowym czy taktycznym, poddane ponadto silnej presji emocji i — użyjmy terminu Mackiewicza — „postulatowi narodowego kolektywu”. Dodajmy jeszcze dezinformację, w której komuniści osiągnęli wyżyny mistrzostwa, niezrozumienie i pogoń za sensacjami zachodnich dziennikarzy i różne nieprzemyślane wypowiedzi solidarnościowców na Zachodzie, które też raczej utrudniają niż ułatwiają właściwą analizę procesów dokonujących się w Polsce. Tymczasem procesy te nie stały się bynajmniej jakimś zamkniętym rozdziałem, a daty, które oznaczają konkretne wydarzenia (pacyfikacja 13 grudnia czy formalna delegalizacja „Solidarności” 10 miesięcy później) dotyczą tylko zewnętrznej warstwy historycznej, podczas gdy opór i walka polityczna trwają, tworząc zresztą zjawisko z wielu względów oryginalne.

W analizie zakresu wpływów systemu sowieckiego (głównie socjo-psychologicznych) na charakter ruchu jakim była „Solidarność” celowe wydaje mi się wskazanie na dwa elementy. Po pierwsze — język. Język jakim przemawiali autentyczni trybuni ludowi czyli przywódcy związkowi najniższego (a zarazem naj-

2. „Zwycięstwo prowokacji”, wyd. 2 [uzup.]. Kontra, Londyn 1983, str. 235.

bardziej masowego) szczebla — zakładu pracy, małego miasta. Kuszące byłoby przesłedzenie wpływu i skutków języka sowieckiego (czy — jak kto woli — nowomowy) na przykładzie takich typowych wypowiedzi. Wspominam o tym dlatego, że słowo (język ideologii) jest co najmniej równie ważnym orężem sowieżyzmu co naga i „klasyczna” przemoc. Nie wnikając tutaj w filozoficzny spór o aprioryczny czy aposterioryczny charakter wiedzy, zwróćmy uwagę na fakt, że postawy ludzi dotyczące sfery życia politycznego są wypadkową sposobu określenia celów ruchu społecznego czy jego generalnej orientacji, które są właśnie domeną języka.

I drugie zjawisko — jeden z fundamentów systemu sowieckiego — to interioryzacja przemocy (warto przypomnieć pytanie postawione przez Zinowiewa: „Gdzie te bagnety?”, na których opierać ma się komunizm). Do „Solidarności” przystąpiło 10 milionów ludzi, ponieważ był to ruch oficjalnie dozwolony przez władze. Przed sierpniem '80 tzw. opozycja kupiała nie więcej niż kilka tysięcy aktywnych uczestników, choć każdy z późniejszych 10 milionów mógł do tej działalności już wówczas przystąpić. Był to wszak ruch zgodny z obowiązującym w PRL prawem, a banałem będzie stwierdzenie, że stopień ryzyka był odwrotnie proporcjonalny do liczby aktywnych uczestników. Przełamanie bariery działań zakazanych (która nic zgoła nie ma wspólnego z przepisami prawa) było w jednakowym stopniu skutkiem determinacji strajkujących, co przyzwolenia ze strony władz.

Cały czas wymyka mi się jednak wątek, który w założeniu miał być tematem tego szkicu — a mianowicie „Zwycięstwo prowokacji”. Które elementy mackiewiczowskiej diagnozy komunizmu wydają mi się użyteczne właśnie teraz, gdy istnieje w Kraju zorganizowany ruch oporu, poszukujący zarówno swoich celów, jak i taktyki działania?

W „Zwycięstwie prowokacji” Mackiewicz wielokrotnie podkreśla niezmienną zasad komunizmu oraz wypracowanych przez bolszewików metod zdobywania władzy i jej utrzymania. Cytat, który przytoczyłem jako motto, stał się tuż po 13 grudnia jedną z prawd objawionych, choć także przed pacyfikacją nic zgoła nie wskazywało na to, aby ów aksjomat stracił swą zasadność. Wiele podobnych twierdzeń, które mogły być uławić „Solidarności” przygotowanie się na atak ze strony reżymu, uległo w okresie 15 miesięcy swoistemu zatarciu, z uwagi na funkcjonowanie różnych teoretycznych modeli przemian systemu i spekulacje na temat tego, które dziedziny życia politycznego pozostawi się partii, a które będą domeną samorządnego społeczeństwa. Towarzyszyło temu złudne poczucie słabości przeciwnika, który w skrytości konsekwentnie przygotowywał się do ciosu, na zewnątrz mamiąc rzekomą „troską o interesy narodowe”. Nigdy za wiele powtarzania prawdy o rokowaniach prowadzonych przez władzę komunistyczną, zwłaszcza teraz, gdy zarówno Kościół jak i kręgi opozycyjne (choć nie wszystkie) wzywają reżym do podjęcia „autentycznego dialogu”. Tego typu postulaty wysuwane przez

reprezentatywne kręgi społeczne mają przemożny wpływ na postawę Zachodu. Zwróćmy uwagę, że żądania krajów zachodnich wobec władz PRL nie są niczym innym, tylko refleksem dominujących postaw polskiej opozycji. Ta specyficzna dezorientacja rządów zachodnich to też jeden z wątków „Zwycięstwa prowokacji”.

Wiąże się z tym inny temat książki, również wywołujący alergiczne reakcje.

„Wytykanie mocarstwom zachodnim ich błędów, ich 'zasłepienia', ich 'głupoty' jest tematem bardzo popularnym w publicystyce polskiej. Zapominamy wskazać, że te mocarstwa z ich tradycyjnie przez nas piętnowaną 'krótkowzroczną' wobec Sowietów polityką również nie obracają się w próżni, a swoją politykę opierają częstokroć na przesłankach zaczerpniętych z postawy naszej i innych przez Sowietów podbitych narodów³”.

Wielokrotnie powtarzana krytyka postaw rządów Zachodu (zwłaszcza Europy Zachodniej) jest rzecz jasna uzasadniona. Postawmy jednak pytanie: czy istnieje jakakolwiek koncepcja polskiej polityki zagranicznej i czy ktokolwiek próbował artykułować polskie interesy polityczne wobec Zachodu? Wydawałoby się rzeczą najbardziej naturalną, że trud ów powinni podjąć działacze „Solidarności” na Zachodzie. Ci jednak w ogóle nie wysunęli żadnego zespołu postulatów, a ich aktywność zagraniczna sprowadzała się (i sprowadza się nadal) głównie do działalności informacyjnej, propagandowej, odbywania wycieczek do bardziej lub mniej egzotycznych krajów, urządzania manifestacji przed konsulatami PRL-u, gdzie wznosi się gromkie okrzyki o łamaniu praw człowieka w Polsce (zaiste, prawda niezbyt odkrywczą). Wręcz karygodne było całkowite milczenie solidarnościowców, gdy rząd Stanów Zjednoczonych wprowadzał sankcje wymierzone w budowę gazociągu z ZSSR do Europy Zachodniej. Niedopuszczenie do realizacji tego kontraktu byłoby jednym z najbardziej efektywnych uderzeń ekonomicznych w Związek Sowiecki. Embargo wprowadzone przez Reagana wywołało niebywałe napięcia między Europą Zachodnią a Stanami Zjednoczonymi i wzmogło antyamerykańską kampanię. W rezultacie — czego nie trzeba przypominać — embargo cofnięto. Podobnie żadnego zainteresowania „Solidarności” na Zachodzie nie wzbudził amerykański plan „Demokracja” — poparcie dla ruchów opozycyjnych w państwach totalitarnych (o planie tym szeroko rozpisywała się Trybuna Ludu i Żołnierz Wolności).

Przedstawiciele powstańców afgańskich potrafili konferować z Reaganem. Kambodżański ruch oporu prowadzi szeroką akcję dyplomatyczną, Rosjanie organizują antytotalitarną Międzynarodówkę Oporu, natomiast ze strony polskiej z Reaganem konferują... Rurarz i Spasowski. Komentarz wydaje się zbyteczny.

3. „Zwycięstwo prowokacji”, str. 14.

Tym bardziej celowe wydaje mi się zwrócenie uwagi na tę pięć Achillesa polskiego ruchu oporu, że ostatnio zarówno w prasie podziemnej w kraju jak i w *Kulturze* pojawiają się postulaty stworzenia polskiej reprezentacji politycznej na Zachodzie. Na razie jednak to najważniejsze wezwanie polityczne pozostaje bez odpowiedzi⁴.

Szkic „Miejmy nadzieję” zaczyna się od powtarzanego wielokrotnie w „Zwycięstwie prowokacji” twierdzenia, że Związku Sowieckiego nie można utożsamiać z dawną przedrewolucyjną Rosją. Tę identyfikację uważam za kanoniczny błąd nie tylko ludzi starających się myśleć politycznie, lecz całych społeczeństw żyjących w ustroju komunistycznym. Ba, nie tylko społeczeństw pod władzą komunistyczną, lecz także zachodniej opinii publicznej, z politykami włącznie.

Zostawmy w tej chwili Zachód, choć wydaje mi się, że pytanie o przetrwanie do symbolicznego roku 1984 należy obecnie odnosić raczej do Zachodu niż do Związku Sowieckiego. Szanse obrony świata niekomunistycznego są ściśle uzależnione od procesu desowietyzacji wewnątrz bloku „ludowych demokracji”, procesu, którego Polska jest najważniejszym ogniwem. Aby jednak ruch oporu zdołał rozszerzyć wyłom w monolice totalnej władzy państwa ideokratycznego, konieczna jest zasadnicza reorientacja świadomości uczestników opozycji. Nie mamy do czynienia ze zwierzchnictwem jednego narodu (Rosjan) nad drugim narodem (Polakami), lecz z ustrojem niszczącym naturalne cechy społeczeństwa cywilnego, z metodą władzy wypracowaną przez bolszewików, z państwem totalitarnym podporządkowanym światowemu systemowi komunistycznemu.

Ów „syndrom Kucharzewskiego” (określenie, które podpowiedział mi prof. Heller) ma w zasadzie dwa źródła: po pierwsze ideokratyczne państwo komunizmu stworzono pierwszy raz w Rosji i dlatego też — nie tylko zresztą w Polsce — utożsamia się system sowiecki z dawnym rosyjskim imperializmem i despotyzmem. Sowietyzm przejął wiele cech Rosji carskiej, ale podporządkował je własnym, zupełnie odmiennym celom (wszak żadnemu z carów nawet nie śniło się panowanie nad światem — cel, którego osiągnięcia bliscy są obecni władcy sowieccy). Jak słusznie zauważa A. Besançon (w wywiadzie dla RWE), także inne kraje komunistyczne przejęły pewien spadek po poprzednich systemach władzy (np. w Chinach Mao Tse-tunga — ceremoniał pekińskiego pałacu cesarskiego, w Niemczech komunistycznych —

4. Jednym z artykułów, gdzie podniesiono wagę działań politycznych poza Krajem jest „Wolność, demokracja, niepodległość” (*Niepodległość* nr 11/12, 1982 r.), w którym z nieznanymi mi powodów uznano mnie za działacza „Solidarności”, w dodatku ważnego i wybitnie szkodliwego. Ponadto przypisano mi poglądy, których nigdy nie wypowiadałem tudzież uraczono mnie epitetem „niewydarzonego ugodowca”. Wspominam o tym wszystkim z zażenowaniem, tym bardziej, że poglądy autora artykułu na „Solidarność” za granicą wydają mi się bliskie (czego nie mogę powiedzieć o jego opiniach na temat „panowania Rosji”).

duch pruski). Drugim zaś źródłem syndromu Kucharzewskiego jest historia stosunków polsko-rosyjskich, *nota bene* gorliwie fałszowanych w PRL, wymaga to od nas jednak tym większego wysiłku intelektualnego, by zrozumieć rzeczywistą naturę systemu sowieckiego⁵.

Metody sprawowania władzy w komunizmie (władzy, która jest naczelną przyczyną sprawczą i celową tego systemu) powtarzane są z dokładnością szwajcarskiego zegarka. Świeżym tego przykładem jest sytuacja w Nikaragui (czy to również „Rosja” i „czerwony carat”?), gdzie te same klasyczne metody wprowadzone przez bolszewików skryte są dodatkowo za formalnie niekomunistycznym charakterem reżymu i za odrazą, jaką wzbudza obalony dyktator Somoza. Dezorientacji zachodniej opinii publicznej, wygodnictwu umysłowemu „postępowych” intelektualistów i... zachodnim subwencjom zawdzięczamy postępującą sowietyzację Ameryki Środkowej, która w strategicznych planach ZSSR odgrywa kluczową rolę.

Jeśli już mówimy o niezmiennych regułach systemu komunistycznego, warto dodać, że Mackiewicz jako pierwszy bodajże autor starał się wskazać precedensy losów „Solidarności”. Bunt marynarzy w Kronsztadzie i poprzedzające je rozruchy zachowały — chciałoby się powiedzieć — „zasady ustrojowe”. Bolszewicy ogłosili... stan wojenny, powstanie zdławiono siłą i represjami⁶.

Główny zarzut Mackiewicza wobec „Solidarności” dotyczy wyzrczenia się aspiracji do walki z komunizmem. W istocie deklaracje o „przestrzeganiu zasad socjalizmu” i odżegnywanie się od roli politycznej zacierają rzeczywisty charakter konfliktu, czyli wolnościowy bunt społeczeństwa przeciw władzy państwa ideokratycznego. Powtarzanie takich deklaracji obecnie niewątpliwie dezorientuje uczestników ruchu oporu i utrudnia precyzyjne określenie celów działania (pisałem już zresztą na ten temat). Ta frazeologia, uzasadniana bałamutnie „względami geopolitycznymi” wpływa także ujemnie na szeroko rozumianą orientację polityczną i ideową społeczeństwa, utrwała bardziej lub mniej świadome przekonanie o wiecznotrwałości komunizmu. Ci zaś publicyści, którzy otwarcie głoszą, że celem ruchu podziemnego jest walka z systemem komunistycznym, sytuują ją fałszywie na płaszczyźnie „konfrontacji z Rosją”⁷.

Innym jednak problemem były szanse konfrontacji z ustrojem sowieckim w sytuacji włączenia Polski do światowego systemu

5. Utożsamianie ZSSR z Rosją karmi się nacjonalizmem, który jest jednym z głównych obiektów ataku Mackiewicza w „Zwycięstwie prowokacji” (chodzi raczej o nacjonalizmy przejawiające się pod władzą sowiecką, nacjonalizmu rosyjskiego nie wyłączając). Ostatnie miesiące historii PRL dopisały niejako nowy rozdział książki: nachalne posługiwanie się przez reżym Jaruzelskiego pseudopatriotyczną frazeologią jest klasyczną ilustracją wykorzystywania nacjonalizmu przez komunizm.

6. Por. „Miejmy nadzieję” [w:] „Zwycięstwo prowokacji”, str. 227.

7. np. M. Poleski: „Program i organizacja”, *Kultura* nr 5, 1983.

komunistycznego. Mackiewicz jest niekonsekwentny — z jednej strony chciałby widzieć „Solidarność” jako masowy, jawnie antykomunistyczny ruch wolnościowy, z drugiej natomiast podkreśla iluzoryczność rachub na „wewnątrzpolskie rozwiązanie”.

Ciekawa jest jednak szybkość destrukcji zasad życia zbiorowego w komunizmie, która dokonywała się w Polsce (a wcześniej na Węgrzech i w Czechosłowacji). Zdać się ona świadczyć o możliwości odrodzenia normalnych funkcji społeczeństwa cywilnego. Tłumionej latami potrzebie wolności towarzyszy kumulacja nienawiści do władzy. Uparcie przemilcza się fakt, że polscy robotnicy, zmęczeni ciągłym napięciem, nierzadko domagali się radykalnej rozprawy z władzą czy wręcz mówili o wieszaniu komunistów. Nie widzę powodu, aby to zatajać, tym bardziej, że nikogo nie tylko nie powiedzono, ale nawet nie pobito, nienawiść zaś jest wymowną ilustracją skutków komunizmu.

Nie sądzę, aby miały większy sens interpretacje okresu „Solidarności” w trybie warunkowym czasu przeszłego. Problem polega głównie na tym, aby zrozumieć własne błędy i nie powtarzać ich w przyszłości.

Otóż wydaje mi się, że poszukiwanie metod skutecznego oporu wobec sowietyzmu musi opierać się w pierwszej kolejności na jego właściwym rozpoznaniu. Na uświadomieniu sobie podstawowego faktu, że komunizm nie służy zniewoleniu jednego narodu przez drugi, lecz zniszczeniu społeczeństwa cywilnego i zniewoleniu osoby ludzkiej poprzez totalną ideokratyczną władzę systemu.

Aby krytycznie ocenić wartość pisarstwa politycznego Józefa Mackiewicza potrzebne jest oddzielenie jego opisu i diagnozy systemu komunistycznego od proponowanych przezeń działań politycznych. Należę do tych niewielu, jak się zdaje, którzy podzielają zdanie ze „Zwycięstwa prowokacji”:

„Katastrofa to nie śmierć połowy ludzkości w wojnie atomowej. Katastrofa to życie całej ludzkości pod panowaniem ustroju komunistycznego⁸”.

Rozpatrywanie tej alternatywy jest przerażające, ale i jałowe nie bardzo bowiem widać chętnych do wojny z komunizmem. Kiedy Mackiewicz pisał „Zwycięstwo prowokacji” w 1962 roku, przewaga militarna Stanów Zjednoczonych była wystarczająco duża, aby kategoryczna postawa Kennedy’ego spowodowała wycofanie sowieckich rakiet nuklearnych z Kuby. Przez 20 ostatnich lat sytuacja odwróciła się o 180°; obecnie Związek Sowiecki szantażuje Stany Zjednoczone rozmieszczeniem w Ameryce Środkowej pocisków nuklearnych (nie wspominając już o krajach włączonych do „światowego systemu socjalistycznego”). Podobnie przytaczane przez Mackiewicza za szwedzkim pismem *Est dane o pięciokrotnej przewadze militarnej NATO nad Paktem*

8. Str. 222.

Warszawskim należy raczej włożyć między bajki, razem z tygodnikiem *Der Spiegel*, którego prenumerowanie uchodzi w RFN za wyraz intelektualnego bon tonu. *Spiegel* specjalizuje się ostatnio w zapewnianiu swych czytelników o... militarnej słabości ZSSR („Die Sowjet-Union ist dem Westen nirgendwo so überlegen wie die Amerikaner behaupten”. „Militärmacht UdSSR — im Westen überschätzt” — *Der Spiegel* nr 15/1983). Jest to świadoma bądź nieświadoma pomoc ZSSR w jego wojnie psychologicznej z Zachodem, prowadzonej obecnie za pomocą negocjacji rozbrojeniowych i stymulowania propagandy „antywojennej”. Konfrontacja wolnego świata z komunizmem dokonuje się nie na płaszczyźnie militarnej, lecz na płaszczyźnie psychologicznej i ideowej. Mackiewicz zdaje się być tego świadom: „rozbicie tego bloku nie polega na sile militarnej, lecz polityczno-propagandowej⁹”. Dziwi w tym kontekście atak na Sołżenicyna, który wielokrotnie wskazywał właśnie na konieczność politycznej i ideowej mobilizacji Zachodu.

Mackiewicz stosuje kategorie absolutyzmu moralnego, na których trudno budować program polityczny. Wiele passusów „Zwycięstwa prowokacji” wywołuje sprzeciw, chociażby wówczas, gdy autor stawia pod jednym strychulcem świadomych kolaborantów z komunizmem i tych, którzy po prostu przegrali polityczną z nim konfrontację i bardziej chyba zasługują na współczucie niż na potępienie. Mackiewicz zapomina przy tym o prawdzie, którą sam po wielokroć powtarza: że wiele błędów politycznych można wytłumaczyć niezrozumieniem zasad systemu i metod używanych przez komunistów.

Z perspektywy prawie pół wieku Mackiewiczowi łatwo krytykować Piłsudskiego za to, że „nie rozumiał natury bolszewizmu”. A któż wówczas rozumiał?! Piłsudski działał w sytuacji, gdy w odstępie kilku lat przez ziemie polskie przesunął się najpierw front niemiecko-rosyjski, a zaraz potem miała ruszyć ze wschodu na zachód ofensywa bolszewików. Piłsudski bijąc pod Warszawą Armię Czerwoną i tworząc niepodległe państwo polskie (w końcu europejską potęgę) dokonał historycznego dzieła powstrzymania na ćwierćwiecze pochodzącego komunizmu.

Trudno polemizować w tym miejscu ze wszystkimi tezami Mackiewicza, które na polemikę zasługują. Raz jeszcze podkreślam, że konieczne wydaje mi się oddzielenie części „diagnostycznej” od wskazań politycznych Mackiewicza i odrębne omawianie tych dwóch zagadnień. Jeśli więcej uwagi poświęcam tutaj dokonaniem przezeń opisowi komunizmu, czynię to w przekonaniu, że zrozumienie tego systemu jest największym problemem naszych czasów. A książki Józefa Mackiewicza z pewnością mogą w tym dopomóc.

Tomasz MIANOWICZ

maj '83

9. „Miejmy nadzieję”, *loc. cit.*, str. 232.

Krakowskie « Pismo »

Stukam w myślach w nieheblowane drzewo za długi i mniej niż dotąd skomplikowany żywot nowego krakowskiego miesięcznika literackiego.

Pierwszy numer *Pisma* ukazał się wczesną wiosną roku 1981. Ostatni — czyli siódmy — późną jesienią tego samego roku. Z wprowadzeniem stanu wojennego *Pismo* zostało zamknięte. Kolejny pierwszy (podwójny) numer ukazał się z dużym opóźnieniem wiosną 1983 roku. W pierwszej wersji cenzura zakwestionowała tak wiele materiałów (w tym *Słowo od Redakcji*), że cały numer musiał ulec gruntownej przeróbce. Z rzeczy zapowiedzianych wcześniej nie ukazały się m.in.: opowiadanie Leszka Elektorowicza, fragment powieści Hanny Krall, szkic o Grupie Krakowskiej, esej Ryszarda Przybylskiego *O sytuacji w Królestwie Polskim po Powstaniu Listopadowym* i felieton Zbigniewa Herberta.

W maju tego roku pracodawca *Pisma* czyli RSW Prasa zaproponował redakcji podanie się do dymisji. „Zespół redakcyjny — brzmiał wyrok — który nie zrozumiał w jakim żyje czasie, ma do wyboru: podać się w całości do dymisji, lub być rozwiązany...”. Zespół nie podał się do dymisji i... nie został rozwiązany. Intencją tzw. „decydentów” (obrzydlivi nowotwór, który jednak, może dzięki swojej brzydocie, jakoś pasuje do ludzi wydających polityczne decyzje) było zachowanie tytułu miesięcznika i stuprocentowa zmiana składu redakcji. *Pismo* ukazuje się do tej pory, redagowane przez ten sam znakomity zespół. Nie wiadomo, czy chodziło o zastraszenie członków kolegium redakcyjnego (paru z nich widmem śmierci głodowej), czy zadecydowała tu — w co wątpię — atmosfera wokół przyjazdu Papieża. Być może zaważyła po prostu zdecydowana postawa zespołu redakcyjnego, lub — co już jest zbyt piękne, aby było prawdziwe — nie zdołano przekupić wystarczającej ilości ludzi, którzy mieli objąć *Pismo* w spadku po jego prawowitych założycielach.

Na powstanie miesięcznika literackiego w Krakowie była pora najwyższa, zważywszy spore i wybitne środowisko literackie w tym mieście, tradycję humanistyczną Uniwersytetu Jagiellońskiego i absolutną, wręcz higieniczną potrzebę alternatywy do *Małomiasteczkowego Życia Literackiego*.

Zespół redakcyjny składa się z ludzi mądrych, utalentowanych i nieprzekupnych. Z pisarzy znaleźli się w nim Leszek Elektorowicz, Kornel Filipowicz, Jerzy Kornhauser, Ewa Lipska i Wisława Szymborska. Z profesorów: Henryk Markiewicz. Z krytyków literackich: Jerzy Kwiatkowski, Jan Pieszczacho-

wicz, Jan Prokop i Marta Wyka. Stałymi felietonistami *Pisma* są Stanisław Lem i Andrzej Osęka.

Od pierwszego numeru zostało jasno powiedziane, że *Pismo* stawia na niepodzielność kultury polskiej: piśmiennictwo emigracyjne traktowano w nim na równych prawach z krajowym. Jako świadomy swoich obowiązków miesięcznik regionalny, *Pismo* zainteresowane było także w promowaniu własnej, zawsze bogatej w literaturę prowincji. Był to program ambitny i niełatwy: stać się trybuną literacką o charakterze uniwersalnym i zarazem lokalnym. I *Pismo* faktycznie w krótkim czasie stało się oparciem dla młodszych i starszych literatów krakowskich, a także poważną konkurencją dla tetryczającej *Twórczości*. Krakowski miesięcznik nie zakładał i nadal nie zakłada żadnego sztywnego programu: jest pismem otwartym, ale z własną twarzą, pismem, które wbrew wyrokowi RSW Prasy znakomicie rozumiało w „jakim żyje czasie”. Dodajmy, że poza *Odrą*, *Pismo* jest jedynym miesięcznikiem literackim w Polsce, który pozwala sobie na luksus ilustracji.

Miesięcznik był od dawna marzeniem ludzi, którzy go stworzyli i zapewne dlatego od razu mógł się stać małą, upartą trybuną dla tych, którzy chcieli działać publicznie, nie schodząc do podziemia i nie ograniczając się do czasopism katolickich, które i tak trzeszczą w szwach od nadmiaru materiałów. *Pismo* nie przypomina wydawnictw podziemnych, bo w to, w czym je przypomina, ingeruje natychmiast cenzura. Cenzura ingerowała od samego początku, także w tych miesiącach, w których na Zachodzie (nawet w środowiskach emigracyjnych) panowała powszechna opinia, że cenzura w Polsce nie istnieje. Wiem, że w wielu wypadkach lokalna cenzura surowsza była od centralnej i ona decydowała o tym, co tutaj często braliśmy za dowód wyjątkowej odwagi lub też tchórzliwej ostrożności.

W nowym *Słowie od Redakcji* do numeru pierwszego można przeczytać m.in. o „głębokim sensie ciągłości kultury narodowej” i „niepodzielności literatury polskiej”. Owa niepodzielność — czytamy — jest dziś szczególnie istotna i dotyczy zarówno czasu jak i przestrzeni w kulturze narodowej, której nie da się budować przy istnieniu „białych plam”. „Otwieramy szeroko łamy dla poetów, prozaików, eseistów (...) niezależnie od postaw filozoficznych i poetyk, jakie reprezentują, miejsc, w których mieszkają i języków, z których są tłumaczeni”. Na końcu życzenie o „autentyczną normalizację stanu naszej kultury”. Nie jest to może — w swojej nowej wersji — tekst rewolucyjny, jest to jednak tekst pełen godności i niepozbowiony konkretnych politycznych postulatów.

Dopiero czytając ostatni, czwarty numer zauważyłam, że *Pismo* wywalczyło sobie własną graficzną formę na oznaczenie ingerencji cenzury: są to trzy kropki w okrągłym nawiasie. Najwięcej znaleźć ich można w dyskusji redakcyjnej *O humanistyce*, w której m.in. wzięli udział Henryk Markiewicz, Klemens

Szaniawski i ks. Józef Tischner. Jest ich także sporo w eseju M. Wyki (zresztą politycznie niewinnym) o Jerzym Stempowskim (Hostowcu), i w eseju Teresy Wallas o „Miażdże” Andrzejewskiego.

W ogóle świetny jest ten czwarty numer. Otwiera go pięć wierszy Osipa Mandelsztama w tłumaczeniu Marii Leśniewskiej, z takimi np. linijkami: „Umrzemy jak piechota, / Lecz nie będziemy stawili / sługusostwa, chciwości ani łgarstw. / Została nam pajęczyna starego szkockiego pledu: / Nakryjesz mnie nią, jak flagą wojskową, gdy umrę. / Wypijmy, kochanie, za naszą jęczmienną niedolę . . / Wypijmy do dna!”. A w innej strofie: „Spróbujcie mnie oderwać od epoki — / Zaręczam, że skręcicie sobie kark!”.

Dyskusja o humanistyce, której nie sposób zreferować tu tak, jakby na to zasługiwała, jest uczciwa, odważna i fachowa. Mowa w niej o potrzebie ratowania humanistycznych dyscyplin (i ogólnie: myśli o człowieku w społeczeństwie i historii) od prowincjonalizmu, politycznego zaduchu i ucieczek w wieżę z kości słoniowej. Z prozy tłumaczonej znalazło się tu arcydzieło z czasów pierwszej wojny światowej i początków rewolucji w Rosji: Michała Bułhakowa *Niezwykłe przygody doktora* w tłumaczeniu Andrzeja Drawicza. Z prozy polskiej m.in. dwa bardzo ładnie zestawione opowiadania, Jana Rybowicza „Zwariować z życia” i Włodzimierza Paźniowskiego „Wieczorna trwoga”. Obydwa, podejrzewam, podszyte są ironią. Ale jedno traktuje o nagle odzyskanej radości z życia i wszystkiego, co przynosi codzienność, a drugie — o patologicznym strachu przed życiem. Obydwa są świetnie napisane, niezbyt długie i po lekturze tasiemcowych próz drukowanych w *Twórczości*, wydzwaczonych, oderwanych absolutnie do wszystkiego poza sadystyczną rozkoszą, którą autorzy przejawiają w znęcaniu się nad semantyką i syntaksą — czytelnik odczuwa prawdziwą ulgę.

Pismo jednak postawiło na esej, nie tylko zresztą krytyczno-literacki. Pomijając takie teksty jak Błońskiego o Gombrowiczu w jednym z poprzednich numerów, przyznam, że nie jestem ich formą zachwycona. Pozornie są bez zarzutu: zawierają odpowiednią dozę uczoności i własnego, osobistego stylu. Ale czegoś im nie dostaje. Najpewniej tego, co właśnie było cechą Stempowskiego (a w Kraju Kazimierza Wyki i jego genialnych uczniów: Błońskiego, Kijowskiego, Flaszana), i co nadal jest cechą eseistów emigracyjnych: Konstantego Jeleńskiego, Macieja Brońskiego, Miłosza, Herlinga Grudzińskiego. Chwywanie byka za rogi. Mówienie własnym stylem absolutnie własnego zdania.

Świetnie natomiast reprezentowana jest historia nowszej literatury polskiej (w ostatnim numerze listy Witkacego do Żeromskiego w znakomitym opracowaniu Jerzego Illgi). Recenzje z książek — poza arcydziełami Szymborskiej — cierpią na tę samą chorobę, co esej: skomplikowany aparat naukowy, nikłe wartościowanie. Przymierzanie podniosłych kryteriów do książek średniej wartości, zanik osobistych gustów literackich. W ostat-

nim numerze, w rubryce *Szkice i recenzje* znalazł się nawet dziwoląg pióra zasłużonego Karla Dedeciusa: refleksje na temat wierszy Karola Wojtyły. Pierwsze ich zdanie brzmi: „Tworzywem tej poezji jest myśl *in statu nascendi* jako treść dla formy i forma dla treści, rozumiała i dostrzegalna”. Szczerze zazdroszczę temu, kto to zdanie zrozumie.

Kolejne numery (oby były!) zapowiadają się ciekawie. Z poezji m.in. wiersze Białoszewskiego, Szymborskiej i Nowaka. Z prozy: Hanna Krall, Nabokov, Singer i Szczypiński. *Szkice*: Błońskiego, Głowińskiego, Ficowskiego i Przybylskiego. Brak mi bardzo w zapowiedziach Zbigniewa Herberta, który podobno uparł się, że w niczym, co państwowe nie będzie publikował.

Jak dotąd ukazało się 11 numerów *Pisma*, w tym dwa podwójne. Wszystkiego najlepszego! Trzy razy. Z wielkim rozrzewaniem i nieukojoną nostalgią.

Janina KATZ HEWETSON

Polacy w Toronto

Pod takim tytułem ukazała się siedemnasta już publikacja Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego w Toronto, zamykająca wedle słów jednego z trojga autorów książki, red. Benedykta Heydenkorna, ogólną fazę badań polonijnego życia społecznego w Kanadzie przez tenże Instytut inspirowaną i proponowaną.

Studium to oparte jest na ankiecie przeprowadzonej w 1978 roku wśród ośmiu tysięcy Polaków torontońskich. Pomimo intensywniej kampanii informacyjnej odzew nie był najlepszy, bo zebrano zaledwie 1.395 wypełnionych kwestionariuszy. Badania dotyczyły ludzi najbardziej aktywnych, związanych z organizacjami, stanowiących grupę społecznie czynną. Ograniczenie się do niej miało na celu uzyskanie wyraźnego obrazu rzeczywistości. Niemniej wypadł on słabiej niż się spodziewano, gdyż ankietowane osoby wypowiedziały się zdawkowo i potraktowały niektóre pytania jako nazbyt osobiste, nie odpowiadając na nie wcale. Uprzedzenie czy nieufność ta cechują szczególnie świeżych imigrantów. Nie zapominając tych zastrzeżeń skonstatujemy czytając książkę, że przynosi ona sporo ciekawych informacji o polskiej grupie w stolicy Ontario, najliczniejszej w Kanadzie, w przeddzień napływu nowej fali polskich imigrantów, którzy profil tu prezentowany zmieniają znacznie.

Przebadaniem i oceną wyników ankiety zajęła się Ewa Morawska, profesor socjologii PAN-u z Warszawy. Nakreśliwszy demograficzny i społeczno-ekonomiczny profil respondentów ankiety i ich kulturalną pozycję, omówiła kwestie zachowania języka i tradycji polskich, udział Polaków kanadyjskich w organizacjach polonijnych i życiu kulturalnym oraz towarzyskim. Następnie prześledziła ich udział w organizacjach kanadyjskich i życiu politycznym kraju zamieszkania.

W konkluzji sugeruje ona, by w przyszłości odstąpić od typu badań

dotąd przeprowadzanych, by nie dublować pracy ale koncentrować się na ściśle określonych zagadnieniach. Zamiast więc, dla przykładu, badać ubywanie polskości wśród imigrantów należałoby przestudiować wpływ kanadyjskości na polskie tradycje. W szczególności zaś przyszły badacz zwrócić się powinien ku bardziej specyficznym aspektom społeczności kanadyjsko-polskiej: rodzinie i jej członkom jako nosicielom kultury i tradycji, roli kobiety, kontaktom ze społeczeństwem kanadyjskim, przeobrażeniom parafii etnicznej itp. Sądzi, że niektóre studia na te tematy można zlecić studentom historii, psychologii i socjologii na kanadyjskich uniwersytetach. Powstałyby w ten sposób materiały stwarzające podstawę do bardziej ambitnych badań.

Benedykt Heydenkorn w uwagach o ankiecie podkreśla zasadniczy brak szczerości i dwuznaczność odpowiedzi, co utrudnia ich odczytanie i ogranicza użyteczność. Zauważa m.in., że Polacy utrzymują kontakty z wszystkimi grupami narodowościowymi z wyjątkiem anglosaskiej.

Dyrektor Instytutu Rudolf Kogler naszkicował profil kanadyjsko-polskiej grupy w Toronto, zestawiając wyniki ankiety ze spisem ludności z 1971, co pozwoliło wziąć pod uwagę 51 tysięcy osób.

*Poles in Toronto*¹, mówiąc nam dużo o swoim przedmiocie, stanowi niezbędne, podstawowe studium, na które powoływać się będą przyszłe badania szczegółowe. Autorzy zaś, nie wchodząc w statystyczne analizy, dali książkę o szerszej użyteczności. Aczkolwiek pole obserwacji zostało zwężone i nie reprezentuje całej polskiej grupy, załączone liczne tabelki pozwalają na porównanie z innymi grupami narodowościowymi w Toronto, ujawniając ogromne zróżnicowanie wewnętrzne. Świetnie napisana, książka dowodzi doskonałej, fachowej roboty nacechowanej dokładnością oraz roztropną ostrożnością konkluzji.

Florian ŚMIEJA

1. *Poles in Toronto (In their own perception)*. Ewa Morawska, Benedykt Heydenkorn, Rudolf Kogler, Canadian Polish Research Institute, Toronto, 1982, str. 237.

Nadesłane nowości wydawnicze

MERTON (Thomas). *Nikt nie jest samotną wyspą*. Tłum. Maria Morstin-Górska. Str. 317 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 120).

TOMASZ Z AKWINU. *Ewangelia Ojców Kościoła*. Wybór i przekład o. Jacek Salij. Str. 265 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 160).

ZYCHIEWICZ (Tadeusz). *Dom Ojca. Rok Mateusza. Rok Mar-*

ka. Rok Łukasza. Str. 541 i 3 nlb. Wyd. II. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 300).

PIETRASZKO (Jan, ks.) *Medytacje w drodze*. Str. 366 i 6 nlb. Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 160).

FROSSARD (André). *Rozmowy z Janem Pawłem II. „Nie lekajcie się”*. Tłum. Anna Turowiczowa. Str. 281 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 200).

BONIECKI (Adam, ks. MIC, opracował). *Kalendarium życia Karola Wojtyły*. Str. 909 i 35 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1983).

WOJTYŁA (Karol, kard.). *Ojczyzna*. Wiersze. Str. 64. (Wyd. Znak, Kraków 1983, cena zł 300).

LIPSKI (Jan Józef). *KOR (Komitet Obrony Robotników. Komitet Samoobrony Społecznej)*. Str. 434. (Wyd. Aneks, Londyn 1983, cena \$ US 17,90, £ 8,90).

ZDZIECHOWSKI (Marian). *Widmo przyszłości. Szkice historyczno-publicystyczne*. Str. 232 i 4 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, Lozanna, jako przedruk wydania wileńskiego z 1939 roku).

EJBICH (Bohdan). *Wytrwali do końca*. Str. 217 i 3 nlb. (Wyd. IV, Toronto 1983).

ERDMAN (Marta). *W oboim żywiole*. Str. 84. (Druk prywatny, Albany, 1983).

Prawda - Wyzwolenie. Dwumiesięcznik programowy, Nr 1/8 1983. Str. 182 i 2 nlb. (Wydawnictwo Maxilanium, Carlsberg, RFN. Cena: DM 10).

MACKIEWICZ (Józef). *Sprawa pułkownika Miasojedowa*. Powieść. Str. 663 i 1 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn 1983).

GIERTYCH (Jędrzej). *Na świętej Warmii*. Powieść. Str. 223 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1983).

VARILLON (François). *Pokora Boga*. Tłum. z francuskiego ks. Mieczysława Figarski. Str. 141 i 3 nlb. (Wyd. Ed. du Dialogue w serii „Znaki czasu”, Paryż 1982).

FROSSARD (André). *Credo*. Tłum. z francuskiego Anna Turowiczowa. Str. 109 i 3 nlb. (Wyd. Ed. du Dialogue w serii „Znaki czasu”, Paryż 1983).

OGIERMANN (Otto). *Do ostatniego tchu*. (Proces Bernharda Lichtenberga, Proboszcza katedry św. Jadwigi w Berlinie). Str. 183 i 4 nlb. (Wyd. Ed. du Dialogue, Paryż 1983).

LEWAŃSKI (Ryszard Kazimierz). *Polonica rękopiśmienne w archiwach i w bibliotekach włoskich*. Str. 310. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1978).

JERZEWSKI (Leopold). *Dzieje sprawy Katynia*. Wyd. III. Str. 87 i 7 nlb. (Wyd. Głos, Nowy Jork 1983, jako przedruk wydania krajowego).

ŚWIDZIŃSKA (Halina). *Wykroty*. Powieść. Str. 225 i 3 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1983).

KAZ-OSTASZEWICZ (Kazimierz). *Kryształowa kula*. Str. 119 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1983).

MIĄZEK (Bonifacy). *Teksty i komentarze*. Str. 224 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1983).

JANIN (Józef). *Nadzieja*. Str. 136 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1983).

SZUTA (Feliks). *Wiara i ojczyzna*. Wybór wierszy. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. International Language Courses, Nowy Jork, USA).

LAURENT (Maryla). *Tadeusz Konwicki — życie i twórczość*. Str. 8 i 2 nlb. (Wyd. Club Culturel Franco-Polonais przy Université de Lille III, Lille 1983).

Les droits de l'homme et du citoyen en République Populaire de Pologne pendant l'état de guerre. 13 décembre 1981 - 31 décembre 1982. Texte élaboré par le Comité Helsinki en Pologne avec l'autorisation de Zbigniew Bujak, Władysław Hardek, Bogdan Lis, Józef Pinior et Eugeniusz Szumiejko. Pologne, février 1983. Str. 305 i 2 nlb. (Wyd. Bureau de Coordination de NSZZ Solidarność à l'Etranger, 9, Av. de la Joyeuse Entrée, 1040 Bruxelles).

Internationale de la Résistance — Press Book. Str. nlb. (Wyd. j.w., Paryż 1983).

MONOD (Jean-Marie). *La férocité littéraire*. De Malherbe à Celine. Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. La Table Ronde, Paryż 1983, cena F. 82).

WYRWA (Tadeusz). *La résistance polonaise et la politique en Europe*. Str. 590 i 2 nlb. (Wyd. Editions France Empire z subwencji Fundacji Lanckorońskich, Paryż 1983. Cena F. 92).

Lettres de Philippe Mazzei et du roi Stanislas-Auguste de Pologne. Vol. I. Str. 412 i 4 nlb. (Wyd. Isti-

- tuto Storico Italiano per l'eta moderna e contemporanea, Rzym 1982, cena lirów 35.000).
- Jalons. Ne tirez pas sur vos frères! (25 poètes polonais). Str. 50 i 3 nlb. (Wyd. Jalons, Paryż 1983).
- MAREK (Edmond). Cyprian Kamil Norwid (1821-1883). Clochard de Dieu et grand poète. Str. 53 i 3 nlb. (Wyd. Club Culturel Franco-Polonais „Polonia”, Lille 1983).
- MINK (Georges). Approches de la structure sociale en Pologne: du dogme unique au pluralisme d'écoles. (Nadbitka z Revue d'Etudes Comparatives Est-Ouest, vol. 13, No 4/1982. Str. 129-156. Paryż 1982).
- Polish Affairs nr 110, Spring 1983. Str. 40. (Wyd. Londyn 1983).
- TOURAINÉ (Alain), DUBET (François), WIEVIORKA (Michel), STRZELECKI (Jan). Solidarity. Poland 1980-1981. Tłum. z francuskiego David Denby. Str. 203 i 3 nlb. (Wyd. Cambridge University Press i Editions de la Maison des Sciences de l'Homme, Cambridge, Great Britain, 1983, cena £ 6.95).
- SANFORD (George). Polish Communism in Crisis. Str. 249 i 7 nlb. (Wyd. Croom Helm, London and Canberra, St. Martin's Press, Nowy Jork 1983).
- PREČAN (Vilém, oprac.). Human Rights in Czechoslovakia: A Documentation. September 1981 - December 1982. Str. 115 i 1 nlb. (Wyd. International Committee Czechoslovakia and Help and Acfor the Support of Charter 77 in tion Coordination Committee Paris, April 1983).
- LUBANSKI (Josef). „Vive la Pologne” revisited. Str. 35 i 3 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Sutter Creek Ca, USA, 1983).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). The Impact of Knowledge: The Ecology of Knowledge. W: Hommage à François Mayer. (Wyd. Publications Université de Provence, Aix-en-Provence 1983).
- BARTOSZEWSKI (Władysław). Das Warschauer Ghetto — wie es wirklich war. Zeugenbericht eines Christen. Przedmowa St. Lema. Str. 123 i 5 nlb. (Wyd. Fischer Taschenbuch Verlag, Frankfurt/Main 1983).
- OSADCZUK (Bogdan). Weisser Adler, Kreuz und Rote Fahne. Chronik der Krisen des kommunistischen Herrschaftssystems in Polen 1956-1982. Str. 203 i 5 nlb. (Wyd. Verlag Neue Zürcher Zeitung, Zürich 1982).
- SOŁŻENICYN (Aleksander). Krasnoje koleso. Powiastwowanie w otmierennych srokach. Uziel I: Awgust czetyrnadcatowo. Gławy 1-38 — str. 466 i 2 nlb. Gławy 49-82 — str. 545 i 3 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1983).
- ANTONOWICZ (Aleksander). Mnogosiemiejnaja chronika. Prodożenije. Str. 247 i 1 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paryż 1983).
- Ukrajńska helsińska hrupa. 1978-1982. Dokumenty i materiały. Opr. Osiip Zinkiewicz. Str. 998 i 4 nlb. (Wyd. Ukrajinske Wydawnictwo „Smołoskyp” im. W. Symonenki, Toronto - Baltimore, 1983).
- Forum. Obszczestwienno-politiczeskij żurnał. Nr 3/1983. Str. 240. Wyd. Suczasnist, Monachium. Cena: \$ US 7).
- LEC (Stanislav Jžei). Neočesljane misli. Tłum. Petar Vujičić. Str. 247 i 1 nlb. (Wyd. Narodna Knjiga, Belgrad 1983).
- MORAWSKI (Dominik). Non volevamo la luna. La lotta per i diritti sindacali e democratici in Polonia. Str. 164 i 4 nlb. (Wyd. Edizioni lavoro, Rzym 1983).
- GOLDKORN (Włodzimierz) opr. La Polonia e noi. Przedmowa Rossanny Rossanda. Str. 310 i 6 nlb. (Wyd. Marsilio Editori, Wenecja 1983).
- BOROWSKA (Maria, wybór i tłumacz.). Krigstillstandets Polen. Artiklar och dokument fran den demokratiska rörelsen. Str. 116. (Wyd. Institutet för social forskning, Sztokholm 1983).

Polemiki

List z Kraju

Druga wizyta Papieża Jana Pawła II w Polsce była długo — na oczach całej światowej opinii publicznej — przedmiotem przetargów między rządem PRL a Stolicą Apostolską. Przesunięto najpierw jej termin niemal o rok; następnie władze komunistyczne w Polsce ostentacyjnie odrzuciły postulaty strony watykańskiej, m.in. sugestię zniesienia uprzednio w Polsce stanu wojennego i udzielenia amnestii wszystkim skazanym z powodów politycznych oraz zwolnienia wszystkich internowanych i uwięzionych. *Mass media* PRL podkreślały wielokrotnie, że Papież może przybyć ponownie do Polski tylko na warunkach ustalonych przez władze. Ograniczono w końcu obszar wizyty, rezygnując m.in. z Gdańska i Lublina. Jan Paweł II żądania władzy w Warszawie zaakceptował.

W kwestii celowości i sensu moralno-politycznego drugiej pielgrzymki Papieża do Polski opinia publiczna była zdecydowanie podzielona — i to w niespotykany dawniej w naszym kraju sposób, mniej więcej 50:50, przy czym w środowiskach intelektualnych i opiniotwórczych przeważali (przynajmniej w Warszawie) przeciwnicy wizyty Papieża w tym właśnie momencie i na takich warunkach, w stosunku mniej więcej 60:40; natomiast wśród ogółu społeczeństwa stosunek do nowej pielgrzymki układał się odwrotnie. Przeciwnicy przyjazdu Papieża do Polski w czerwcu 1983 wysuwali następujące argumenty:

1) bez względu na intencje Ojca Świętego i Jego wystąpienia na terenie Kraju wizyta przed zniesieniem stanu wojennego i uwolnieniem wszystkich uwięzionych będzie *de facto* uznaniem zamachu 13 grudnia za nie budzący żadnych zastrzeżeń z punktu widzenia nauki społecznej Kościoła;

2) społeczeństwo polskie spodziewające się po wizycie Papieża radykalnych zmian w swoim położeniu i ogólnej sytuacji

Kraju dozna bolesnego wstrząsu, gdy okaże się (oczywiście), że żadne istotne zmiany nie nastąpiły;

3) zamiast politycznej i ideowej integracji nastąpi wskutek tego zawodu zasadniczy i trwały podział opinii krajowej, który da rządowi generała Jaruzelskiego szansę skutecznego tłumienia wszystkich dążeń emancypacyjnych i odrodzeniowych.

Rząd PRL był w wizycie papieskiej ogromnie zainteresowany, chociaż obawiał się najwyraźniej niepożądanych skutków społecznych. Trzeba pamiętać, że po 13 grudnia 1981 wizyta Papieża w PRL była pierwszą wizytą głowy państwa i osoby politycznej liczącej się w całym świecie. Wyprowadzała więc PRL z politycznej izolacji i dawała szansę ubiegania się o restytucję pozycji międzynarodowej sprzed 1980 roku, tak czy owak bez porównania dla Warszawy korzystniejszą.

W czasie swojego pobytu w Polsce (od czwartku 16 do czwartku 23 czerwca) Ojciec Święty okazał w swoich publicznych wystąpieniach wobec tłumów Polaków ogromne opanowanie i powściągliwość w nawiązywaniu — choćby aluzyjnym — do spraw politycznych. Opinia publiczna dopatrywała się w roznamienieniu we wszystkich prawie wystąpieniach Papieża — od mszy na stadionie w Warszawie do mszy na krakowskich Błoniach — sensu znacznie głębszego i treści znacznie dalej idącej, jeżeli chodzi o interes narodowy Polski, niż w rzeczywistości miało miejsce. W każdym razie Ojciec Święty stopniowo powiększał siłę swoich aluzji, osiągając ich kulminację zapewne na Górze św. Anny i w Katowicach. Liczące wiele setek tysięcy osób tłumy zgromadzonych w czasie papieskich mszy budziły niewątpliwie niepokój władz. Tym bardziej, że cała Polska czekała na końcowe przemówienie Ojca Świętego na lotnisku w Balicach pod Krakowem, gdy po zakończeniu wizyty i rezygnując już na cały dzień 23 czerwca z tytułu oficjalnego gościa nie tylko Kościoła polskiego, ale i władz PRL, Papież mógłby poddać zasadniczej ocenie nieprawości systemu „stanu wojennego” w Polsce.

W tej sytuacji w środę 22 czerwca, w godzinach wieczornych, nastąpiło wydarzenie niezwykle. W głównym dzienniku Telewizji Polskiej o 19.30 podano wiadomość o spotkaniu na Wawelu w Krakowie — „na życzenie strony kościelnej”, co zresztą okazało się w dwa dni później nieprawdą — generała Wojciecha Jaruzelskiego z Papieżem Janem Pawłem II. Spotkanie miało trwać „ponad godzinę”, co zresztą wydaje się z kolei prawdą (przedstawione w TVP fragmenty przyjazdu i powitania Papieża na Wawelu rejestrowane były jeszcze w pełnym świetle dziennym, a więc przed godz. 19.00, sceny odjazdu z Wawelu w czasie nocy, a więc na pewno po godz. 21.00). W trzecim, najpóźniejszym wydaniu dziennika telewizyjnego spikerka odczytała komunikat mniej więcej tej treści: „Szczegółowe sprawozdanie ze spotkania oraz podjęte tam ustalenia poda jutrzejsza prasa”. Cały program TVP wieczorem 22 czerwca przebiegał w atmosferze dziwnego niepokoju i zdenerwowania.

Naturalnie ani „jutrzejsza” — tj. z 23 czerwca, ani późniejsza prasa nie podała (do dnia dzisiejszego) zapowiedzianego komunikatu. Spotkanie na Wawelu przeszło tym samym do historii tajnej dyplomacji. Najbardziej zainteresowani tą sprawą, to jest obywatele państwa polskiego, nie uzyskali żadnej informacji na temat bądź co bądź niebłahy: co o ich losie i przyszłości mówili w czasie ponad godzinnego spotkania na Wawelu szef „junty” wojskowej PRL gen. Jaruzelski i Papież Jan Paweł II. Telewizjowcy mogli tylko zaobserwować w scenie pożegnania na Wawelu pogodną, spokojną twarz Ojca Świętego i równie pogodną, ale w wyjątkowym natężeniu radosną twarz gen. Jaruzelskiego. Narzucał się wniosek, że obaj dostojnicy doszli do pełnej ugody w jakichś bardzo ważnych, zasadniczych sprawach.

Niewielu Polaków — bowiem działo się to późną nocą — zauważyło dziwny program nadany przez TVP w jej programie II, od godziny 23.30 dnia 22 czerwca do godziny 1.30 dnia 23 czerwca. Była to uroczysta, pełna retransmisja mszy odprawionej przez Ojca Świętego na krakowskich Błoniach, najwyraźniej zmontowana z tych fragmentów taśmy magnetowidowej, które kilkanaście godzin wcześniej zostały odrzucone. Zasadą TVP była, jak wiadomo, prezentacja ogólnego widoku miejsca mszy tylko w bardzo ograniczonym zakresie, tak aby było widać przede wszystkim postać Papieża, a jedynie w sekundowych fragmentach wielesettysięczne tłumy. Tym razem było odwrotnie. Prawie połowę czasu retransmisji zajęły widoki ogromnych, aż pod horyzont ciągnących tłumów wiernych.

Następnego dnia o godzinie 16.20 rozpoczęła się bezpośrednia transmisja uroczystości pożegnania Papieża Jana Pawła II na podkrakowskim lotnisku w Balicach. Helikopter papieski przybył jako ostatni z trzech. Wsiadłszy na beton lotniska, Papież rozmawiał ponad dwadzieścia minut z Henrykiem Jabłońskim oraz kardynałami Macharskim i Glempem. Wyselekcjonowana skądinąd publiczność zaczęła się niecierpliwić. W końcu rozpoczęły się ceremonie pożegnalne. Po dość gładkim ale akcentującym w sposób zasadniczy raczej polityczne PRL przemówieniu Henryka Jabłońskiego, dość długo, jak zwykle nieudacznie, rozwoził się Prymas Józef Glemp. W końcu zabrał głos Ojciec Święty.

Dla wszystkich, którzy przywykli do doskonałej stylistyki i świetnej ekspresji przemówień Papieża, mowa ta była zaskoczeniem. Papież tym razem po prostu obracał się wokół spraw niższych, posługiwał się sformułowaniami nic nie mówiącymi. Pod koniec przemówienia użył jednak sformułowania bardzo wiele znaczącego.

Jest rzeczą naturalną, że Papież powiedział na wstępie, iż dziękuje „Panu Przewodniczącemu za słowa wypowiedziane przed chwilą w imieniu własnym oraz najwyższych władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Przez wymienienie na wstępie owych „najwyższych władz” ofiara na ołtarzu bieżącej polityki została złożona. Wszelkie dalsze akcentowanie uznania PRL miałyby już

ogromne znaczenie moralno-polityczne — znaczenie otwartego poparcia nie tylko „junty” Jaruzelskiego, ale w ogóle całego pojaźniańskiego systemu egzystencji Polski.

Niestety... Kończąc mowę na lotnisku w Balicach Jan Paweł II życzył władzom państwowym, aby „zabezpieczyły zasłużone miejsce państwa polskiego, Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (podkreślenie moje — Ł.J.) pośród narodów Europy i świata” (*Trybuna Ludu* z 24 czerwca 1983, str. 2 — zgodne całkowicie z tekstem wygłoszonym w czasie bezpośredniej transmisji TVP).

Zapewne wystarczyłoby określenie „zasłużone miejsca państwa polskiego pośród narodów Europy i świata”. Łącząc określenie „państwa polskiego” bezpośrednio ze stwierdzeniem: „Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, Jan Paweł II oświadczył oficjalnie, że w Jego pojęciu państwem polskim jest i może być tylko PRL.

To wystąpienie Papieża wywołało oburzenie znacznej części niezależnej opinii polskiej. Ale w tej sytuacji trudno się dziwić szczęściu i radośnemu upojeniu władz stanu wojennego PRL.

Tym bardziej, że nastąpiły później z pozoru drobne, ale bardzo irytujące i gorszące wydarzenia. Papież żegnał się z przedstawicielami władz, Kościoła i społeczeństwa. Niemal pod łokcie trzymał go Henryk Jabłoński, a wdzierająca się za nimi w tłum kamera telewizyjna przekazywała nie tylko wizję, ale i — bardzo wyraźnie — fonię. Spodziewaliśmy się, iż Ojciec Święty zachowa się w stosunku do Henryka Jabłońskiego, przedstawiciela władzy panującej w Polsce, która swoją inwestyturę uzyskała z rąk Józefa Stalina, w sposób protokolarnie bardzo poprawny, ale zdecydowanie chłodny, wprost lodowaty. Tymczasem nastąpiła przed kamerami swoista — trzeba użyć tego słowa — fraternizacja, serdeczne uściski, życzenia zdrowia i młodości... Jakby Ojciec Święty żegnał się na lotnisku w Balicach z przedstawicielem nie totalitarnej i w stanie wojennym pozostającej PRL, ale z głową państwa arcykatolickiego i najbardziej demokratycznego w świecie.



Jan Paweł II odjechał, PRL-owskie *mass media* przeżyły chwilę upojenia, sugerując, że Papież potępił zdecydowanie politykę Ronalda Reagana. W dzień po wyjeździe Papieża rząd PRL ogłosił haniebny „protest” przeciwko przemówieniu prezydenta USA do Kongresu Polonii Amerykańskiej, oczywiście nie ujawniając społeczeństwu polskiemu tekstu tego wystąpienia. Jest zabawne i ponure zarazem, iż rząd Jaruzelskiego zdobywa się na takie wybryki, wyciągając jednocześnie w stronę USA zębrzącą rękę i licząc na pomoc Papieża w skłonieniu prezydenta USA do zniesienia sankcji wymierzonych przeciwko stanowi wojennemu w PRL.

Zapewne stan wojenny w Polsce zostanie rychło zniesiony... wszystkie postanowienia dekretu o stanie wojennym z dnia

12 grudnia 1981 zostały już wprowadzone do „normalnego” ustawodawstwa PRL i Kodeksu Postępowania Karnego, więc stan wojenny nie jest już faktycznie potrzebny. Zapewne... spodziewa się polska opinia publiczna... święto PRL w dniu 22 lipca uczczone zostanie amnestią, choćby częściową i bardzo obwarowaną zastrzeżeniami. A poza tym... wszystko będzie jak dotychczas.

Ł. J.

Warszawa, 11 lipca 1983

Strauss w Polsce

Po papieżu zjawił się w Polsce niespodziewany gość. Franz Joseph Strauss. Zawodowym ekspertem do spraw niemieckich: Wojnie, Męclewskiemu, Lulińskiemu i Podkowińskiemu sparaliżowało to pióra. Tylko Bartosz we Wrocławiu wyłamał się. Napisał, że trzeba rozmawiać nie tylko ze Straussem, ale przede wszystkim z kanclerzem Kohlem. W *Życiu Warszawy* natomiast powierzono komentatorską misję niejakiemu Kołodziejczykowi, publicyście drugiego rzutu, który — uzasadniając konieczność dialogu — stwierdził, że należy go prowadzić nawet z diabłem, w myśl „trafnego sformułowania”, założyciela PAX-u Bolesława Piaseckiego (w książce „Siły rozwoju”).

Nikt nie odważył się wspomnieć, że to Kisiel już przed laty nawoływał polskich prominentów do zmiany kursu wobec Straussa. Trudno od ich następców wymagać angielskiego stylu. Kisiel jednak może dziś powiedzieć, że choć późno, ale władza go posłuchała. Traf chciał, że niedługo przed przyjazdem w prasie podziemnej ukazał się panegiryk pod adresem Bawarczyka, pełen dawnych i nowych iluzji. Ten nieco przedługi i nieaktualny elaborat pt. „Strauss i sprawa polska” Wolna Europa nadała akurat na początku jego wizyty nad Wisłą, kiedy zwrot w postawie monachijskiego polityka był już powszechnie znany, a skutki jego pobytu w Polsce co najmniej nieobliczalne. Niektórzy bardziej krewcy tubylcy w „priwisłanskim kraju” chcieli telefonować do ambasady amerykańskiej, aby się dowiedzieć co się dzieje z polityką w Radio Wolna Europa.

Strauss o kontakty z opozycją zupełnie się nie starał. Mało tego — na pewne zabiegi w tym kierunku, które wyszły od opozycji — zareagował obelżywie. Postawił od razu na dwa konie: Jaruzelskiego i Głępa. Dwukrotnie spotykał się z „grubym Funiem” — jak tu przezywają opasłego ministra Spraw Zagranicz-

nych, Stefana Olszowskiego, i podobno — jak twierdzą uporczywie przecieki z Dąbrowieckiej 30 — bardzo sobie przypadli do gustu. Jednak głównym informatorem Straussa był najpierw jego szwagier Albrecht, pierwszy sekretarz ambasady RFN na wspomnianej Dąbrowieckiej. Albrecht jest typowym Niemcem legalistą i rozumuje zupełnie po linii Jaruzelskiego. Jeśli kogoś poza Rakowskim respektuje, to chyba tylko ślązaka, księdza Alojzego Orszulika, prymasowskiego szefa prasy, i może jeszcze politycznie elastycznego w poglądach biskupa Jerzego Dąbrowskiego (nie mylić z opierającym się o twarde imponderabilia sekretarzem Episkopatu arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim).

Drugim niemieckim informatorem Straussa był nowy ambasador z Bonn, Röding, w sprawach polskich kompletnie nieobeznany. Jest on następcą Negwera, który był wytrawnym dyplomata, a *polnische Probleme* znał od podszewki. Röding nie musi się zaniechać starać, bo Warszawa to jego ostatnia placówka wiódąca prosto na emeryturę. Straussa ustawił też, a może przede wszystkim, Rakowski. Ponadto Strauss udzielił warszawskiej telewizji sławnego wywiadu, który obiegił prasę światową, a przede wszystkim polską.

Spór o Straussa

Olbrzymi, bo miliardowy, kredyt dla komunistycznego reżymu w Niemczech Wschodnich, udzielony pod faktycznym protektorem Straussa i jego wyprawa do CSSR, PRL i NRD, stały się politycznym przebojem sezonu ogórkowego w Niemczech. Nie zaskoczyło to ludzi znających bliżej matadora sceny bawarskiej, jego niepomamowane ambicje i chyba żądze odwetu na Kohlu a zwłaszcza Genscherze za to, że nie został wicekanclerzem i sternikiem polityki zagranicznej Niemiec Federalnych. Mimo swych 68-miu lat Strauss czuje się wciąż jeszcze powołany do odegrania jakiejś roli dziejowej. A że w przypisywanej mu w powierzchownych charakterystykach pryncypialnej wierności Sojuszowi Atlantykemu czynił często rozmaite wykrętasz i zygzaki, zapomnieli jedynie ci, którzy się polityką nie trudnią zawodowo. Wiadomość o zasadniczej roli Straussa w czasie procedury ustalania wysokości i warunków miliardowego kredytu dla NRD zbulwersowała na wskroś konserwatywną i antykomunistyczną partię — CDU. Doszło nawet z tego powodu — rzecz dotychczas niespotykana — do scysji w gabinecie bawarskim. Niedyskrecje dotarły na łamy monachijskiej gazety *Münchener Merkur*. Strauss zażądał od niektórych ministrów złożenia deklaracji lojalności. Członkowie rządu bawarskiego ugięli się pod presją, ale zaraz potem doszło do nowych przecieków z kręgów najbliższych władzy: szef wymagał oświadczeń pod przysięgą. Nie wszyscy ministrowie poddali się temu upokorzeniu. Kierownik resortu kultury i szkolnictwa wyższego, prof. Maier, oświadczył: „Dość już tego cyrku. Toż to wstyd i hańba”. Niebawem doszło

do zwołania zjazdu partii CSU — zgodnie z przewidzianym terminem. Strauss został po raz pierwszy skonfrontowany z poważną opozycją. Prawie jedna trzecia delegatów odmówiła mu poparcia. Rozwścieczony, polecił — wbrew ustalonym preliminariom — zakończyć zjazd przedwcześnie i pojechał na Wschód.

Po powrocie zwołał od razu konferencję prasową. Ponieważ zaś jego oświadczenia — zwłaszcza te złożone w Warszawie — wywołały niekorzystne dlań echa w prasie, wśród kleru katolickiego i ze strony niemieckich organizacji charytatywnych, które organizują akcję wysyłania paczek do Polski, postanowił się od niektórych wypowiedzi odżegnać. Schronił się na wszelki wypadek pod skrzydła Prymasa Polski, kardynała Glempa i metropolity krakowskiego, kardynała Macharskiego, ale pozostał wierny kultowi generała Jaruzelskiego. Powiedział więc dziennikarzom m.in.: „W Polsce rozmawiałem intensywnie z ministrem Spraw Zagranicznych, Olszowskim — generał Jaruzelski pragnął mnie przyjąć, ale mieliśmy mało czasu, a on musiał w skupieniu przygotować swe przemówienie sejmowe — potem z wicepremierem Rakowskim i z szeregiem wysokopostawionych urzędników z różnych ministerstw. Później rozmawiałem przez trzy godziny z Prymasem, kardynałem Glępem, i przez dwie godziny z kardynałem Macharskim z Krakowa. Obydwaj — żeby mnie przyjąć — przerwali swój urlop. Oczywiście prowadziliśmy te rozmowy bez osób postronnych czyli kontroli, tak że ze względów technicznych podstęp był wykluczony. ... To, co powiedziałem na temat pomocy dla Polski, odpowiada zupełnie poglądom obydwu dostojników kościelnych... Wiem oczywiście, że ustawy które zastąpiły prawo wojenne w dużym stopniu nie odpowiadają temu, co my rozumiemy jako wolność dla obywateli i poszanowanie praw człowieka. Nie powinno się jednak zapomnieć, że Polska istnieje w takim systemie i musi żyć z takim sąsiadem, który — mówiąc ogólnie — ogranicza możliwości manewru Polaków. Moja opinia: na podstawie wielu informacji i wrażeń zebranych w czasie mego pobytu uważam, że polska partia komunistyczna jest absolutnie niezdolna do rozwiązania problemu Polski. Partia ta poważnie przyczyniła się do tego, że w latach 1980 i 1981 sytuacja stała się chaotyczną. Moim zdaniem i dziś nie ma ona koncepcji rozwiązania palących spraw. Już nieraz mówiłem — i to powtarzałem w Warszawie nie tylko wobec dostojników kościelnych — że rozwiązanie sprawy polskiej możliwe jest jedynie poprzez radykalną zmianę systemu socjo-ekonomicznego. A że ta zmiana ze względu na istniejącą konstelację jest niemożliwa — to druga prawda. I dlatego sprawa polska pozostaje sprawą otwartą. Nad tym krajem ciąży cień niepewności, niepokoju i troski o przyszłość. Co się tyczy ustaw, które zastąpiły prawa wojenne, a rządowi dały wyjątkowe możliwości, to chodzi tu o dzieło ustawodawcze, które — zdaniem dyplomatów z którymi rozmawiałem i moich partnerów kościelnych — czołowi funkcjonariusze partyjni przyjęli sceptycznie, a nawet odrzucili, ale Jaruzelski je jednak przeforsował... Również

moi kościelni rozmówcy mówili o pierwszym kroku, po którym winny przyjąć dalsze kroki. Ale widocznie Jaruzelskiemu, mimo gwałtownego oporu we własnych szeregach, udało się te kroki przeforsować. To nie jest jedynie wrażenie zachodnich koktajlowych dyplomatów, ale także wrażenie osób jak najlepiej poinformowanych...

Drugi temat: paczki. Nigdy nie powiedziałem, że należy skończyć z wysyłką paczek do Polski... Nikomu nie należy odradzać wysyłania paczek na adresy w Polsce, które otrzymuje od Caritasu czy Bóg wie jakiej organizacji. Ale jedynie duże pieniądze, które Polska otrzymałaby na pomoc humanitarną — na wielkie akcje — mogłaby służyć ulepszeniu produkcji, a przede wszystkim wydajności gospodarki rolnej... Kościół liczy, że to mogłoby nie tylko pomóc ludziom, ale ponadto wpłynęłoby na zelzenie politycznej presji”.

MONACHIJCZYK

NAKŁADEM „ANEKSU”

JAN JÓZEF LIPSKI

K O R

Jest to książka o wysiłkach gromady ludzi, bardzo różnych, którzy postanowili wystąpić w obronie bitych i więzionych robotników, przeciwstawić się totalizmowi, stworzyć ruch budujący przyszłą Polskę niepodległą i demokratyczną od podstaw, od pokazania swym przykładem, że można się przeciwstawić — o ludziach, których połączyły wspólne postawy moralne i którzy byli tylko ludźmi, a więc nieraz mylili się, kłócili się między sobą, a przy tym potrafili być zespołem — Komitetem Obrony Robotników.

KOR nie tylko stworzył oryginalny model opozycji, lecz przede wszystkim był prawie bezkonkurencyjny w działaniu, wiodącym od pomocy dla robotników w 1976 roku, przez „Robotnika” i Komitety Założycielskie Wolnych Związków Zawodowych do „Solidarności”.

Str. 536.

Cena: £ 8.90, \$ US 17.90.

Zamówienia wraz z wpłatą prosimy kierować na adres:

ANEKS, 61 Dorset Road, London W5, England

KRAJ — BLOK WSCHODNI

2-7-83

Zmarł w Warszawie Wojciech Kętrzyński, b. działacz PAX-u, b. radca kulturalny Ambasady PRL w Paryżu i b. przedstawiciel PRL w UNESCO.

16-7-83

W Warszawie odbyło się posiedzenie prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, na którym ogłoszono rozwiązanie tej organizacji. Ogłoszono apel, aby działacze Frontu wstępowali do PRON (Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego). Działacze Frontu otrzymali masowo odznaczenia państwowe.

18-7-83

Zmarł w Warszawie w wieku 51 lat Jerzy Łukaszewicz, b. członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR.

23-7-83

Na studia w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie zgłosiło się 500 kandydatów — tj. znacznie więcej niż w latach ubiegłych. Tematami prac egzaminacyjnych z dziedziny historii były: „Znaczenie militarno-polityczne i ideowe odsieczy wiedeńskiej”, „Polityczny i kulturowy dorobek Wielkiej Emigracji”, „Państwo Polskie między pierwszą i drugą wojną światową”; na kierunku teologicznym: „Sarmata jako bohater literacki”, „Dążenie do naprawy Rzeczypospolitej w literaturze Oświecenia”, „Norwid jako poeta religijny”.

26-7-83

W Wilanowie odbyło się doroczne spotkanie kierownictwa Urzędu do Spraw Wyznań z grupą polskich misjonarzy, księży i zakonnic, pracujących wśród Polonii zagranicznych, którzy przebywają na urloпах w Kraju. Na spotkaniu zostały poruszone „problemy patriotycznej działalności na obczyźnie osób duchownych”.

1-8-83

Został zlikwidowany II program Telewizji polskiej. ■ Sejm PRL zamierza przyznać Ministerstwu Spraw Wewnętrznych dodatkowy budżet dla stworzenia warunków obsady etatów tego resortu. Brakuje bowiem chętnych do pracy w Milicji, która „nie gwarantuje ani mieszkania ani wyższych poborów”.

5-8-83

Ożywiona działalność ministra Kultury PRL Kazimierza Żygulskiego: na miejsce rozwiązanego Związku Plastyków powołał on do życia przedsiębiorstwo „Sztuka polska”; ponadto udekorował ogromną ilość „twórców i działaczy kultury” odznaczeniami państwowymi. Najwyższe odznaczenie, tj. Krzyż Komandorski z gwiazdą orderu Odrodzenia Polski, otrzymał Stanisław Strumph-Wojtkiewicz. Wreszcie mianował na stanowisko dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie prof. Juliusza Bursze, rektora Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Szereg osób odmówił przyjęcia odznaczeń. ■ Monitor Polski w nr. 6 opublikował zarządzenie Prezesa Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk z dnia 14 lipca br. w sprawie pozabawienia debitu komunikacyjnego dziennika Narodowiec w Lens (Francja) i tygodnika Głos Polski — Gazeta Polska w Toronto (Kanada). Pozabawienie debitu obowiązuje przez okres pięciu lat.

6-8-83

Przy budowie metra warszawskiego pracuje 250 studentów i robotników sowieckich. Przypominamy, że Związek Sowiecki dostarczył pełną dokumentację techniczną budowy, maszyny i urządzenia oraz przeszkolił polskich specjalistów. Ponadto PRL otrzyma w darze 90 wagonów. ■ W 40 rocznicę bitwy pod Lenino będzie postawiony w Riazaniu pomnik, zaprojektowany przez polskiego rzeźbiarza prof. Chromego oraz Jurija Woskriesienskiego, projektanta całości.

19-8-83

Agencja P.A.P. ogłosiła, że „został rozwiązany Związek Literatów Polskich, który stał się ogniskiem politycznej opozycji wobec państwa” co „otwiera drogę szybkim narodzinom związku pracującego dla dobra polskiego życia literackiego”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

14-6-83

Na dorocznym zgromadzeniu Francuskiego Towarzystwa Nauk Ekonomicznych Henryk Wronski wygłosił referat „Inwestycje a kryzys w Polsce”.

20-6-83

Zmarł w Londynie w wieku 85 lat prof. Tadeusz Sulimirski, legionista, obrońca Lwowa, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykładowca w Instytucie Archeologicznym uniwersytetu londyńskiego, rektor i prorektor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie.

23-6-83

Zebrani na dorocznym Zgromadzeniu Ogólnym pisarze francuskiej sekcji PEN-Clubu przesyłają swym polskim kolegom z PEN-Clubu polskiego, a w szczególności tym, którzy oczekują na proces wyraży najszczerzej, wiernej przyjaźni. „Solidarność nasza jest wyrazem naszej wspólnej wiary w kulturę i wolność”.

24-6-83

Zmarł w Sydney (Australia) w wieku 72 lat Bolesław Korpowski, kapitan Lotnictwa Polskiego, dziennikarz i publicysta.

1-7-83

Ukażą się 100-ny numer kwartalnika politycznego *Trybuna*, wydawanego w Londynie przez Rowmunda Piłsudskiego.

8-7-83

Ostatnio przybyło do Norwegii 20 członków „Solidarności”, którzy byli internowani w okresie stanu wojennego. Otrzymali oni w Norwegii azyl polityczny, zapewniono im opiekę i 6-miesięczny kurs nauki języka norweskiego.

17-7-83

Duński komitet „Stot Solidarność” zebrał około 7.500 podpisów w związku z akcją zbierania podpisów zainicjowaną przez francuski komitet „Przeciwko procesom warszawskim”.

3-8-83

Zmarł w Paryżu w wieku 79 lat, Jan Brzękowski. Poeta, jeden z współtwórców Awangardy Krakowskiej. Był ponadto prozaikiem, eseistą i teoretykiem sztuki.

8-8-83

Inż. Jarosław Żaba zmarł tragicznie w Manchesterze przy organizowaniu gaszenia pożaru w Domu Kombatanta. J. Żaba był wybitnym działaczem emigracyjnym. W następnym numerze *Kultury* zamieścimy wspomnienie o nim.

12-8-83

Tegoroczną nagrodę pisarską Stowarzyszenia Polskich Kombatantów otrzymali *ex equo* — po £200 — Tadeusz Żenczykowski za książkę „Dramatyczny rok 1945” i autorzy pracy zbiorowej pt. „Dzieje pułku ułanów podolskich (1809-1947)”.

KRONIKA AUSTRIACKA

Rada Koordynacyjna Polskich Organizacji Niepodległościowych w Austrii otrzymuje niezręcznie sfałszowane listy i komunikaty gremiów „Solidarności” i innych instytucji. Autorzy tych „sensacji” opanowali wprawdzie doskonale podrabianie podpisów i papierów firmowych ale nad stylem muszą jeszcze dużo pracować. ■ W galerii HOSI odbyła się wspólna wystawa prac Henryka Gajewskiego, Krzysztofa Nasfetera, Anny Prankl i Olafa Stiibena. ■ Podczas prac konserwatorskich w kaplicy Św. Stanisława Kostki przy Kurrentgasse w Wiedniu odkryto cenne freski z XVIII wieku. ■ Dnia 9 czerwca br. zmarł w wieku 83 lat wybitny działacz niepodległościowy dr Krzysztof Wize, wieloletni dyrektor PAIRC w Austrii, założyciel, prezes i długoletni prezes honorowy SPK. Dnia 10 lipca zmarł w Wiedniu w wieku 79 lat Alfons P. Sergot, b. pracownik Biblioteki Kongresowej w Waszyngtonie, b. Profesor prawa Uniwersytetu w Puerto Rico, działacz Stronnictwa Narodowego. ■ W środy i soboty między godz. 20.00 a 21.00 czynna jest biblioteka w ośrodku parafialnym polskiego kościoła na Rennweg. Na czytelników czeka 10 tys. tomów dzieł religijnych, filozoficznych i beletrystyki. ■ Obok dziennikarzy z *Die Presse* również korespondent *Profilu* Othmar Lahodynski miał trudności z uzyskaniem wizy do Polski na czas pobytu papieża. Z kolei władze CSSR odmówiły wizy tranzytowej biskupowi St. Pölten, Franzowi Zakowi, udającemu się na beatyfikację Marii Julii Ledóchowskiej. Ponieważ interwencje Ministerstwa Spraw Zagranicznych u władz CSSR nie odniosły skutku, biskup zmuszony został do odbycia podróży samolotem. Rzecznik Austriackiej Partii Ludowej Ludwig Steiner domaga się wyciągnięcia konsekwencji dyplomatycznych z tej afery. ■ Austriackie środki masowego przekazu poświęciły wiele miejsca podróży Jana Pawła II do Polski. Szczególnie podkreślano przy tym osobiste powiązania z Austrią trojga beatyfikowanych podczas wizyty w Polsce: wszyscy pochodzą z Galicji, Maria Julia Ledóchowska, założycielka zakonu Szarych Urszulanek urodziła się w dolnoaustriackiej miejscowości Loosdorf, o. Rafał Kalinowski wstąpił do zakonu karmelitów w Grazu, tamże składał śluby i często bywał w Linzu, siedzibie prowincji zakonu. ■ Wiedeńska grupa członków „Solidarności” przy Domu Polskim przeprowadziła kolejne wybory zarządu. Przewodniczącym został Franciszek Drzewiński, członek Komisji Interwencyjnej Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”. ■ Niepowodzeniem zakończyła się próba powrotu do Wiednia polskiej rodziny, która swego czasu wyemigrowała przez Austrię do USA. Przyłot do Wiednia nastąpił 21 lipca tanią rumuńską linią lotniczą „Tarom”, jednakże bez posiadania austriackich wiz wjazdowych. Ponieważ władze austriackie odmówiły udzielenia wizy na miejscu, a loty „Taromu” odbywają się raz w tygodniu, cała rodzina zmuszona była koczować na stacji tranzytowej wiedeńskiego lotniska Schwechat aż do 28 lipca, kiedy

to odleciała z powrotem do USA. ■ Grupa uchodźców polskich w Montevideo (Urugwaj) zabiega poprzez Urząd Wysokiego Komisarza d/s Uchodźców w Genewie oraz organizację pomocy uchodźcom w Austrii o umożliwienie im osiedlenia się w innym kraju europejskim bądź pozaeuropejskim. ■ 5,6 % ogółu zatrudnionych w Austrii stanowią cudzoziemcy. W ostatnim roku ilość zatrudnionych cudzoziemców zmniejszyła się globalnie o 9,2 %. Regionalne wskaźniki te są bardzo zróżnicowane: np. w Wiedniu aż 9,4 % ogółu zatrudnionych to cudzoziemcy. W związku z pogarszającą się sytuacją gospodarczą i spodziewanym wzrostem bezrobocia (szef austriackich związków zawodowych przewiduje wzrost liczby bezrobotnych w 1984 roku do 5,5 %) oczekuje się zaostrzenia przepisów o zatrudnianiu cudzoziemców. ■ Powstało Austriackie Kuratorium do Spraw Pomocy Uchodźcom koordynujące poczynania wielu różnorodnych organizacji (Związki zawodowe, Izba Gospodarcza, Caritas itp.). ■ 6 lipca odbyło się uroczyste zakończenie pierwszych dwu kursów spawalnictwa dla polskich uchodźców w Austrii zorganizowanych przez Kuratorium. W uroczystości wręczenia świadectw udział wzięli przedstawiciele władz austriackich, i licznych organizacji. Planuje się przeprowadzenie dalszych kursów tego typu. ■ Przedstawiciele państwowego koncernu austriackiego VÖEST Alpine przeprowadzili w PRL rozmowy na temat podpisanej niedawno umowy o eksport do Polski urządzeń do przetadunku rudy żelaza wartości ok. 7 mln dolarów. Kredyty udzielone PRL na ten cel zostaną spłacone z opłat tranzytowych za przeładunek szwedzkiej rudy w porcie szczecińskim. Przedstawiciele PRL wypowiedzieli się za dalszym forsowaniem tego typu umów, jako że nowe kredyty przyczyniają się do zwiększenia austriackiego eksportu do PRL. Kredyty te mają być udzielane na sfinansowanie konkretnych projektów i zabezpieczone umowami kompensacyjnymi. ■ W roku 1982 Austria wyeksportowała do PRL towary wartości 127 mln. dolarów (1976 — 428 mln. dolarów). W pierwszych pięciu miesiącach 1983 roku odnotowano przyrost eksportu o 30 % w porównaniu z rokiem ubiegłym. Austriackie importy z PRL wyniosły w 1982 roku 178 mln. dolarów, a w 1983 spadły o 17 %. Według danych monachijskiego Instytutu Badania Gospodarki kraje Europy Wschodniej zadłużone są w Austrii na 8 % ich ogólnego zadłużenia na Zachodzie. ■ Na zaproszenie organizacji „Pax Christi” i Towarzystwa Przyjaciół Papieża Jana Pawła II przebywał w Wiedniu kardynał Franciszek Macharski. Podczas mszy pontyfikalnej w obecności kardynała Königa podziękował on Austriakom za pomoc udzieloną narodowi polskiemu. Z kolei kardynał König wyraził podziękowanie Kościołowi polskiemu za umożliwienie polskim księżom pracy w austriackich parafiach. Po mszy odbył się wykład kardynała Macharskiego o problemach wiary w życiu chrześcijańskim. Sala nie mogła pomieścić wszystkich słuchaczy. ■ W połowie lipca br. odbył się w Wiedniu kongres Światowej Organizacji Psychiatrów i Neurologów. ZSSR wystąpił jeszcze w styczniu z tej organizacji, aby zapobiec wykluczeniu za nadużycia psychiatrii do celów politycznych. Nieco później ten sam krok uczyniły Bułgaria i CSSR, a pod koniec obrad również Kuba. Na kongresie, w którym wzięło udział 5.400 przedstawicieli z 74 krajów rozważano m.in. problemy nadużywania psychiatrii, problemy psychiczne emigrantów i uchodźców i in. ■ Trwają przygotowania do wizyty Ojca Świętego w Austrii związanej z obchodami 300-lecia Odsieczy Wiedeńskiej i austriackimi Dniami Katolików. Rektor kościoła Św. Józefa na Kahlenbergu zbiera fundusze na budowę kurantu wygrywającego co godzinę Bogurodzicę i sześć innych polskich pieśni religijnych (konto 1637.850, Postsparkasse, hasło „Glockenspiel”). Ukaze się również okolicznościowa broszura w języku polskim z pełnym programem obchodów i krótkim przewodnikiem po wiedeńskich polonikach. Zainteresowani mogą zamawiać to wydawnictwo u p. Mariana Gomułki, przewodniczącego Rady Korodyna-

cyjnej Polskich Organizacji Niepodległościowych w Austrii (Postgasse 14/2, 1010 Wien). ■ Z okazji wizyty papieża poczta austriacka wyda pamiątkowy znaczek, zostanie również wybita nowa moneta 500-szylingowa i szereg medali pamiątkowych. ■ Zatwierdzony został ostatecznie program wizyty Ojca Świętego. Przebieg „części polskiej” uroczystości jest następujący: 12 września wieczorem papież poświęci nowe organy w kościele polskim na Rennweg, następnie odbędzie się spotkanie z zamieszkującymi Austrię Polakami i z delegacjami Polonii z całego świata na placu Karola. 13 września rankiem papież uda się helikopterem na Kahlenberg, gdzie spodziewanych jest około 10 tys. osób. W kościele na Kahlenbergu Ojciec Święty poświęci kaplicę Matki Boskiej Częstochowskiej i odsłoni tablicę pamiątkową. Po medytacji w kaplicy Sobieskiego i 25-minutowym spotkaniu z wiernymi papież odleci do Mariazell, austriackiego odpowiednika Częstochowy. Po mszy odprawionej przez kardynała Glempa w kościele Św. Józefa przedstawiciele Polonii z całego świata spotkają się w Sali Ryckerskiej hotelu na Kahlenbergu. W uroczystościach wezmą udział m.in. kardynał J. Glemp, biskup Sz. Wesoly, biskup Pragi Tomasek oraz delegacja Episkopatu węgierskiego. Oczekuje się napływu do Wiednia od 500 tys. do miliona osób. ■ W związku z wizytą odezwały się również głosy krytyki i to zarówno ze strony ugrupowań lewackich, organizacji młodych socjalistów i wielu grup „zielonych” jak i ze strony wiernych. O ile młodzież krytykuje przede wszystkim koszty imprezy i spodziewane zniszczenia środowiska w związku z napływem tłumów na msze w Parku Naddunajskim i w Mariazell, o tyle wierni obawiają się że duchowy sens obchodów Dni Katolików zostanie przesłonięty „widowiskiem” związanym z wizytą. Prezydent Austrii dr Rudolf Kirschschiager wezwał nie zawsze taktownych krytyków imprezy do tolerancji wobec uczuć religijnych większości obywateli i okazania szacunku głowie Państwa Kościelnego.

REDAGUJE ZESPÓŁ

KRONIKA KANADYJSKA

Rząd kanadyjski zrewidował postanowienie o cofnięciu zezwolenia w tegorocznym sezonie na 10 przelotów czarterowych PLL „LOT” i wyraził zgodę na 5 przelotów. Chodzi o dodatkowe przeloty poza normalnymi, odbywającymi się dwa razy tygodniowo na trasie Warszawa - Montreal - Warszawa. Loty czarterowe odbywają się na trasie Toronto - Montreal - Warszawa i z powrotem. Zakaz lotów czarterowych został spowodowany zapewne interwencją Stanów Zjednoczonych, które zlikwidowały przeloty PLL „Lot” w ramach sankcji wobec Polski po wprowadzeniu stanu wojennego. Przeloty czarterowe, zdaniem USA, umożliwiają obywatelom amerykańskim omiwanie sankcji. Postanowienie władz kanadyjskich przywracające 5 przelotów spowodowane zostało zapotrzebowaniem turystów. ■ Jerzy Wiatr, socjolog, dyrektor Instytutu Marksizmu-Leninizmu w Warszawie, jeden z docentów gen. Jaruzelskiego, został zaproszony przez prof. Davida Elkinsa, radcę gen. Jaruzelskiego, został zaproszony University of British Columbia dziekana departamentu nauk politycznych na letnim kursie. Wiadomość o tym wywołała w Vancouver, na wykłady na letnim kursie. Wiadomość o tym wywołała zdumienie i poruszenie w kołach akademickich a oburzenie wśród studentów, ale prof. Elkins pozostał niewzruszony. O popularności swojego gościa dowiedział się jednak w dniu rozpoczęcia przezeń zajęć. Grupa ponad 40 studentów powitała profesora Wiata okrzykami i gwizdami, wyrażając osadnie co myśli o nim i jego mocodawcach, po czym poczęstowano go... jajkami. ■ Louis Iribarne, profesor literatury polskiej na University of Toronto, tłumacz niektórych utworów (prozy) Miłosza i Witkacego, został

obraną dziekanem wydziału slawistycznego. Władysław (Walter) Buczyński, syn imigrantów polskich, wybitny kompozytor i pianista dotychczas profesor nadzwyczajny został profesorem zwyczajnym kompozycji na wydziale muzycznym University of Toronto i z okazji 50-lecia jego urodzin odbędzie się koncert, na którym wykonane będą jego kompozycje: solowe i zespołowe. ■ Dwa kursy języka polskiego — jeden dzienny a drugi korespondencyjny — będą prowadzone w nadchodzącym roku akademickim na wydziale języków germańskich i słowiańskich w University of Waterloo w Kitchener, Ontario. ■ Centralna Biblioteka Publiczna w Toronto urządziła 3 czerwca z okazji setnej rocznicy śmierci Cypriana Norwida wieczór literacki, poświęcony jego twórczości oraz wystawę jego ksiązek, która trwała do 2 lipca. Zarówno wieczór jak wystawa i jej opracowanie graficzne, były przygotowane bardzo starannie. Inicjatorem imprezy i jej głównym organizatorem był kierownik działu słowiańskiego Biblioteki — Tadeusz Uranowski. ■

Grupa kanadyjskich dziennikarzy zatrudnionych w prasie, radio i telewizji zorganizowała The Polish Journalist Aid Committee — Komitet Pomocy Polskim Dziennikarzom — i wystosowała apel o dotację w wysokości od \$ c. 30 wzwyż na wysłanie paczki żywnościowej dla określonego z nazwiska dziennikarza. Nazwisko ofiarodawcy będzie uwidocznione. Apel głosi m.in.: „...każda paczka stanowić będzie moralne i materialne poparcie dla tych odważnych mężczyzn i kobiet, pozbawionych pracy w środkach masowego przekazu. Zasługują na naszą pomoc. Godni są naszego poparcia”. ■ W Winnipeg, prowincja Manitoba, działa organizacja p.n. Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” prowadząca wieloraką akcję pomocową na rzecz Polski. W ostatnim komunikacie sprawozdawczym, wskazując na akcje różnych instytucji wywodzi m.in.: „Nie jest więc najbardziej istotne czy pomoc ta prowadzona jest pod hasłem 'chleb dla Polski' czy też 'pieniądze dla walczącego podziemia'. Istotne jest aby zająć postawę aktywną wobec wydarzeń w Polsce i między innymi nasza organizacja taką aktywność proponuje, koncentrując swą działalność na pomocy konspiracyjnie walczącej 'Solidarności'”. Przewodniczącym organizacji jest Janusz Schetyński, sekretarzem Maciej Kłowiecki. ■ Według oficjalnych danych około 12.000 Polaków objętych zostało pomocą od października 1981 roku kiedy to ogłoszono zarządzenia odnośnie uchodźców polskich. Program ten objął około 1.700 osób, które połączyły się z rodzinami, ponad 2.800 osób, które znalazły się w Kanadzie a przybyły na pobyt czasowy i wniosły prośby o pobyt stały. W 1982 roku przybyło ogółem 9.000 polskich emigrantów. Niezależnie od tego 3.000 Polaków otrzymało w Warszawie wizy turystyczne. ■ W latach 1961-1982 prawie 11.000 osób, tj. 90 % nowoprzybyłych polskich imigrantów, korzystało z kursów językowych. ■ Rządowy program odnośnie uchodźców polskich przybywających z Austrii przewiduje przyjęcie w 1983 roku 1.500 osób, z tym iż nadal liczba osób sprowadzonych przez organizacje, instytucje, rodziny, znajomych itp., pozostaje nieograniczona. ■ Ambasada kanadyjska w Warszawie szacuje, że około 5.000 zwolnionym internowanym, zagrożonym procesami karnymi poradzono opuszczenie kraju. Ile dodatkowych wiz udzieli Kanada? Przypominamy iż w ub. roku wydano 150 wiz dla internowanych i członków ich rodzin. W 1982 roku przybyło ich 77 a pozostali w tym roku, niektórzy przed dwoma miesiącami. ■ Po 13 dniach (3.08.1983) zakończył się w Montrealu strajk głodowy 4 Polaków przed budynkiem konsulatu generalnego PRL, których rodzinom odmawiano paszportów. Przybyli oni do Kanady przed 3-ma laty na czasowy pobyt i pozostali. Po 10 dniach strajku konsul zwołał konferencję prasową, na której zapewnił strajkujących, że jeżeli zakończą strajk ich rodziny otrzymają paszporty. Strajkujący nie przyjęli tego do wiadomości i kontynuowali strajk do uzyskania wiążącej decyzji. Rodziny ich mają przybyć w ciągu najbliższych dni. ■ Obywatel polski, pracownik ambasady kana-

dyjskiej w Warszawie, nazwiskiem Kołoski został w Warszawie skazany na dwa lata więzienia za dostarczanie Kanadzie tajnych informacji. Ottawa zaprzeczyła jakoby wymieniony był agentem i dostarczał jakichkolwiek wywiadowczych informacji. ■ Na wydziale historii University of Toronto odbyła się uroczysta promocja Stefana Gołowacza (studenta prof. Peter Brocka), który uzyskał doktorat na podstawie pracy dyplomowej o Stronictwie Ludowym. Prof. Brock, autor wielu prac, wybitny znawca historii Polski — studiował również w Krakowie na U.J. i uzyskał tam magisterium a pracę dyplomową napisał o Wysłouchu, wybitnym przywódcy ruchu ludowego. Gołowacz jest trzecim doktorantem prof. Brocka z historii Polski. ■ 21 lipca br. *Głos Polski* w Toronto obchodził 75-lecie swego istnienia.

B. H.

KRONIKA SZWEDZKA

Stosunki między Szwecją a Związkiem Sowieckim uległy pogorszeniu pomimo wygrania przez socjalistów wyborów, i to nie ze szwedzkiej winy. Intencją socjaldemokracji było z pewnością nie tylko utrzymanie, ale i pogłębienie dobrych stosunków z Moskwą. Powtarzające się stale penetracje sowieckich okrętów podwodnych na szwedzkie wody terytorialne wywołały bardzo ostrą reakcję opinii szwedzkiej. Niektóre łodzie podwodne, bardzo małe i o nieznanym dotychczas typie, wyposażone były w gąsienice. Rząd zmuszony był ostro zaprotestować. Premier Olof Palme znalazł się w trudnej sytuacji. Jest pod presją zarówno opinii jak i wojska, domagających się zwiększenia budżetu na obronę, a z drugiej strony pod presją lewego skrzydła swojej partii, Centrali Związków Zawodowych LO oraz naiwnych pacyfistów przeciwnych zwiększeniu budżetu na obronę. W tej sytuacji rząd zamierza zwiększyć wydatki na obronę raczej kosztem innych resortów. Zdaniem dowódcztwa wojskowego kredyty te są zupełnie niewystarczające, zwłaszcza jeżeli chodzi o obronę przed okrętami podwodnymi.

Szereg publicystów zaczyna przypominać, że Szwecji od kilkuset lat zagrażała tylko Rosja, na rzecz której straciła na wschodzie wielkie połacie ziemi. A zatem nie czas na jednostronne rozbrownienie. Przypominamy młodemu pokoleniu, pozbawionemu wiedzy historycznej, że to Piotr I, przez Rosjan przezwany wielkim, odebrał Szwecji Karię Wschodnią i Ingermanlandię, na której to ziemi zbudował Petersburg, Kronsztad był twierdzą szwedzką. Finlandię zaś, która przeszło 800 lat była szwedzka, zagarnął Aleksander I na początku ub. stulecia. Coraz częściej więc stawia się pytanie, dlaczego np. TV i niektóre organy prasowe prowadzą jednostronną nagonkę na USA.

Protesty rządu szwedzkiego są jednak odrzucane przez Rosjan z oburzeniem i uważane za „akty nieprzyjazne”. W USA zadano w czasie konferencji prasowej pytanie, dlaczego to Rosjanie, pomimo protestów, w tak prowokacyjny sposób naruszają szwedzkie wody terytorialne. Rzecznik Pentagonu udzielił odpowiedzi: „Wyobrażam sobie, że Związek Sowiecki zaczyna uważać Bałtyk za swoje *Mare Nostrum*... że będzie nadal wchodził tam, gdzie mu się podoba. O ile Szwedom zależy na dobrych stosunkach z Sowietami — powiedział ironicznie — winni milcząco to akceptować”. Wypowiedź ta narobiła tu dużo szumu.

W lipcu stwierdzono w kilku wypadkach obecność obcych łodzi podwodnych na wodach szwedzkich. W końcu lipca w północno-wschodniej zatoce Törrö, zablokowanej drewnianymi palami, ukazała się obca łódź podwodna. Polowanie na tę łódź trwa. Należy dodać, że sowieckie okręty podwodne zaczęły także ukazywać się na wodach norweskich i duńskich. Zainteresowanym zalecam spojrzeć na globus. Najkrótsza droga powietrz-

na z Sowietów do Ameryki Północnej prowadzi przez północną Skandynawię, a na półwyspie Kola znajduje się obecnie największa koncentracja wojska na świecie. Przypuszczać więc należy, że w ewentualnej przyszłej wojnie Sowiety, podobnie jak Niemcy, nie będą się liczyły z neutralnością słabo uzbrojonych, małych krajów.

Wizyta papieska oraz zawieszenie stanu wojennego w Polsce wysunęły ponownie sprawy polskie na pierwsze strony gazet. Tym razem redaktorzy naczelni jak i korespondenci w Polsce wykazali znajomość przedmiotu: „Polacy w czasie wizyty Papieża wykazali jasno, jakie są ich uczucia wobec władzy i systemu totalitarnego. Reżym zrozumiał, że olbrzymie tłumy ludzi, przybyłych z całej Polski, chciały dać wyraz nie tylko uczuciom religijnym, lecz również zademonstrować swoją opozycję wobec władzy”... „Manewry Jaruzelskiego pomiędzy reformami a Sowietami będą na dłuższą metę trudne. Za kulisami czyha partyjny beton”. Wysuwano tu także obawę, że „za cenę nieco lepszego życia w Polsce Kościół poświęci Wałęsę”. Liberalny *Expressen* pisze wręcz: „Papież poświęcił Wałęsę!” — wielkimi literami w nagłówku. ■ Zniesieniem stanu wojennego nie udało się reżymowi wprowadzić w błąd opinii szwedzkiej. „Wyciągnięta przez generała dłoń to opancerzona pięść” — tak brzmi komentarz *Svenska Dagbladet* (niezależny, zachowawczy). — „Nawet uwolnienie kilkuset więźniów nie może być uważane za nic innego jak zwykły 'hokus pokus', którego zamiarem jest osłabienie potępienia polityki reżymu przez świat demokratyczny”. Rikard Swartz, korespondent *Svenska Dagbladet*, stwierdza, iż „zapowiedziana przez reżym 'normalizacja' w rzeczywistości nie zmieni w niczym powszedniego dnia zwykłych Polaków”. ■ „Wczoraj w Ambasadzie PRL obchodzone uroczystość 22 lipca pierwszy raz bez stanu wojennego. Uważa się, że w Polsce przywrócono porządek i spokój. Tymczasem przed ambasadą głoduje demonstracyjnie szereg polskich uchodźców. Domagają się oni wypuszczenia swych rodzin z Polski. Niedawno kapitan polskiego jachtu strzelał do uciekającego wpływ rodaka, członka załogi, który nie chciał wracać do kraju. Tak oto wygląda porządek generała” — stwierdza liberalny *Expressen* w artykule wstępnym z 23 lipca. Głodujący demonstracyjnie Zbigniew Krzeczowski, Lech Szechlicki i Tadeusz Tatarowicz przerwali 25 lipca swój strajk na skutek zapewnień konsula generalnego, Waleriana Bołtacza, że rodzinom strajkujących zostało rzekomo udzielone pozwolenie na wyjazd z Polski. Poprzednia grupa 6 uchodźców głodowała w sumie 32 dni, wznowiając głodówkę po przerwie, bo była wprowadzona w błąd przez konsula. W końcu jednak rodziny przybyły. Obecna grupa także zamierza wznowić głodówkę, o ile nie przyjdzie potwierdzenie informacji konsula. ■ W ostatnich miesiącach mieliśmy kilka dramatycznych ucieczek do Szwecji. Pierwszego czerwca udało się 9 Polakom z okolic Gdyni przybyć do Karlskrony na pokładzie kutra rybackiego. ■ 31-letni kapitan trawlera rybackiego z Darłowa zamknął swoją załogę i udał się na duńską wyspę Bornholm, gdzie poprosił o azyl polityczny. ■ Parlament szwedzki ustalił roczną kwotę 1.250 uchodźców politycznych, których Szwecja przyjmie w roku budżetowym (1983-1984). Urząd Imigracyjny uważa, że przyszłoroczna kwota imigracyjna dla uchodźców politycznych powinna obejmować w pierwszym rządzie Latynoamerykanów i Polaków. Przewiduje się, że Szwecja przyjmie w przyszłym roku nie więcej jak 4.000 osób. Komisarz do Spraw Uchodźców przy ONZ zwraca się do Szwecji z prośbą o przyjęcie nowych uchodźców „na łodziach”. Są to Wietnamczycy. Zdaniem rządu szwedzkiego powinno się w pierwszym rządzie przyjmować uchodźców z Ameryki Łacińskiej, gdy tymczasem w większości są to Polacy.

Przed wszystkim przybywają członkowie „Solidarności”. W ub. roku przyjeżdżało 7.500 uchodźców, z czego 3.000 Polaków. W samym tylko okresie czerwiec-lipiec zgłosiło się do Szwecji ponad 100 polskich uchodźców. W wyjątkowych wypadkach Szwecja przyjmuje także uchodźców z obozów dla uciekinierów w Austrii, Włoszech i Jugosławii. Ponieważ ponad 140.000 Szwedów jest bez pracy (na 8 mln ludności), co stanowi 3 % ludzi w wieku produkcyjnym i niepokojąco wzrasta procent bezrobotnej młodzieży (poniżej 25 lat) — o 10.000 w porównaniu z poprzednim rokiem — Szwecja zaostrzyła przepisy o udzielaniu azylu. Polacy samorzutnie zgłaszający się o azyl mogą go ewentualnie uzyskać, jeżeli mają w Szwecji rodziców lub dzieci, jeżeli ulegali w Polsce poważnym prześladowaniom z powodu rasy, religii czy poglądów. Znacząco, że obowiązuje znów ustawa o cudzoziemcach, którą stosowano przed wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce. ■ Szwedzki Czerwony Krzyż udzielił w roku 1982 pomocy Polsce w postaci żywności, odzieży, lekarstw w wysokości 55 mln koron. ■ W przeciwieństwie do niektórych ośrodków za granicą i w kraju, przemilczających przygotowania do procesu KOR-u i siedmiu z „Solidarności”, prasa szwedzka wciąż wraca do tej sprawy, podkreślając, że amnestia ich nie dotyczy i domagając się ich uwolnienia. Maciej Zaremba już 3 czerwca informował opinię na łamach najpoczytniejszego dziennika porannego *Dagens Nyheter* (liberalny) o przygotowywaniu procesu przeciw korowcom i 7 z „Solidarności”. W korespondencjach analizujących sytuację patową w Polsce wybijają się przede wszystkim Rikard Swartz (*Svenska Dagbladet*), który do tej sprawy wracał kilkakrotnie. Na szczególną uwagę zasługuje przeszmuglowany a nagrany na taśmę wywiad z Janem Józefem Lipskim (*Dagens Nyheter*), domagający się „moralnego poparcia i protestu” zachodniej opinii demokratycznej. ■ Poczytny, poważny prowincjonalny dziennik *Norrköpings Tidning* (zachowawczy), powołując się na *Kulturę*, przedrukował artykuł Stefana Kisielewskiego (tłumaczenie Włodzimierza Wocalewskiego) „Życie na niby czyli opcja obojętna”. *Kultura* staje się w Szwecji w kołach śledzących wypadki polskie coraz bardziej znana i wzrasta ilość bibliotek miejskich, które ją prenumerują. ■ 51-letni pułkownik wydziału lotnictwa sztabu generalnego skazany został na 6 lat więzienia za próbę spreżdaży Ambasadzie PRL tajnych informacji dotyczących szwedzkiej obrony. Było to wykonane w sposób tak amatorski, że nowo mianowany ambasador PRL — Maria Regent-Lechowicz uznała to za prowokację i poinformowała szwedzką policję bezpieczeństwa. ■ Sztuka Sł. Mrożka „Ambasador”, grana przez kilka miesięcy minionej zimy i wiosny w Królewskim Teatrze Dramatycznym, ma swój odpowiednik w rzeczywistości. Obywatel sowiecki, Tjingiz Abdulaj, przebywa już prawie rok w ambasadzie szwedzkiej w Tjingiz Moskwy, dokąd wtargnął, prosząc o azyl polityczny. ■ W maju wystąpił w Sztokholmie zespół „Teatru 77” wystawiając „Cyrk” Andrzeja Strzpięły i leckiego oraz „Tren weselny” Baczyńskiego. ■ Do rąk naszych dopiero teraz trafiło islandzkie czasopismo z marca br. z dwustronnym, wielkim i ilustrowanym artykułem o Marszałku Piłsudskim. Okazuje się, że nawet w Islandii przebywa obecnie kilku Polaków, a powstanie „Solidarności” oraz represje w Polsce wzbudziły w miejscowym społeczeństwie zainteresowanie Polską. ■ Jury poczty szwedzkiej w wyniku konkursu na znaczek symbolizujący pokój wybrało litografię zamieszkałego od lat w Sztokholmie artysty-plastyka Stanisława Dobroniaka. Dobroniak brał w tym roku udział w dorocznym a bardzo popularnym sztokholmskim „Salonie Wiosennym”, a w Paryżu był w bież. roku reprezentowany w grupie skandynawskiej paryskiej wystawy „Le Salon des Nations”. ■ Niemal cała prasa szwedzka zamieściła ogłoszony w *Kulturze* protest 39 polskich pisarzy i przedstawicieli kultury przeciw wyrokowi śmierci wydanemu na Zdzisława Najdera. Dzięki szwedzkiej agencji telegraficznej TT apel ten ukazał się także

w większości pism prowincjonalnych. Szereg dzienników podało tekst *in extenso* ze wszystkimi podpisami i własnymi komentarzami. Radio szwedzkie nadało ten komunikat z odpowiednim komentarzem także w audycji w języku rosyjskim, skierowanej do Sowietów i nie zagłuszanej. Pismo *Göteborgs Handelstidning* skomentowało to w następujący sposób: „Prawo dżungli panuje na wschodzie”. ■ W Drohiczynie 35 km od granicy sowieckiej zakończyła się wyprawa naukowa współczesnych szwedzkich Vikingów. 12-osobowa załoga pod kierownictwem docenta Eryka Nylena na pokładzie „Krampmacken” — kopii statku Vikingów — próbowała odtworzyć wyprawę Vikingów szlakiem wschodnim ze Szwecji przez Bałtyk, Wisłę, Bug, Dniepr, Morze Czarne do Istambułu. Vikingowie ze Szwecji udając się tą drogą na południowy wschód czy to jako kupcy, czy też zakładając faktorie, byli założycielami nie tylko pierwszej rosyjskiej dynastii ale i państwa ruskiego. Nawet nazwa Ruś pochodzi od nazwy Roslagen, dzielnicy koło dzisiejszego Sztokholmu, skąd wywodził się Rurik, wódz Varinger czyli Waregów. Uczeń szwedzcy przygotowywali się od 3 lat do tej ekspedycji, lecz w Drohiczynie otrzymali odmowną odpowiedź Sowietów na podanie o zgodę na przepłynięcie przez Dniepr i Morze Czarne. Nie tracą jednak nadziei, iż zgodę tę otrzymają w przyszłym roku. Prasa zgodnie podkreśla serdeczną gościnność i zainteresowanie ekspedycją mieszkańców polskiej Drohiczyny. ■ „Mit jest prawdziwy lecz bajka jest fantazją”. Mity różnych epok i kultur są do siebie podobne. Takim powszechnym marzeniem wszystkich czasów jest mit o bohaterze pokonywującym zło. W świadomości powszechnej wcieleniem świętego Jerzego naszych czasów stał się Lech Wałęsa — dochodzi do wniosku *Svenska Dagbladet*, omawiając w całostronnicowym artykule pracę szwajcarskiego psychoanalityka Junga. ■ W dniu 17 czerwca zmarł w Sztokholmie Jerzy Urbański, wieloletni prezes Związku b. Jeńców Politycznych, który swój pobyt w niemieckich obozach koncentracyjnych przypłacił ciężkim kalectwem: był niewidomy. Był on założycielem Federacji Polskiej w Szwecji, skupiającej kilka organizacji emigracyjnych. Jerzy Urbański do swojej, naglej śmierci był jednym z najbardziej czynnych działaczy w Szwecji. ■ W dniu 21 lipca zmarł w Uppsali po ciężkiej chorobie śp. Józef Trypućko, emerytowany profesor slawistyki Uniwersytetu w Uppsali. Urodzony na Wileńszczyźnie w roku 1910, większość swego życia spędził w Skandynawii. Był w latach 1936-1939 lektorem języka polskiego w Helsinkach a potem w Uppsali. W latach 1966-1977 — profesorem slawistyki Uniwersytetu w Uppsali. Bibliografia prac Trypućki obejmuje 170 pozycji. Przez wiele lat pracował nad wielkim słownikiem szwedzko-polskim, obejmującym 110.000 słów. Niestety polonistyka była w Szwecji zawsze traktowana po macoszemu. Nawet dzisiaj, gdy w Szwecji przebywa ponad 30.000 Polaków, a wielu Szwedów już mówi po polsku, Trypućko nie mógł znaleźć wydawcy ani sponsora.

Norbert ŻABA

Listy do Redakcji

La Hacquinère, 20 lipca 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

W ostatnim nrze *Kultury* ukazało się oświadczenie w sprawie wyroku skazującego na śmierć Zdzisława Najdera, pisarza, członka Związku Literatów Polskich.

Proszę o dołączenie mojego podpisu pod tym oświadczeniem, z którym w pełni się zgadzam.

Z wyrazami szacunku

Kazimierz BRANDYS

Paryż, 19 lipca 1983.

Drogi Panie Redaktorze,

Przeczytałem ze zdumieniem sprawozdanie z artykułu Ks. Michała Poradowskiego. Nie myślałem, że tego rodzaju opinie mogą znaleźć miejsce w oficjalnych organach watykańskich. Nie tyle jest ważna sama treść, natomiast do tradycji żydo-komuny, ile fakt że istnieje w Watykanie tego rodzaju tendencja, że jest tolerowana, może nawet wspierana przez niektóre sfery kierownicze.

Jeśli idzie o Polskę, to ta tendencja wyraźnie się wypowiada za kompromisem między Kościołem i rządem za cenę poświęcenia Solidarności i demokratycznego ruchu robotniczego. Co gorsze, ten kompromis jest zupełnie jednostronny, bo rząd żadnych koncesji nie robi i nowe prawa represyjne pogorszą jeszcze sytuację.

Ma się wrażenie, że Kościół szuka ugody z tymi, którzy są u władzy. Liczy na to, że nawet z komunistami można się dogadać i pogodzić, znaleźć jakieś nowe formy współwładzy. Polska mogłaby być terenem właśnie ugody, wzorem dla innych państw bloku sowieckiego.

Jeżeli ta wersja się potwierdzi, zmaleje bardzo rola pozytywna Kościoła w walce o demokrację i niepodległość. Wtedy przeciw aliansowi hierarchii kościelnej z rządem trzeba będzie poprzeć opozycję w łonie Kościoła, związać ją z opozycją laicką, zorganizować opór społeczeństwa na wszystkich terenach i na wielką skalę.

Łączę wyrazy przyjaźni i szacunku

Victor FAY

Buffalo, 3 maja 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Mój artykuł „Inteligencja polska na obczyźnie”, oparty na badaniach kwestionariuszowych, ukazał się w numerze, w którym równocześnie p. Beśson informuje nas o „Drugim milczeniu Kościoła” [3/426]. Ponieważ ponad 90 % moich respondentów to katolicy a równocześnie czytelnicy *Kultury*, przeto uprzejmie proszę o zamieszczenie kilku moich uwag na temat tej wypowiedzi.

Artykuł ten oburza zarówno jako próba podważenia autorytetu moralnego największego papieża od czasów średniowiecza, jak też fałszywością twierdzeń podanych w pretensjonalnie intelektualnym języku. Autor rozpoczął od dorzucenia kamyka do antypapieskiej kampanii hitlerowskiej i komunis-

tycznej prowadzonej od czasów wojny przeciwko Piusowi XII. Katolikom polskim są jednak znane fałszerstwa obcej propagandy n.t. Piusa XII, które upowszechniane przez komunistów *et consortes* ogromnie dogadzały hitlerowcom, podrywając autorytet Kościoła w sterroryzowanych społecznościach katolickich podbitej Europy. Toteż gdy się dzisiaj na ten temat zabiera głos, to wypada zajrzeć do dokumentów (*Acta Apostolicæ Sedis XXXI i XXXII*; Kazimierz Papée, *Pius XII a Polska 1939-1949*; *Przemówienia, listy, komentarze*, Rzym 1954), oraz dokumentalnych opracowań (Władysław Facchinetti, *Pius XII i Polska w latach 1939-1945*, Veritas, Londyn 1954; Ks. Józef Warszawski, *Akcja antypapieska w Polsce podczas II wojny światowej*, Veritas, Londyn, bez daty; także artykuły w polskiej prasie emigracyjnej Ks. Stanisława Bełcha).

Tak jak „burżuazyjna” i sowiecka propaganda, autor identyfikuje pojęcia „komunizm” i „socjalizm”, które we współczesnym świecie zostały ostro rozdzielone. Ułatwia mu to utożsamianie *diamatu* z socjalizmem, czyli materializmu dialektycznego (który jest podstawą taktyki rządów komunistycznych a zarazem ich teoretycznym usprawiedliwieniem), z systemem gospodarczym.

Teza p. Besańona o „drugim milczeniu Kościoła” skierowana jest przeciwko epokowemu dziełu Jana Pawła II, który chociaż swoje wykształcenie i 32-letnie doświadczenie życiowe (1945-1978) wyniósł z państwa „diamatu” — jest jedyną siłą współczesnego świata, która może doprowadzić do zmiany statusu politycznego choćby w jednym kraju sowieckiego bloku.

Zestawienie fragmentów z przemówienia Kardynała Wyszyńskiego (1965) z fragmentem kazania Kardynała Glempa (13 grudnia 1981) jest intelektualnie fałszywe a moralnie obrzydliwe. Ta napaść na Prymasa opiera się na marksistowskiej koncepcji państwa jako „aparatu władzy”, czyli wyzysku i ucisku. Jednakże na państwo składają się oprócz władzy także ludność i terytorium oraz uznanie przez inne państwa. (Warto może przypomnieć, że nowy „aparat władzy” w Polsce po 1945 roku został natychmiast „uznany” przez prawie wszystkie państwa z nielicznymi wyjątkami, do których należał Watykan). Prymas Polski wystąpił i występuje właśnie w obronie zagrożonej substancji państwa (ludności i terytorium) a nie w obronie istniejącego aparatu władzy.

Ogromnie „interesująca” jest również opinia Besańona na temat Apostołów, którzy wedle niego „modlili się za Nerona (umierając w imię prawdy), bo zapewniał korpusowi policyjnemu minimum egzystencji”. Tak to delikatnie daje on do zrozumienia czytelnikowi polskiemu, za kogo teraz modli się Kardynał Glemp i Episkopat, aby uchronić ZOMO-wców od bezrobocia... Pozostawmy tę aluzję bez komentarza*.

Łączę wyrazy poważania

Aleksander GELLA

* Inkryminowane zdanie brzmi: „Apostołowie modlili się za Nerona, bo zapewniał korpusowi politycznemu minimum egzystencji” — Red.

Do Redakcji *Kultury* — Paryż.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie jest moim zamiarem wdawać się w dyskusję z artykułem „Przypadek nieuleczalny” p. Jacka Biereżina w numerze *Kultury* z lipca 1983 roku,

ani reagować na zawarte w tym artykule zniewagi i insynuacje. Nie mam na to czasu.

Pragnąłbym jednak, do wiadomości Czytelników *Kultury*, dokonać jednego sprostowania. Nie wysyłałem w roku 1976 mego „Listu otwartego do społeczeństwa polskiego w kraju” do Pana Biereżina. Jego adresu i nazwiska nie znalazłem w żadnym z almanachów, którymi się posługiwałem. Było mi ono zresztą — aż dotąd — nieznane.

Domyślałem się, że p. Biereżin otrzymał fałszerstwo, będące karykaturą mojego listu, rozesłane przez „nieznanych sprawców” z moim sfałszowanym podpisem i z adresem jako nadawcy nieistniejącego Klubu Myśli Polskiej w Londynie, identycznym z adresem redakcji miesięcznika *Myśl Polska*. Ogłaszałem w tym piśmie *Opoka* Nr 13 z grudnia 1976 roku, str. 73-75, że owa ulotka, o połowę krótsza od mojego listu otwartego i zawierająca tekst od niego odmienny, nie pochodzi ode mnie i że mój podpis pod nią jest sfałszowany. Także i redakcja *Myśli Polskiej*, do której „jeden z kolegów” Pana Biereżina „bodajże Andrzej Drawicz” wysłał swój wytworny list, ogłosiła 15 listopada 1976 roku, że żaden Klub Myśli Polskiej nie istnieje i że podany w ulotce adres jest fałszerstwem.

Z poważaniem

Jędrzej GIERTYCH

McLean, Va., USA, 18 lipca 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Czesław Miłosz w „Dwóch pożegnaniach” (*Kultura* Nr 6/429) popełnił parę błędów, pisząc, że w kwietniu 1945 roku właścicielami nowo założonych sklepów na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi „bogaty w towar i robiących, jak się zdaje, znakomite interesy” byli „Żydzi, repatriowani ze Związku Sowieckiego, ludzie dostatecznie doświadczeni, żeby nie mieć złudzeń ani co do ustroju, ani co do tolerancji dla prywatnej inicjatywy w Polsce”.

Rzeczywiście sklepy na Piotrkowskiej prosperowały w kwietniu 1945 roku i widziałem to na własne zdumienie oczy, bo i ja właśnie wtedy przyjechałem do Łodzi z matką i mieszkaliśmy na Piotrkowskiej 15 we wspólnym 4-pokojowym mieszkaniu z niedobitkami 3-ch innych żydowskich rodzin z miasteczka Dobrze. Jednakże właścicielami tych licznych i wspaniałych sklepów — jak na nasze wojenne oczy — nie mogli być Żydzi repatriowani ze Związku Sowieckiego, bo repatriacja ta zaczęła się dopiero latem 1946 roku, a Żydzi, którzy przyszli z Rosji w latach 1944-1945 w wojskowych mundurach nie zakładali sklepów. Właścicielami sklepów funkcjonujących na Piotrkowskiej wiosną 1945 roku byli zarówno Polacy jak i Żydzi, którzy przeżyli okupację w Polsce i w obozach koncentracyjnych poza Polską, ale nie w Związku Sowieckim. Najczęściej byli to ocalańcy z łódzkiego getta, które przetrwało najdłużej, bo do 1944 roku dzięki taktyce prezesa Judenratu Chaima Rumkowskiego. Po likwidacji getta mieli oni jeszcze szansę przeżycia ostatniego roku okupacji, jeśli mieli szczęście trafić do obozu koncentracyjnego, a nie do obozu zagłady. Niektórzy z nich odzyskali swe własne sklepy (wraz z towarami), albo odziedziczyli je po zamordowanych krewnych.

Żydzi, których repatriowano ze Związku Sowieckiego w drugiej połowie 1946 roku, musieli zadowolić się miejscem przy bardzo skromnych uliczkach, jak Wschodnia, Południowa i Kilińskiego. Zresztą większość repatriantów skierowano na tzw. Ziemię Odzyskaną. Zakładali oni sklepy, warsztaty i spółdzielnie pracy na Dolnym Śląsku i w Szczecinie. Ale

i oni nie należeli do tych, którzy — jak twierdzi Miłosz — „postanowili w okresie przejściowym odkuć się z nędzy, zanim ruszą dalej, co też wkrótce zrobili, emigrując do Izraela albo do Ameryki”. Tak się złożyło, że wśród repatriantów ze Związku Sowieckiego większość stanowili tacy, którzy wciąż wierzyli w system komunistyczny jako w system sprawiedliwości społecznej i etnicznej i dlatego nie wyjechali wtedy na Zachód. Zdanie zmienili dopiero w połowie lat 50-tych, gdy ujawnił się cały fałsz tego systemu i gdy w czasie ogólnej „odwilży” odtajął również antysemityzm. Repatrianci żydowscy, dla których Polska była tylko etapem przejściowym, to byli ci, którzy powrócili dopiero w czasie repatriacji gomułkowskiej (1957-1958), a którzy wcześniej nie mogli wrócić, bo trzymano ich, albo ich najbliższych, w łagrach.

Kupecy żydowscy z ulicy Piotrkowskiej, owszem, wyjeżdżali w miarę jak przyciskano prywatną inicjatywę, konsolidując władzę „ludową”. Wielu z nich wyjechało jeszcze zanim znowu zabrano im sklepy. Niektórzy nie-żydowscy właściciele zachowali swe sklepy (może je mają do dziś), choć w drugiej połowie lat 60-tych, kiedy widziałem ulicę Piotrkowską po raz ostatni, nie miały one już nawet śladu dawnej świetności. To łódzkie tło socjologiczne starałem się przedstawić w swych opowieściach: „Zwycięstwo”, „Życie ideologiczne”, „Życie osobiste”, których akcja rozgrywa się w latach 1944-1946 przeważnie w Łodzi, oraz w jednym z esejów, który ukazuje się w książce pt. „Prawda nieartystyczna”, a był już drukowany w *Pulsie*.

Z poważaniem

Henryk GRYNBERG

Waszyngton, 4 sierpnia 1983.

Drogi Panie Redaktorze!

Niezapomniany Marian Hemar, którego przyjaźń bardzo sobie cenilem, w ostatnich latach swojego życia zwykł był powtarzać: „Jestem za stary na to, by kłamać”. Przerobiłem tę maksymę dla siebie na „jestem za stary na to, by milczeć” i chociaż niechętnie, ale czuję się zobowiązany jako jeden z nielicznych pozostałych przy życiu przywódców wojennego podziemia do zabrania głosu w sprawie tekstu wygłoszonego w kościele św. Stanisława na Żoliborzu przez Jana Józefa Lipskiego, któremu opublikowanie przez *Kulturę* z czerwca 1983 pt. „Polscy Żydzi” nadało charakter zasadniczej deklaracji, z jaką się nie we wszystkim mogę zgodzić.

Mam nadzieję, że moje uwagi *Kultura* opublikuje, przywracając pewną równowagę jednostronnemu omówieniu 40-tej rocznicy powstania w getcie warszawskim przez Jana Józefa Lipskiego, którego zresztą bardzo szanuję za jego rolę w KOR-ze oraz za to, że mogąc wybrać w Londynie wolność, wrócił dobrowolnie do jaskini lwa.

Lipski twierdzi, że walka bojowców z getta warszawskiego podjęta w obronie godności ludzkiej ma „ogromne znaczenie moralne zarówno dla Żydów, jak i dla całej ludzkości, w tym przede wszystkim dla narodu polskiego”. Zdaje sobie sprawę i zdawałem z niezmiernego, wielostronnego znaczenia, jakie miał wybuch powstania w getcie warszawskim 19 kwietnia 1943, czego dowodem fakt, że jako szef Kierownictwa Walki Cywilnej wysłałem do Londynu pierwszą depezę o jego wybuchu następującej treści:

„Wczoraj Niemcy rozpoczęli likwidację 35 tysięcy Żydów w getto u nas. Żydzi się bronią, słychać strzały i wybuchy granatów. Niemcy użyli czołgów i samochodów pancernych. Mają straty. W kilku miejscach pożar.

Przemówcie do getta”. (Patrz „Kto ratuje jedno życie... Polacy i Żydzi 1939-1945” Kazimierza Iranek-Osmeckiego, str. 211).

Oczywiście godzę się z tym, że śmierć około tysiąca bojowców, którzy jedyni z półmilionowej bierniej masy zamkniętej murami getta postanowili drogo sprzedać swoje życie, ma wielkie znaczenie dla Żydów, ale nie widzę powodu, dla którego by miała jeszcze większe znaczenie dla Polaków. Jako wzór do naśladowania ta walka i śmierć byłyby spóźnione, gdyż do 19 kwietnia 1943 setki żołnierzy podziemia zaskoczonych przez hitlerowców w konspiracyjnych kryjówkach, drukarniach, warsztatach, fabrykach, transportach, wreszcie otoczonych w oddziałach partyzanckich, nie podnosiło rąk do góry, lecz walczyło do końca, by drogo sprzedać swoje życie i ginęło w beznadziejnej walce lub zażywało truciznę, jak później Anielewicz i jego sztab. Klasycznym przykładem w tej mierze jest major Hubal (Henryk Dobrzański) i jego kilkuset żołnierzy, którzy we wrześniu 1939 nie złożyli broni i walczyli samotnie, mając pełną świadomość tego, że prędzej czy później muszą zginąć, i zginęli. Jeśli zaś chodzi o przykład dla potomności, to nie jest w stanie zaćmić pod tym względem epopei Powstania Warszawskiego, którego 40-letnią rocznicę będziemy obchodzili w roku przyszłym.

Dalej Lipski wpada sam ze sobą w sprzeczność, gdyż z jednej strony stwierdza, że dowództwo AK i Delegatura Rządu nie miały moralnego prawa i racjonalnych uzasadnień, by w obronie walczącego getta rozszerzyć zagładę (czyli powstanie) na całą ludność Polski, a z drugiej każe nam się wstydić, że w obawie o własną skórę godziliśmy się na zbrodnie dokonywaną przy nas. To „w obawie o własną skórę”, czyli z technicznego, brzmni wręcz ubliżająco w stosunku do narodu, który niestety słynie raczej z nadstawiania skóry nawet tam, gdzie nie potrzeba.

Pomoc AK dla walczącego getta nazywa Lipski „symboliczną”, chyba nie wiedząc o tym, że w naradach oficerów Komendy Głównej AK, majora Stanisława Webera (Chirurg) i kapitana Zbigniewa Lewandowskiego (Szyna) z przedstawicielami Żydowskiej Organizacji Bojowej z góry ustalono, że tylko akcje dywersyjne z zewnątrz murów getta są możliwe, będą podjęte — i zostały podjęte. Było ich łącznie z akcjami wszystkich podziemnych organizacji dwadzieścia sześć, co wykracza poza ramy pomocy symbolicznej. (Patrz zestawienie w *Życiu Literackim* z 16 kwietnia 1978).

Wykroczyła także poza te ramy walka oddziału Korpusu Bezpieczeństwa pod dowództwem kapitana rezerwy Henryka Iwańskiego, który przedostał się do getta przez podkop z piwnicy przy ul. Muranowskiej 6, zajął pozycje w ruinach domów na Placu Muranowskim i ul. Nalewki i walczył tam do upadku powstania. W walkach zginął brat Iwańskiego, Wacław i synowie Zbigniew i Roman. Po wojnie Iwański i jego żona Wiktoria zostali odznaczni Medalami Yad Vashem. O tym udziale Polaków w walkach wewnątrz getta Lipski nie wspomina ani słowem.

Co do ludności Warszawy, to patrzyła ona ze zgrozą i współzuciem na walkę i niszczenie getta, ale nie odczuwała z tego powodu ani wstydu, ani wyrzutów sumienia. Zresztą sama żyła we własnym getcie, jakim była cała Warszawa terroryzowana i dziesiątkowana przez łapanki, wywożenie na roboty, masowe aresztowania i publiczne uliczne egzekucje, wreszcie skrzepowana przez godzinę policyjną i wygłodzona przez nędzne przydziały żywności. Jeśli zaś obok zagroży i współzucia występowała obojętność, to była to obojętność ludzi tak zajętych ratowaniem własnego życia, że na ratowanie innych już nie starczało sił. Tymczasem Lipski stwarza wrażenie, że ta ludność żyła normalnym życiem i tylko w obawie o własną skórę nie przyszła gettu z pomocą.

Natomiast powstanie w getcie zajęło w historii Polski poczesne miejsce z tego powodu, że wybuchło w jej stolicy, walczyli w nim Żydzi obywatele polscy i nie tylko pod sztandarem białoniebieskim, ale również pod białym

czerwonym. Było to pierwsze zbrojne wystąpienie Żydów polskich w walce, która po wrześniu 1939 roku nie ustała na ziemiach polskich ani przez chwilę.

Wreszcie Lipski, niby broniąc Polaków przed oskarżeniami opartymi na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej, porusza jednak zjawisko współpracy niektórych z nich z Niemcami w tropieniu Żydów. Ale jakoś nie przyszło mu do głowy, by dla całości obrazu dodać, że polskie władze podziemne zapowiedziały w swych odezwach przedrukowanych przez całą prasę podziemną i powtórzonych przez radio zachodnie, że winni tego przestępstwa będą surowo karani i że sądy podziemne skazały na śmierć za takie przestępstwa jedenaście osób. Wykonanie tych wyroków zostało również ogłoszone przez prasę i radio i podziało na potencjalnych przestępców odstraszało (patrz „Polskie Państwo Podziemne — przewodnik po podziemiu z lat 1939-1945” Stefana Korbońskiego, str. 130 i 131).

Na zakończenie dodam, że Lipski, który wypominał Polakom strach o własną skórę, obojętność i współpracę z Niemcami w prześladowaniu Żydów, nie wspominał ani słowem o przeciwnym zjawisku, jakim było powstanie i działalność Rady Pomocy Żydom, tzw. „Żegoty”, która uratowała życie tysiącom prześladowanym.

W związku z tym sądzę, że tekst Lipskiego nie zasługiwał na rangę zasadniczego oświadczenia, którą mu nadało ogłoszenie w *Kulturze* na czołowym miejscu.

Ściskam mocno dłoń Pana

Stefan KORBOŃSKI

„SOLIDARNOŚĆ”

Solidarität, Eduard-Grunow-Strasse 2,
2800 Bremen 1.

Bremen, 5 sierpnia 1983.

Szanowna Redakcjo,

W numerze 7-8 *Kultury*, w rubryce „Wydarzenia miesiąca” na stronach 215-216 znajduje się wzmianka dotycząca działalności Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” za granicą.

Uważamy, że zamieszczanie w poczytnym miesięczniku tak ważnej ale niepełnej informacji nie służy sprawie „Solidarności”.

Większość istniejących biur i agend „Solidarności” powstało spontanicznie z mocy oddolnych inicjatyw działaczy, zmuszonych do opuszczenia kraju i są one — czy to się komu podoba, czy nie — wyrazicielami „Solidarności”. Ich działalność służy tak samo „Solidarności” jak działalność Biura brukselskiego.

Apodyktyczne stwierdzenie dr. Milewskiego o roli lokalnych stowarzyszeń działających na rzecz „Solidarności” („nie będących jej wyrazicielami”), jest zaprzeczeniem idei demokracji, o której tyle się mówi. Takie postawienie sprawy jest wodą na młyn reżimowej propagandy. Siłą Związku „Solidarność” powinien być właśnie głęboki demokratyzm. Próby podporządkowania lokalnych biur „Solidarności” panu Milewskiemu i sprowadzenie ich działalności do roli egzekutora fiskalnego, skazane są na fiasko.

Sprawa polityki uprawianej przez Biuro w Brukseli wymaga publicznego przedyskutowania. Czy chodzi tu tylko o politykę związkową, czy też politykę w ogólnym tego słowa znaczeniu?

Z wyrazami szacunku

Kazimierz KUNIKOWSKI

Menlo Park, California, 4 sierpnia 1983.

Szanowny Panie Redaktorze,

Ze znacznym opóźnieniem dotarł do mnie majowy numer miesięcznika *Kultura*, w którym p. Waldemar Kuczyński opisuje sprawę przedruku *Tygodnika Solidarność* przez p. Alexandra Pruszyńskiego — Redaktora kanadyjskiego tygodnika *Słowo*.

Od października 1980 roku za aprobatą Prezydium MKZ Mazowsze wysyłał p. Pruszyński wszelkie materiały dotyczące działalności NSZZ *Solidarność*, a zwłaszcza Mazowsza.

W okresie realizacji pierwszego numeru *Tygodnika Solidarność* (marzec) p. A. Pruszyński nie mogąc się połączyć z red. Tadeuszem Mazowieckim poprosił mnie, abym w jego imieniu uzyskał zgodę na przedruk *Tygodnika* w Kanadzie. W czasie rozmowy mojej z Tadeuszem Mazowieckim padło wiele pozytywnych zdań na temat inicjatywy p. Pruszyńskiego. Red. Mazowiecki obawiał się, że przedrukowywane będą jedynie fragmenty, i w tym przypadku domagał się, aby zawsze podawać źródło, nie miał natomiast żadnych zastrzeżeń co do przedruku całego *Tygodnika*. O zgodzie tej powiadomiłem p. Pruszyńskiego wysyłając jednocześnie pierwszy numer *Tygodnika* do Kanady. Należy tu dodać, że przesyłki te, a zwłaszcza przesyłki z taśmami Radia *Solidarność*, często ginęły i nie dochodziły do adresata. Do kilku rekwizycji przyznał się Urząd Celny w Warszawie. Wysyłane różnymi drogami jednak dochodziły i p. Pruszyński może się poszczycić, zdaje mi się, przedrukami wszystkich numerów *Tygodnika Solidarność*. O odwołaniu swej decyzji Tadeusz Mazowiecki nie powiadomił mnie do chwili obecnej chociaż miał ku temu okazję w Białogórze. Jak mi wiadomo nie powiadomił też o tym p. A. Pruszyńskiego.

Ponadto dziwi mnie stanowisko p. Kuczyńskiego co do rozszerzania nakładu *Tygodnika Solidarność*. Pan Pruszyński był jedynym wydawcą zagranicznym, który przedrukowywał *Tygodnik Solidarność* w całości i rozprowadzał go na terenie Kanady i północno-wschodniej części USA. Zależało nam wszystkim na tym, aby *Tygodnik Solidarność* docierał do jak największej ilości osób, aby jak najwięcej ludzi było informowanych o tym co się dzieje w Polsce.

W *Solidarności* dominowało wiele poglądów politycznych. Była też bardzo liczna grupa zwolenników KPN, której linie reprezentuje *Słowo* p. Pruszyńskiego. Czy te poglądy rzeczywiście są tak „głęboko rozbieżne” z reprezentowanymi przez *Tygodnik Solidarność*? Wszystkie odłamy polityczne czynne w Polsce (poza PZPR) dążyły i dążą do odzyskania suwerenności i przeprowadzenia wyborów. Społeczeństwo w referendum powinno wybrać przyszły kształt polityczny Polski. Jaką Polskę widzi Pan Kuczyński? W którym punkcie nie zgadza się z Panem Pruszyńskim? Na pewno dowodem na tę „głęboką rozbieżność” nie jest zamieszczenie w *Słowie* pełnego ogłoszenia reklamującego „Vodka Solidarity”.

Idee *Solidarności* — jak rozumiałem współuczestnicząc w zakładaniu tego Związku na terenie Mazowsza — polegały na ogólnonarodowej *solidarności* w walce z kulturą wschodnio-bizantyjską na terenie Polski, *solidarności* podzielonego przez komunistów narodu w walce o swe biologiczne prawa; o prawo do własnej kultury, o prawo do istnienia, o prawo do rozwoju... Każdy wobec tego, kto propaguje idee *Solidarności* i używa znaku tego Związku do rozpowszechniania tych idei (zarówno p. A. Pruszyński jak i p. A. Kowalczyk) zasługuje na pełne uznanie. Krytykować i polemizować można z treścią poszczególnych artykułów zamieszczonych w tych tygodni-

kach a nie z używaniem nazwy Solidarność, która jest własnością ogólnospołeczną i powinna być popularyzowana jak najszerszej oraz utrwalać się w pamięci ludzkiej.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Maciej MADEYSKI
skarbnik
NSZZ Solidarność Reg. Mazowsze
MKZ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Antoni Libert, Szwecja. — Nie zamieścimy.
Aleksander Pruszyński, Kanada. — Pana listu do Redakcji nie zamieścimy.
Andrzej Włodarczyk, Paryż. — Pana listu do Redakcji nie zamieścimy — przesłaliśmy go do wiadomości p. Janinie Katz Hewetson. Każdy recenzent ma prawo do indywidualnych ocen.
M. Jeż, Perth (Australia). — Artykułu nie zamieścimy.

NOWOŚĆ



**KSIĘGARNIA
POLEMIKA**
WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ
ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSŒAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48
MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3^e trimestre 1983.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
ARGENTYNA: «Liberia Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel. 29 1248	\$ A. 4,50	\$ A. 27,00	\$ A. 52,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, 1011 Wien, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14. Tel. 52-60-175	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
BELGIA: Maria Rondomanska, 132, Avenue Coghén, 1180 Bruxelles. Tel.: (2) 345 08 25. Konto 310.0334324. 51 w Banque de Bruxelles	F.B. 300,00	F.B. 1300,00	F.B. 2500,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji «Kultury»	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B 4 Vlissingen. Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 15,00	Fl h 70 00	Fl h 130,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel. 621311	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man R2V 2P2. Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; «Polish Voice Publishing» Co., 1089 Queen St. W Toronto 145 Ont Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St., w., Toronto, Ont. M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 12,00 F. 33,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00 F. 175,00	\$ Can. 60,00 DM 110,00 F. 340,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1. NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss...	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34-6.			
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel. 475-8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104. Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17th St., N.W. Washington D.C. 20008; H. Kosciuch, 41963 Utica Rd., Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38-th Street, New York, N.Y., 10018. Tel. (212) 354-0492	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel. 75-67-241	F. 33,00	F. 175,00	F. 340,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.340; półroczna — F.175.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.3,50.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nobelbibliothek
STOCKHOLM
228 83

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 379 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Zawiera m.in. opracowania: B. Strumińskiego — *Wywiad z prof. O. Pricakiem*; M. Edelmana — *Getto walczy*; J. Krajowca — *Związek Literatów Polskich w stanie wojennym*; L. A. B. Kliszewicza — „Grzegorz” — *placówka wojskowej łączności w Grecji*; L. Łubieńskiego — *Ostatnie rozmowy śp. generała Sikorskiego w Gibraltarze*; J. Laloy — *W Moskwie: między Stalinem a De Gaulle'm*; G. Brandesa — *Wrażenia z Polski (1885)*; Bogaty dział DOKUMENTÓW i RECENZJI.

Str. 240.

Cena F. 60,00.

TOM 380 — ZBIGNIEW HERBERT

RAPORT Z OBLĘŻONEGO MIASTA

Nowy tom wierszy znakomitego polskiego poety.

Str. 88.

Cena F. 40,00.

TOM 381 — SERIA „DOKUMENTY”

PRAWA CZŁOWIEKA I OBYWATELA W PRL W OKRESIE STANU WOJENNEGO

(13. 12. 1981 - 31. 12. 1982)

Opracował Zespół Redakcyjny Komitetu Helsińskiego w Polsce.
Z upoważnienia: Zbigniewa BUJAKA, Bogdana LISIA, Władysława
HARDKA, Józefa PINIORA, Eugeniusza SZUMIEJKI.

Str. 224.

Cena F. 75,00.

TOM 382

ROZMOWY NIEKONTROLOWANE ROZMOWY NIEKONTROLOWANE ROZMOWY NIEKONTROLOWANE

Rozmowy przeprowadzone w okresie od maja do końca listopada 1982 roku z 16-toma przedstawicielami polskiej inteligencji w kraju, które są świadectwem prawdziwych odczuć doznawanych w poszczególnych miesiącach stanu wojennego.

Str. 246.

Cena F. 75,00.